NORWEGIA

PRZEWODNIK NIETURYSTYCZNY

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

NORWEGIA

PRZEWODNIK NIETURYSTYCZNY

Spis treści

WSTĘP

Hanna Gill-Piątek Powrót do Norwegii, w której nigdy nie byłam

POLITYKA

Nina Witoszek Najlepszy kraj na świecie

Michał Syska Czerwono-czerwona koalicja, czyli odrodzenie socjaldemokracji

Z Alim Esbatim rozmawia Jan Smoleński Bez walki nie ma sukcesów

SPOŁECZEŃSTWO

Thomas Hylland Eriksen Śmieci

Simen Særte Petromania

Z Johanem Harstadem rozmawiają Marius Fossøy Mohaugen i Kristian Meisingset Moje

książki są jak konie trojańskie

Z Kamilem Antosiewiczem rozmawia Jaś Kapela Black metal – muzyczny hołd złożony naturze

LITERATURA

Alexander Aarvik Kuloodporny

Johan Harstad Rozeznanie

Roy Jacobsen Lód

Nina Lykke Weekend za miastem

Christer Mjåset Najstarszy mężczyzna Świata

Dag Solstad Nauczyciel Pedersen. Relacja z wielkiego politycznego przebudzenia, które nawiedziło nasz kraj

AUTORZY

WYKAZ ŹRÓDEŁ

KRYTYKA POLITYCZNA

PRZEWODNIKI KRYTYKI POLITYCZNEJ

Przypisy

THE REVOLUTION IS

MY BOYFRIEND.

WSTĘP

Hanna Gill-Piątek

Powrót do Norwegii, w której nigdy nie byłam

Zaczął się przeszukaniem na warszawskim lotnisku. Być może uwagę strażniczki przyciągnęły moje pancerne buty, może wzrost – nie wiem. Stojąc w skarpetkach na baczność na oczach kolejki przeciskającej się przez bramki, czułam, jak ręce tej niewielkiej kobiety z surowo zaciśniętymi ustami fachowo przesuwają się po moim ciele. Ta uzasadniona zasadami bezpieczeństwa, ale dotkliwa opresja odebrała mi komfort spokojnego bycia sobą, odarła z polskiej codzienności, zresetowała do jakiejś pierwotnej, cielesnej warstwy.

Może dlatego po przylocie inaczej czułam przestrzeń. Najpierw doświadczyłam jej rękoma, ciągnąc dziewiętnastokilogramową torbę na kółkach. Mój bagaż stał się jakby nieważki, toczył się grzecznie po równych chodnikach, lekko pokonywał niewysokie krawężniki i perony idealnie dopasowane do poziomu podłogi w pociągu. Wcześniej w Warszawie ta sama torba prawie wyrwała mi stawy, kiedy targałam ją przez maksymalnie skomplikowane i nieprzyjazne bebechy Dworca Centralnego, chyba specjalnie zaprojektowanego do fizycznej eksterminacji słabszych podróżnych. Na norweskiej ziemi dzielna walizeczka tylko dwa razy fiknęła koziołka na lodzie, ale przynajmniej w dobrej sprawie, bo ekologiczni Norwegowie nie solą chodników. Posypują je tylko grubym czarnym żwirem.

Wiele wyjaśniła mi wizyta w Narodowym Muzeum Architektury i Wzornictwa, gdzie z wypiekami na twarzy mogłam przez godzinę zatopić się przetłumaczonej na angielski norweskiej prasie branżowej. Już wiem, co ciekawego aktualnie się w Norwegii buduje, wybudowało lub planuje wybudować. Zdecydowana większość prezento-

wanych projektów to niekomercyjne obiekty publiczne: sale gimnastyczne, skateparki, skwery, centra kultury czy park mający zbliżyć dwie dzielnice – tę zamieszkiwaną przez klasę średnią i tę, w której żyją imigranci. Przeczytałam artykuł na temat polityczności architektury, w którym autor zastanawiał się nad przekładaniem pojęcia „dobrego życia" na planowaną przestrzeń. Zobaczyłam też, że pojęcia zrównoważonego rozwoju, ekologicznych technologii lub rewitalizacji społecznej traktuje się tu absolutnie poważnie. Te zagadnienia w norweskiej architekturze są punktem wyjścia, a nie ozdóbką do deweloperskiego folderu reklamującego tony betonu wylane na lewo przy Jeziorku Czerniakowskim. Nic dziwnego, że kultura organizowania przestrzeni publicznej stoi tutaj na wysokim poziomie.

Nasza wyprawa była poświęcona poszukiwaniom ciekawej norweskiej sztuki alternatywnej. Alternatywnej w znaczeniu, jakie przyjmuje się w Polsce: kontestującej, przekraczającej, offowej. I tu zaczęły się prawdziwe przygody. Odwiedziliśmy w tym celu wiele polecanych miejsc: Hausmanię – miejsce pracy niezależnych artystów i alternatywny teatr, Blitz – jedyny squat w Oslo, feministyczne radio, alternatywny koncert i rewolucyjną księgarnię. Potem chyba straciliśmy nadzieję. Zamiast oczekiwanych ekscesów lub przynajmniej sztuki krytycznej odnaleźliśmy spokojne instytucje: luźniejszy dom kultury z teatrem rozwijającym myśl Artauda, wegańską knajpę z wyćwiekowaną obsługą, zwykłe radio, dwoje Norwegów męczących rozstrojone gitary oraz elegancki sklepik z publikacjami o sztuce. Wiele spodziewaliśmy się po niezależnym festiwalu odbywającym się w czyimś mieszkaniu – i trafiliśmy na koncert mis tybetańskich. Także poszukiwania w muzeach i galeriach nie dały spodziewanego rezultatu. Najmocniejsze współczesne prace pochodziły głównie z zagranicy.

Już po kilku dniach zrozumieliśmy, że trudno o kontestację w społeczeństwie spełnionym. Istnieją jeszcze pola, gdzie w Norwegii pozostało coś do zrobienia: prawa zwierząt czy sprawy imigrantów, jak historia wydalonej Marii Amelie, ale są to już tylko marginesy. Szybko też poznaliśmy przyczynę naszych niepowodzeń. Kultura jest w Norwegii dziedziną bardzo zadbaną i każda ciekawa inicjatywa uzyskuje, właściwie natychmiast, potrzebne dofinansowanie. To z kolei sprzyja instytucjonalizacji i poszukiwaniom skierowanym

w stronę apolitycznej „czystej sztuki”, niewadzącej się z nikim. Przez cały wyjazd doświadczałam czegoś w rodzaju flashbacku z wczesnych lat 90. w Polsce, kiedy artyści uwolnieni z opresji poprzedniego systemu uciekali na gwałt od wszelkiego zaangażowania i polityczności.

Spokojni Norwegowie za wszelką cenę unikają wyróżniania się. Widać to na każdym kroku: w uporządkowanej przestrzeni, w skromnym stroju, w sposobie komunikowania, w końcu – we współczesnej sztuce. Eksces praktycznie nie istnieje. Nawet Varg Vikernes, lider black metalowej grupy Burzum o otwarcie faszyzujących oglądach, który w 1993 roku zabił gitarzystę innego zespołu i podpalił kilka kościołów, po zwolnieniu warunkowym osiadł na wsi i zadeklarował powrót do spokojnego życia. Nie oznacza to jednak, że nic nas w Norwegii nie zdziwi. Wędrując po Oslo, wszędzie można natknąć się na golasy. Oczywiście nie takie zwykłe, różowe i miękkie, bo te są po uszy zakutane w płaszcze i szaliki. Chodzi o golasy niemarznące, z brązu lub gipsu. Wśród licznych rzeźb tylko te przedstawiające prawdziwe osoby mają jakieś wdzianka. Na przykład zwinięta w paragraf Kate Moss jest w bikini. Reszta dotyka lodowatego powietrza nagimi stopami, pupami i całą szczegółowo oddaną resztą. Jakby Norwegowie lubili symbolicznie mierzyć się z niemożnością wyskoczenia z gatek przy temperaturze minus 17 stopni. Czasem golas jest samotny, czasem spleciony z innym. Lub w grupie. Albo w jednej wielkiej lodowato-golasowej orgii, która odbywa się w słynnym Parku Vigelanda.

I choć byłam w Norwegii po raz pierwszy, to tak naprawdę do niej wracałam. Ósma część mnie pochodzi właśnie stamtąd za sprawą mojego pradziadka Roberta Andersena. W dzieciństwie w mojej głowie Norwegia była na poły mityczną krainą, miejscem bojowych czynów moich przodkiń i przodków, które opowiadano mi przed zaśnięciem. A tu proszę, nikt nie lata w rogatej czapce, a w pociągu – przysięgam – wisi naklejka z przekreślonym toporem. Ta cała Norwegia to po prostu spokojne miejsce, zapraszające, by w nim żyć, zestarzeć się i nie wyrywać sobie stawów, kiedy chce się gdzieś przewieźć bardzo ciężką torbę.

BLITZ
MOT
NAZISME

POLITYKA

Nina Witoszek

Najlepszy kraj na świecie

NORWESKIE MARZENIE

Na jednym z najbardziej magicznych obrazów współczesnej norweskiej idylli widzimy chór starszych panów, którzy stoją na plaży na tle wzburzonego zimowego morza i śpiewają sentymentalne pieśni o swojej ojczyźnie. Nie przejmują się ani szalejącym dookoła wiatrem i śniegiem, ani lodowatym zimnem. Śpiewają ze szronem na brwiach i heroicznymi soplami smarków wiszącymi z nosów.

Taki jest motyw przewodni *Heftig og begeistret* (*Mocarnych i nawiedzonych*, 2001), najważniejszego „plemiennego" filmu w historii norweskiej kinematografii. To nie jego treść jest fascynująca, lecz reakcja publiczności – długotrwała kolektywna katharsis. Wszyscy śmieją się i płaczą równocześnie – i to w cynicznych czasach, gdy patriotyczne łzy są raczej rzadkością. Dzieje się tak nie dlatego, że chór męski z Berlevåg jest spektakularny, pieśni urzekające, a natura nie z tej ziemi. Jest raczej odwrotnie. Chór składa się głównie ze starszawych, całkiem zwyczajnie wyglądających mężczyzn. Pieśni są wykonywane z imponującym zapałem, który tuszuje niedoskonałości, natura zaś jest surowa i nieprzyjazna. Jednak starsi panowie z Berlevåg pieszczą norweską duszę, bo są dowodem na to, że zwykli ludzie są nadzwyczajni, świat peryferii jest OK, a życie jest wspaniałe – nawet jeśli jest się po sześćdziesiątce i na bezrobociu. Stoją więc sobie na tle wzburzonych fal i śpiewają – jak jakiś chór z Titanica – dumni, pełni patriotycznej werwy i przekonani, że mieszkają w najlepszym z najlepszych światów.

Mocarni i nawiedzeni to film ojczyźniany, który wykorzystuje wszystkie obowiązkowe obrazy i sztampowe symbole nordyckości: muzykę w przyrodzie i przyrodę w muzyce, wyobrażenie Norwegów

jako „dzieci natury”, heroizm dnia codziennego w najodleglejszych zakątkach kraju oraz socjalistyczne i seksualne fantazje. Sednem filmu jest Norweskie Marzenie: baśniowy scenariusz *à la* „z chłopa król”, w którym zwyczajni ludzie, zarówno metaforycznie, jak i dosłownie, obejmują rząd dusz. *Mocarni i nawiedzeni* dowodzą, że aby zostać królem, nie trzeba być Arnoldem Schwarzeneggerem; można być zwykłym facetem z brzuchem i zakolami – nie mówiąc o prozaicznych tęsknotach.

Niniejszy pamflet jest wynikiem mojej fascynacji *Norwegian Dream* i jego metamorfozą w XXI wieku. Podobnie jak *American Dream* – jedna z najbardziej charyzmatycznych i mobilizujących opowieści w historii ludzkości – *Norwegian Dream*, choć dotąd „nieskodyfikowany” tak, jak ten amerykański, jest konkurencyjnym mitem, który zasługuje na uwagę. W *The Epic of America* (*Amerykańskiej epopei*, 1931) James Truslow Adams pisze:

> […] marzenie o kraju, w którym życie miało być dla wszystkich lepsze, bogatsze i bardziej kompletne, z możliwościami dla każdego, w zależności od zdolności i osiągnięć. Europejskiej klasie wyższej trudno jest to marzenie odpowiednio zinterpretować, zbyt wielu z nas jest nim zmęczonych i straciło do niego zaufanie. Nie jest to marzenie wyłącznie o samochodach i wyższej pensji, lecz o społecznym porządku, w którym każdy mężczyzna i każda kobieta mogą w pełni się zrealizować i zyskać uznanie innych za to, kim są, niezależnie od przypadkowych okoliczności związanych z narodzinami czy pozycją społeczną.

Od Deklaracji Niepodległości, przez literaturę narodową, do kultury popularnej Amerykanie lansowali obraz samych siebie jako ludzi wybranych, dla których nic nie jest niemożliwe: podbój kolejnych terytoriów, walka z lokalnymi i międzynarodowymi złoczyńcami oraz nieskończone bogactwo i władza. Niezmienne przesłanie brzmiało: i ty możesz zostać Rockefellerem, gwiazdą Hollywood lub amerykańskim prezydentem, nawet jeśli jesteś jednonogim Albańczykiem chorym na AIDS.

W ostatnich dziesięcioleciach *American Dream* został skompromitowany – jeśli nie trwale okaleczony – z powodu przygód supermocarstwa, bezmyślnej kultury konsumpcyjnej i chciwości Wall Street. W powstałej w ten sposób próżni wyrosło Norweskie Marzenie – ła-

godniejsza, etycznie bardziej akceptowalna wersja projektu mającego na celu stworzenie *a great good place on Earth* („wspaniałego miejsca na Ziemi"). Podobnie jak Amerykanie, Norwegowie chcą uwieść świat historią ukochaną przez wszystkich: o drodze Kopciuszka z biedy do bogactwa. W przeciwieństwie jednak do Amerykanów – którzy zachłysnęli się snem o nieograniczonym dobrobycie, sławie, miłości, władzy i szczęściu – Norweskie Marzenie mówi o świecie z ograniczeniami i niedostatkami, świecie, który toleruje dyktat miernoty i wyśmiewa wyczyny Supermana. Czy Norweskie Marzenie jest odpowiedzią na tęsknotę człowieka za bezpieczeństwem, pokojem i szczęściem? Co jest jego siłą napędową? Czy jest wolne od *hybris*, tej tragicznej skazy, która spowodowała upadek Ikara, skłoniła Doktora Fausta do zaprzedania duszy diabłu, stała się przyczyną klęski Napoleona i Hitlera i doprowadziła prezydenta Busha do katastrofy w Iraku?

LA BELLE ÉPOQUE

W roku 1976, kiedy Europa Wschodnia nadal znajdowała się pod sowieckim butem, Wisława Szymborska napisała takie oto strofy o utopii:

> Wyspa, na której wszystko się wyjaśnia.
>
> Tu można stanąć na gruncie dowodów.
>
> Nie ma dróg innych oprócz drogi dojścia.
>
> Krzaki aż uginają się od odpowiedzi.
>
> Rośnie tu drzewo Słusznego Domysłu
> o rozwikłanych wiecznie gałęziach.
>
> Olśniewająco proste drzewo Zrozumienia
> przy źródle, co się zwie Ach Więc To Tak.
>
> Im dalej w las, tym szerzej się otwiera
> Dolina Oczywistości.
> Jeśli jakieś zwątpienie, to wiatr je rozwiewa.

Echo bez wywołania głos zabiera
i wyjaśnia ochoczo tajemnice światów.

W prawo jaskinia, w której leży sens.

W lewo jezioro Głębokiego Przekonania.
Z dna odrywa się prawda i lekko na wierzch wypływa.

Góruje nad doliną Pewność Niewzruszona.
Ze szczytu jej roztacza się Istota Rzeczy.

Mimo powabów wyspa jest bezludna,
a widoczne po brzegach drobne ślady stóp
bez wyjątku zwrócone są w kierunku morza.

Jak gdyby tylko odchodzono stąd
i bezpowrotnie zanurzano się w topieli.

W życiu nie do pojęcia[1].

Wiersz Szymborskiej dotyczy świata, w którym socjalizm stał się sceną największej masowej ucieczki z Utopii. Tak jakby najlepszą rzeczą, jaką można było zrobić w tym najlepszym ze wszystkich światów, był exodus mieszkańców. Warto się zastanowić nad faktem, że gdy poetka starała się uchwycić przerażające rozczarowanie dyktaturą szczęścia, kilka tysięcy kilometrów na północ rosło jedyne w swoim rodzaju, utopijne, prawdziwie socjalistyczne królestwo – świat, który był dla swoich obywateli domem, a nie więzieniem.

Na początku XXI wieku Norwegia wydaje się krajem, który jest blisko spełnienia najważniejszych postulatów europejskiej lewicy z ostatnich dwóch stuleci: równouprawnienia, wolności, sprawiedliwości – i bogactwa. Podstawą bajecznego dobrobytu są nie tylko główne źródła energii: ropa, gaz i woda, oraz jeden z najwyższych na świecie produktów narodowych brutto na mieszkańca. Jest nią także długa tradycja pokojowego rozwoju, rola wspólnoty i społeczeństwa obywatelskiego, mądra polityka reform, która stworzyła jeden z najlepszych na świecie systemów opieki społecznej, urzekający krajobraz oraz tożsamość oparta na partnerstwie z naturą.

W oczach świata Norwegia XXI wieku to ideał piękna, bogactwa, społecznej sprawiedliwości oraz oświeconego samarytanizmu. Kraj,

który lansuje – symbolicznie i politycznie – zrównoważony rozwój – od jego koncepcji stworzonej przez Gro Harlem Brundtland do gigantycznych dotacji dla krajów rozwijających się. Norwegia inwestuje namiętnie w akcje pokojowe, szerzenie praw człowieka i proces demokratyzacji w krajach mniej uprzywilejowanych. Jest poniekąd największym światowym eksporterem dobra dla wszystkich. Jest również jednym z największych na świecie eksporterów broni, lecz w tym eseju odłożymy to na bok i poczekamy na bardziej mroczny moment w dalszej części książki. Dzisiaj, jeśli wojna jest problemem, Norwegia jest rozwiązaniem. Kraj ten ma obecnie największą liczbę pokojowych mediatorów, wszechobecnych na Bliskim Wschodzie i w Ameryce Łacińskiej, w Sudanie, Erytrei, Tanzanii i na Sri Lance. Na początku nowej ery norwescy stratedzy polityczni i media przekonali zarówno swoich obywateli, jak i na społeczność międzynarodową, że ojczysty kraj Ibsena stanowi ucieleśnienie odwiecznego marzenia ludzkości o sprawiedliwości i dobroci.

Żaden inny kraj nie odniósł tak wielkiego sukcesu w dziedzinie autoreklamy (*branding*). Weźmy parę epizodów z moralnej biografii Norwegii jako współczesnej utopii: 10 stycznia 2002 roku „International Herald Tribune" cytowało doradcę prezydenta Busha, który wyraził nadzieję, że „*the Norwegian countries would function as peace brokers in Afghanistan*" („kraje norweskie mogą spełnić funkcję mediatorów w Afganistanie"). Czyli nie Szwecja albo nawet Skandynawia – ale *Norwegian countries* (*sic*!). 5 kwietnia tego samego roku „London Times" wydrukował list znanego profesora filozofii Laurence'a Goldsteina, który argumentował, że najlepszym sposobem na rozwiązanie konfliktu na Bliskim Wschodzie byłoby oddanie Jerozolimy w ręce Norwegii na następne dwadzieścia lat. W wyświetlonym w 2002 roku programie BBC o Sri Lance wojujące strony, reprezentowane przez skwaszonego Tamila i melancholijnego Syngaleza, pozostają w cieniu promiennego norweskiego mediatora, który pedagogicznym, śpiewnym norwego-angielskim odczytuje pompatyczne oświadczenie o radościach pokoju. 8 lipca 2002 roku w „Time Magazine" można było przeczytać artykuł *Little Fish in a Big Pond. How Tiny-Though Rich-Norway Became a Master in the Art of International Diplomacy* (*Mała rybka w dużym stawie. O tym, jak niewielka, ale*

bogata Norwegia stała się mistrzem w sztuce międzynarodowej dyplomacji). W roku 2008 nawet CNN i BBC pokazywały prognozy pogody, w których figurowało Oslo, a nie Sztokholm. No i Sir Crispin Tickell, brytyjski parlamentarzysta, który twierdzi, że „Norwegowie zagarnęli dla siebie wszystkie szlachetne cele i są teraz Robin Hoodem naszej planety. Szczerze mówiąc, nas, Brytyjczyków, trochę to irytuje, zważywszy że niegdysiejsi barbarzyńscy wikingowie skradli nam naszą cywilizacyjną misję!". Jakby tego było mało, obecny minister spraw zagranicznych Jonas Gahr Støre założył narodowe „forum reputacji", mające na celu dalszą poprawę międzynarodowej opinii o Norwegii. Oto tylko część materiału dowodowego, który pokazuje, że Norwegia pełni zarówno funkcję Eldorado, jak i moralnego supermocarstwa. Takiego połączenia nie spotyka się w światowej geopolityce, jest to raczej historia z bajek. Na mitycznej mapie świata bogacze figurują jako *bad boys*. Z wyjątkiem Norwegii – najlepszego kraju świata.

Lecz to nie koniec historii.

NORDIC MODEL UNLIMITED

Profesor André Sapir, wybitny badacz globalizacji i państw dobrobytu, wyróżnia nordyckie, anglosaskie, kontynentalne i śródziemnomorskie modele dobrobytu. Model anglosaski kładzie nacisk na efektywność, lecz społecznie jest bezwzględny. We francuskim etatyzmie egocentryczne związki zawodowe blokują efektywne wykorzystanie zasobów społecznych. Model śródziemnomorski wypracował styl i strukturę, gdzie żadne prawe uczynki nie pozostają bez kary i gdzie efektywność i sprawiedliwość są równie rzadkie jak trufle. Z tych czterech modeli, podsumowuje Sapir, tylko nordycki potrafi łączyć równość, efektywność, wysokie zatrudnienie i względny brak biedy.

Do niedawna najwięcej uwagi na arenie międzynarodowej przyciągał „model szwedzki". Po II wojnie światowej Szwecja stanowiła cnotliwy wzór pozytywnej współczesności. Pod koniec XX stulecia mit o szwedzkim *folkhemmet* („dom ludu") uległ kompletnej dekonstrukcji; idealne państwo dobrobytu zostało zdemaskowane jako kraj, któ-

ry „normalizował” swoich mieszkańców za pomocą różnych podejrzanych środków: od inwigilacji klasy średniej do zbiurokratyzowanego zarządzania. Szwedzkie elity okazały się „dziwkami rozumu” (Jan Myrdal), różne badania zaś wykazały zasadniczą bezsilność jednostki w społeczeństwie kiedyś uważanym za najbardziej demokratyczne na świecie. W orgii narodowego samobiczowania w latach 90. mówiło się nawet o szwedzkim „wariancie faszyzmu z domu ludu”, po ujawnieniu informacji o licznych zabiegach sterylizacyjnych przeprowadzanych w imię zdrowia ludu w okresie największej świetności socjaldemokracji.

Dzisiejsza Szwecja przestała być niekwestionowanym wzorcem moralności dla Zachodu – lub może nigdy nim nie była. Bogiem a prawdą, nie była nim też Norwegia. Również tu do początku lat 60. praktykowano lobotomię „na rzecz zdrowia narodu”, a Cyganów sterylizowano aż do roku 1977. Tak to już jednak jest, że mroczna przeszłość narodu jest zawsze bardziej eksponowana w czasach kryzysu – i mniej widoczna w okresach świetności.

Teraz pora na „model norweski”. Jest on bardziej atrakcyjny od szwedzkiego, ponieważ wydaje się mniej autorytarny i słabiej naznaczony szacunkiem dla aparatu władzy. Norwegia oferuje światu dobrobyt bardziej elastyczny i cieplejszy, a także pokazuje, w jaki sposób można wykorzystać ogromne bogactwo w nowej *mission civilisatrice*, kwestionującej stare brytyjskie i francuskie projekty imperialne. Dowodzi, że we współczesnym świecie lepiej jest dawać niż brać – i kosztuje to mniej więcej tyle samo.

Kim więc są te anielskie istoty, które pełnią rolę współczesnych stróżów północnej Utopii? Na oficjalnym zdjęciu czerwono-zielonego rządu widzimy grupę roześmianych młodych ludzi ubranych nieformalnie w kurtki, norweskie „reniferowe” swetry i czerwone anoraki. Mówią: jesteśmy tacy jak ty! Żadnych krawatów czy biznesowych garniturów, żadnych czarnych limuzyn. Symbole władzy starannie usunięto z rządowych stron internetowych, podobnie jak z norweskiego krajobrazu. Aby zobaczyć zamki i katedry, trzeba przejechać tysiące kilometrów, a nowa, rewelacyjna Opera Królewska przypomina senną łódź podwodną lub łagodnie lodowato-białe zbocze do połowy zanurzone w wodach fiordu. Ministrowie w anorakach uśmie-

chają się i obiecują jeszcze wyższe pensje, jeszcze krótsze dni pracy, jeszcze dłuższe urlopy i jeszcze wyższe ceny benzyny.

Najbardziej uderzającą oznaką norweskiego sukcesu nie są jednak dane dotyczące przemysłu naftowego czy promocja pokoju na świecie, ale dobrobyt samych mieszkańców. Jeśli wierzyć ostatnim wynikom badań szczęścia narodowego brutto (*Gross National Happiness*), Norwegia jest żywym dowodem na to, że za pieniądze można kupić szczęście. Badacz Ottar Hellevik i jego sztab przeprowadzili wywiady z 40 tysiącami Norwegów i stwierdzili, że szczęście – „poczucie dobrobytu i zaspokojenia oraz brak materialnych kłopotów" – jest w norweskim społeczeństwie coraz bardziej powszechne (*W pogoni za norweskim szczęściem,* 2008). Norweski kryzys tożsamości z początku lat 80., wywołany niepokojem, że dobrobyt demoralizuje, wydaje się zażegnany. To samo dotyczy niepohamowanej konsumpcji. Hellevik sugeruje, że w roku 2003 nastąpiła zmiana systemu wartości z materialistycznego na bardziej idealistyczny: „Możliwe, że dla wielu ludzi nie ma już więcej rzeczy godnych pożądania. Przypuszczalnie więcej osób niż wcześniej przywiązuje też wagę do ogromnej przepaści między panującą w wielu krajach biedą i cierpieniem a dobrobytem, który mamy w Norwegii. Czują moralny dyskomfort. Do tego dochodzi zaniepokojenie klimatem i środowiskiem".

Norwegowie są tak szczęśliwi, że gazety narzekają, że ludzie narzekają za mało. Na dodatek nowsze badania wykazują, że 70 proc. mieszkańców „płaci swoje podatki z entuzjazmem i jest w stanie płacić nawet więcej" („Aftenposten"[2], 2 maja 2008). Czy to jedna wielka autoiluzja, czy też mamy do czynienia ze wzorem odpowiedzialności obywatelskiej? A może z masochizmem? Piękną fasadą, za którą kryje się mroczny świat smutku i utraty? Czy tez stoimy wobec autentycznego szczęścia, kiedy pieniądze nie stanowią już problemu?

NORWESKI KOSZMAR

Istnieje już cały batalion skwaśniałych domowych krytyków, zazdrosnych wschodnich Europejczyków i upokorzonych pięknoduchów z krajów muzułmańskich, którzy demaskują Norwegię jako upadłą

krainę Sorii Morii[3]. W *Strategach narodowych* (1998) Rune Slagstad dokonał analizy rozpadu unikalnego modelu „demokratycznego kapitalizmu" oraz triumfu kapitalizmu bezdusznego, pazernego i technokratycznego. W krytycznej antologii *Norwegia. Diagnoza* (2008) autorzy pokazują, jak dalece mit o Norwegach jako dobrych i szczęśliwych obywatelach nie zgadza się z rzeczywistą sytuacją w kraju. Księga skarg i zażaleń jest długa: *janteloven* („prawo Jante", będące wyrazem pogardy dla elit), dyskryminacja rasowa, fatalny stan edukacji, podejrzane inwestycje w skorumpowanych krajach dyktatorskich i żałośnie krótka lista zasług w zakresie ochrony środowiska (*sic*!). Kto demaskuje szczęśliwych Norwegów? Czy szukające sensacji media? A może elity intelektualne, które zawsze szukają dziury w całym?

Elity są podejrzane. Od Woltera przez Sartre'a i dalej, do Ortegi y Gasseta klasy wykształcone nienawidziły wulgarnego gustu mas. Ludzie, których zadowala niewymagająca praca i którzy wolą *Taniec z gwiazdami* od Platona, zawsze byli postrzegani przez intelektualistów jako *Untermenschen*. Z drugiej strony mediom też nie zawsze można ufać: czasami mówią prawdę, czasami zmyślają, żeby coś sprzedać, a jeszcze innym razem konspirują z partią rządzącą. A co z ludźmi?

Kiedy we wrześniu 2008 roku leciałam samolotem z Krakowa do Oslo, siedziałam obok rozmownego starszego pana. Zapytał mnie: „Czy to ty jesteś tą polską Niną, która tak brzydko pisze o Norwegii?". Przytaknęłam trochę niespokojnie, przygotowana na pedagogiczną tyradę. „Co teraz czytasz?", zapytał. Pokazałam mu książkę leżącą na moich kolanach: *Norwegia. Diagnoza*. Spojrzał na nią sceptycznie i powiedział: „Ale Norwegia ma diagnozę. Jest nam dobrze".

Wygląda na to, że sytuacja Norwegii jest beznadziejna, ale nie poważna. Nie jest poważna, ponieważ większość białych Norwegów ma się świetnie i koniec. A także dlatego, że z międzynarodowej perspektywy nawet Telenor okazuje się jedną z najbardziej odpowiedzialnych społecznie firm świata. Jednocześnie sytuacja jest beznadziejna, ponieważ książki takie jak *Norwegia. Diagnoza* są stratą czasu. Norwegia pokazuje, że *Gross National Happiness* nie ma nic

wspólnego z dobrymi szkołami czy kwitnącymi bibliotekami. „Nie nauczyłaś się jeszcze, że za dużo myślenia sprawia, że człowiek staje się zagubiony i nieszczęśliwy?”, zapytał mnie mój sąsiad z samolotu. „*We in Norway don’t want the brains to go to our heads*” („W Norwegii nie chcemy, żeby mózgi uderzyły nam do głowy”).

OD *WELFARE STATE* DO *LEISURE STATE*

Norweskie Marzenie niekoniecznie opiera się na złudzeniach. Tak jak inne mity, jest to dydaktyczny moralitet opowiadający nie o tym, jacy jesteśmy, ale kim chcielibyśmy być. To, że Norwegia wydała dwa razy tyle na wojnę w Afganistanie, ile na działania pokojowe, nie odgrywa tu roli. Bez znaczenia jest także nasze zdziwienie nietaktownym zachowaniem norweskich ekspertów od pokoju i pomocy na Sri Lance czy w Bangladeszu. Narodowe aspiracje – i oczekiwania zewnętrznego świata – żeby ujrzeć Norwegię jako kraj ucieleśniający wszystko, co najlepsze: pokój, prawa człowieka, zrównoważony rozwój i demokrację, są tak wielkie, że Norwegowie musieli dorosnąć do roli światowej mekki praworządności i umiaru.

Pragnę jeszcze dodać, że tym, co czyni Norwegię szczególnie atrakcyjną w postmodernistycznym świecie, jest osobliwa kulturowa schizofrenia. W rzeczywistości istnieją dwie różne mityczne „Norwegie”, które nadal ze sobą konkurują: cnotliwo-biedna Norwegia – dumny naród z wzorowymi tradycjami równości, solidarności i ludowej mądrości – zderza się z nową „mamoniczną” Norwegią, z piraniami rynku finansowego, kultem pazerności i samozadowoleniem. To Thorstein Veblen, socjolog norweskiego pochodzenia oburzony amerykańskim marnotrawstwem, wymyślił kiedyś pojęcie *conspicuous consumption*. Świnia przedstawiająca satyrycznie budżet państwowy radzi: „Postaraj się wyglądać zarówno chudo, jak i grubo”. To nie tylko żart: to obraz rozdwojonej norweskiej psychiki z pierwszej dekady XXI wieku. To Norwegia jako biedny-bogaty kraj o dziewiczej podświadomości. Jak powiedział Picasso: „Marzę o tym, żeby być biedakiem z gigantyczną kasą”. Powszechne moralne oburzenie, które towarzyszy rewelacjom o przekrętach finansowych, pokazuje,

ze cnotliwo-biedna Norwegia jeszcze nie zginęła. Wystarczy wymienić narodową burzę po ujawnieniu informacji o inwestycjach Statoil-Hydro w naftowe pola Kanadzie, nielegalnym zatrudnianiu dzieci u poddostawców Telenor w Bangladeszu czy astronomicznie wysokich pensjach i bonusach przyznawanych dyrektorom dużych przedsiębiorstw. Publiczne oburzenie, które towarzyszy tym sensacjom, dowodzi, że w oczach Norwegów kapitalizm i operacje militarne mają być moralne. Norwescy kapitaliści mają być przyzwoitymi *self-made men* i jeśli chcą żyć jak królowie – powinni robić to za granicą. Raz na jakiś czas przymyka się ich w więzieniu, gdzie mają organizować imprezy z pizzą dla strażników. Norwescy piloci myśliwców mają być „mili" i spuszczać wyłącznie grzeczne bomby, które nie zabijają ludzi, tylko „przyczyniają się do narodowego bezpieczeństwa". Dlaczego? Ponieważ Norwegia chce być tym, czym była, kiedy chciała być tym, czym jest teraz. I ponieważ „bycie dobrym" jest typowo norweskie. Nie ma żadnego znaczenia, że definicja narodowej kultury i tożsamości sformułowana przez byłą premier Gro Harlem Brundtland – „To typowo norweskie być dobrym" – jest po cichu wyśmiewana. Definicja ta utrwaliła się na tyle mocno, ze prości ludzie w nią uwierzyli. Narodowe zafiksowanie na dobroci, dobrobycie i „przytulności" (*kos*) jest na tyle powszechne, że pozwala wznieść się ponad różne gospodarcze i kulturowe skandale. Norwegia ma więcej łóżek szpitalnych na mieszkańca niż jakikolwiek inny kraj, ale kolejki w służbie zdrowia wciąż rosną i kraj ma problem z pacjentami leżącymi na korytarzach. Roczne wynagrodzenie irlandzkiego profesora wynosi między 800 tysiącami a 1,1 miliona koron, podczas gdy wynagrodzenie norweskiego profesora jest mniej więcej o połowę niższe. Pomimo prawie pełnego zatrudnienia kobiet mówi się, że zbyt mało z nich pracuje na stanowiskach kierowniczych. Norwegia dobrobytu pełna jest absurdów. W oczekiwaniu na mieszkanie komunalne z Urzędu Pracy i Opieki Społecznej (NAV) sześcioosobowa rodzina zostaje na trzy miesiące umieszczona w hotelu, ponieważ nie można znaleźć lokum, które kosztuje mniej niż 8 tysięcy koron na miesiąc. Rozwiązanie: państwo płaci 100 tysięcy koron miesięcznie za hotel, podczas gdy rodzina czeka i czeka.

Oczywiście w perspektywie porównawczej takie potknięcia są tylko przysłowiowym szukaniem dziury w całym. W roku 2011 Norwegia to kraj, który można porównać ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi albo Katarem, gdzie wkrótce nie trzeba będzie robić nic poza cieszeniem się życiem. Kraj w drodze z *welfare state* do *leisure state*, jak opisuje to Atle Midttun, profesor Wyższej Szkoły Biznesu (BI). Do tego Norwegia ma również bardzo dynamiczną sferę publiczną. Szpalta *Opinie i debaty* w największym dzienniku „Aftenposten" jest przykładem, jak dzięki sprytnej nawigacji pomiędzy ortodoksją, głosami odszczepieńców i czystą prowokacją redaktorzy z dużym sukcesem potrafią nie tylko wszcząć dyskusję wokół kluczowych pytań, ale także uczynić *Kronikk*[4] najbardziej prestiżową stroną w norweskiej prasie. Cała norweska elita i imigrancka inteligencja marzy o opublikowaniu swojej krytyki *Norwegian Dream* w *Kronikk*. Niżej podpisana, która przyznaje bez bicia, że kultywuje polemiczne pióro, nie może wyjść z podziwu nad setkami listów i maili, jakie otrzymuje od zmartwionych lub zachwyconych czytelników w odpowiedzi na swoje artykuły. Stwierdzenie, że Norwegowie są tylko bogaci i zadufani w sobie, jest więc ryzykowne; ideał odpowiedzialnego obywatela przejętego dobrem kraju jest nadal aktualny

Prawdę powiedziawszy, połączenie dobroci i szczęścia jest nieco mdlącą mieszanką. Ale tak właśnie jest, że niektórzy ludzie na tym świecie muszą znosić zarówno bogactwo, jak i szczęście. Dzisiejsza Norwegia jest idealnym przeciwieństwem Utopii opisanej przez Szymborską. Młodzi i inteligentni Norwegowie mają odwagę pisać: „Dzięki dobremu zarządzaniu i sporej dozie szczęścia Norwegia jest pierwszym społeczeństwem w historii, które może sobie pozwolić na system dobrobytu naprawdę czyniący wszystkich wolnymi. My, którzy żyjemy dziś, jesteśmy bliżej spełnienia swoich marzeń niż ktokolwiek wcześniej. Nasza produktywność przekracza wszystko, co świat kiedykolwiek widział. Mamy więcej pieniędzy i czasu wolnego niż nasi bliźni w reszcie świata. Dlaczego nie potraktować poważnie faktu, że wolność jest warunkiem dobrego życia? (Martin Sandbu, „Aftenposten", 21 lipca 2008).

No właśnie. Dlaczego nie?

ŹRÓDŁA *NORWEGIAN DREAM*

Historia każdego kraju jest sumą geopolityki, mądrości narodowych strategów, szczęścia oraz siły przebicia mitów i przypowieści tworzących i utwierdzających jego własny obraz. Uważam, że istnieje jeden mit, który nie tylko podsumowuje wszystkie składniki norweskiego marzenia, ale który też, w mojej opinii, w dużej mierze zadecydował o światowym sukcesie Norwegii. Mit opowiada o tym, jak można stać się bogatym, szczęśliwym i popularnym bez jednoczesnego wyrządzania szkody naturze albo utraty człowieczeństwa. Jest to oczywiście baśń o Askeladdenie[5]. Jej bohater to uroczy leniuch, który całymi dniami przesiaduje przed kominkiem, grzebiąc i dłubiąc w popiele. Georg Sverdrup zauważył, że Askeladden jest zaskakująco uniwersalną postacią w międzynarodowym folklorze: jest spokrewniony z niemieckim Aschenbrödel (Aschenputtel, Aschenguttel itd.), szkockim Ashpit i Assipete oraz z francuskim Cendreuille lub Cendrillon. Wszystkich ich łączy uwielbienie dla *dolce far niente* – słodkiego lenistwa – i osiągają wiele przy niewielkim wysiłku. W światowych baśniach obecni są w różnych wersjach, jako rosyjski Iwan-*duraczok*, francuski *guignol*, angielski Robin Hood, północnoamerykańskie kojoty. Antropolodzy mają dla nich imię: *tricksters* albo *underdogs*; ci, którzy wspinają się na szczyt, wykorzystując spryt lub solidarność ze słabszymi.

Pomimo że genealogicznie jest to kulturowy „bękart”, norweska kultura zaanektowała Askeladdena jako rzecznika narodu. Jest on wyjątkowo norweskim chłopcem: ma wszystkie cnoty cieszące zbiorową duszę i wszystkie ukochane przez dzieci wady. Askeladden nie jest żadnym supermanem. To geniusz w przebraniu wiejskiego głupca – jedyny rodzaj geniuszu, jaki Norwegowie tolerują. Jego lenistwo wymaga szacunku, bo może w każdej chwili zmienić się w fantazyjne i odważne wyczyny. Mimo że jest wiejskim nierobem, należy traktować go z honorem, ponieważ w środku kryje się pełna współczucia dusza. Czuje więź ze słabymi i potrzebującymi; wielkich i ważnych ustawia w kącie. Troszczy się o cały bajkowy Trzeci Świat – biedną głodną żonę, gołąbka, który utknął na gałęzi, łososia wyrzuconego na brzeg. Styl Askeladdena nie jest ani romantyczny, ani idealistycz-

ny; jest pragmatyczny i plebejski. Jeśli ubiega się o pracę u króla, to nie dlatego, że jest zakochany w królewnie; szuka po prostu „przyzwoitej roboty, w której można by sobie wędrować po lesie, polach i wzdłuż grządek truskawek, włóczyć się za stadem zajęcy i spać, i lenić się na słonecznych wzgórzach". Baśniowy król, który mieszka nie w pałacu, ale w wiejskiej zagrodzie – bo to mimo wszystko Norwegia PR (Przed Ropą) – jest prześladowany przez złośliwe zjawiska natury. Temu, kto rozwiąże jego problemy, obiecuje w nagrodę rękę swojej córki. Starsi bracia Askeladdena wyruszają, aby wykonać zadanie za pomocą technokratycznych metod – to znaczy bezwzględnej rywalizacji i sztywnych rozwiązań. Po ich porażce na scenę wkracza Askeladden i dzięki wyjątkowemu, ekologicznemu sposobowi działania zdobywa królewnę i połowę królestwa. Askeladden triumfuje, bo:

1) oszczędza energię i wykonuje zadanie, nie starając się zbyt mocno;
2) traktuje naturę jak partnera; zawsze jej słucha i korzysta z jej rad;
3) wierzy w innowacje i inwestuje w niekonwencjonalne rozwiązania;
4) okazuje współczucie i gotowy jest pomóc biednym i potrzebującym;
5) wierzy we własne szczęście.

Morał z tego taki, że wszystko jest możliwe, jeśli tylko nie jest się nadgorliwym. Cały czas chodzi o to, żeby działać w zgodzie z naturą, która troszczy się o zmienne potrzeby człowieka i udziela pomocy, kiedy to konieczne. Także w sensie filozoficznym moralność Askeladdena wskazuje tę właściwą drogę – norweską wersję tao.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że na początku XX wieku Norwegowie należeli do biednych społeczeństw Europy i że przez ostatnie dwieście lat norweskie dzieci były wychowywane na tej budującej opowieści o prostym chłopcu, który stał się bogaty dzięki wierze we własne szczęście, to współczesna Norwegia okaże się uderzającym przykładem tego, że historie, które opowiadamy sobie nawzajem, tworzą nasz świat. Mit o Askeladdenie to słowo, które stało się cia-

łem. Aż do dziś spadek po Askeladdenie nie stracił ani odrobiny swojej magicznej mocy. Kiedy książę Haakon wygłaszał swoją pierwszą mowę tronową, porównał się do swojego mitycznego przodka: „Chłopca, który z czujnością wkracza w życie i nie odrzuca niczego, zanim tego dokładnie nie zbada” („Aftenposten”, 25 sierpnia 2001). Świat chłopskich domów, skąd pochodzi Askeladden, był światem ograniczonych zasobów, gdzie każdy miał trudności ze zdobyciem czegoś do garnka. Dlatego oszczędność, umiar, zdolność przewidywania, a także umiejętność odstąpienia od sztywnych reguł na rzecz twórczych rozwiązań powinno się przestudiować na nowo w kontekście globalnego kryzysu klimatycznego. Askeladden jest bohaterem, który czeka, aby go odkryć i wprowadzić do podręczników szkolnych, reklamy i programów telewizyjnych – i pokazać, że świat opierający się na zrównoważonym rozwoju może być sexy.

DEKADENCJA, CNOTA CZY WOLONTARIAT?

Jakie możliwe wersje przyszłego państwa dobrobytu kryje Norweskie Marzenie? Odpowiedź jest oczywiście przedmiotem spekulacji, ale odważę się przedstawić trzy różne scenariusze. Jeden z nich sugeruje spóźnioną norweską dekadencję. Jak zaobserwował Monteskiusz, dekadencja jest wyrazem przesadnego dobrobytu powiązanego ze zmierzchem i przemęczeniem. Istnieją pewne cechy charakterystyczne dla dekadenckich społeczeństw, które studiowali tacy myśliciele, jak Carlyle, Nietzsche i Croce. Podsumowując je, można określić dekadencję jako okres, w którym:

1) wiara w to, że chciwość jest *the name of the game*, ma powszechną społeczną akceptację;

2) pod wpływem dobrobytu kult ego znacząco rośnie (pojawia się „generacja ja”);

3) pojawia się sceptycyzm w stosunku do konieczności obrony wartości własnej kultury;

4) mężczyźni postrzegani są jako „płeć słabsza”;

5) polityka i życie publiczne zaczynają bardziej przypominać teatr niż moralne działania;

6) w sztuce i badaniach naukowych krytyka góruje nad kreatywnością;

7) chowanie głowy w piasek staje się strategią polityczną.

Paradoksalnie, scenariusz dekadencki jest w równym stopniu owocem demokracji konsumpcyjnej, jak i produktem pomysłów radykalnej lewicy. Jej walka na rzecz dobra wszystkich doprowadziła zarówno do stworzenia prawdziwego państwa dobrobytu, jak i do wzrostu liczby osób żyjących na zasiłkach. Feministyczne ideały zrodziły niesłychane możliwości awansu społecznego, jednocześnie zasiewając lęk wśród męskiej części populacji. Relatywizm zasilił wzniosłe projekty ONZ, lecz przyczynił się również do postrzegania przez elity patriotyzmu jako przeżytku, a nacjonalizmu jako dzieła szatana. Radykalna krytyka nie tylko paraliżuje kreatywne i wizjonerskie myślenie; prowadzi również do tego, że oddziały reakcyjnej Partii Postępu (Fremskrittspartiet) przechwytują najlepsze lewicowe pomysły. Efektem tych wszystkich procesów jest romans norweskiego społeczeństwa z prawicą i stopniowa zdrada „Reżimu Dobroci”[6]. Gloryfikacja bezpieczeństwa prowadzi do obojętności wobec politycznych i ekonomicznych zagrożeń. Kiedy Rosja zaatakowała Gruzję w sierpniu 2008 roku, Norwegia jak zwykle była na wakacjach. Jedynie „Dagsavisen”[7] uchwycił istotę typowego dla baśniowego Askeladdena lenistwa: „Premier Jens Stoltenberg i Lars Sponheim są na polowaniu. Minister rybołówstwa, Helga Pedersen, jest na jagodach”.

Drugi scenariusz dotyczy dalszych o inwestycji w norweską cnotę, tudzież jej eksportu do innych krajów. Norwegia będzie wtedy musiała podwoić albo potroić pomoc dla krajów rozwijających się, budować szkoły dla pokojowych mediatorów, kupić cały las równikowy, wprowadzić na rynek nową superczystą technologię, rozwinąć ekologiczną żeglugę i przekształcić Ministerstwo Spraw Zagranicznych i Uniwersytet w system zarządzania norweską pomocą dla świata. Taka cudowna kraina nie jest nieprawdopodobna. Kiedy Hans Magnus Enzensberger w 1982 roku stwierdził, że „Norwegia jest laboratorium przyszłości Europy”, miał na myśli właśnie zdolność tego kraju do stania się społecznym i politycznym *cutting edge* (czołówką). Nie wspomniał tylko o wyzwaniach związanych z tą fantastyczną rolą

przewodniczącego planety Ziemia. Aby wymienić tylko dwa z nich: Norwegowie wygłaszający kazania o wojnie i pokoju są trochę jak katoliccy księża, którzy wykładają o małżeństwie i seksie, chociaż mają małe doświadczenie w obu dziedzinach. Istnieje również niebezpieczeństwo, że status Norwegii jako niepokalanej „Madonny" w grzesznym świecie wzmocni mit o norweskim moralnym dziewictwie. Jak wiadomo, dziewictwo zawsze zarówno pociągało, jak i odpychało. Pociągało, ponieważ kojarzy się z moralną samowystarczalnością, ekskluzywnością i oporem. Zachęcało do zachowania dystansu, ponieważ sugeruje nadmierną miłość do samego siebie, chciwość, zarozumiałość i podejrzliwość wobec namiętności innych. Podsumowując, dziewictwo jest problematyczną cnotą w globalnej przyszłości naznaczonej swobodą seksualną. Nie tylko dlatego, że, jak mówią Włosi, pod pępkiem nie ma ani religii, ani prawdy. Również dlatego, że kult cnoty stwarza niebezpieczeństwo zagubienia się w świecie fantazji, gdzie przecenia się swoje kosmiczne znaczenie lub gdzie człowiek łatwo staje się zabawką w rękach złoczyńców i piratów.

Istnieje jeszcze trzeci scenariusz. Zaproponował go już na początku XIX wieku francuski naukowiec Jean-Gabriel Tarde, próbując odkryć mechanizm innowacji. W przeciwieństwie do Schumpetera, który twierdził, że warunkiem innowacyjnych przełomów jest „twórcza destrukcja", Tarde uważał, że najlepszą przesłanką do powstawania nowych pomysłów jest społeczna interakcja, którą nazwał *coopération de rencontre inter-cérébrale*. Nowa wiedza i twórcze rozwiązania nie są efektem konfliktu czy konkurencji, ale rezultatem interakcji między ludźmi i spotkania intelektów. Mimo że takie twórcze procesy często są powolne i zamiast rewolucyjnych przełomów niosą za sobą ewolucyjne zmiany, nierzadko prowadzą do powstania trwalszych innowacji służących ludzkiej cywilizacji. W Norwegii ta komunikatywna współpraca ma długą tradycję i nazywa się *dugnad* (społeczny wolontariat). Jest to obustronny system wsparcia, który zapewnia lepsze, bardziej elastyczne rozwiązywanie problemów. Nie mówię tu o dobrowolnych projektach organizowanych w spółdzielniach mieszkaniowych, które w 2004 roku uczyniły wolontariat męczącym narodowym sloganem. Mam na myśli wolontariat jako *mo-*

dus operandi opierający się na partnerstwie zbudowanym wokół wspólnego celu. Występuje on w *Naszej wspólnej przyszłości*, raporcie o zrównoważonym rozwoju przygotowanym przez komisję Brundtland. Stanowił on również siłę napędową budowy norweskiej współczesności. Norweski model partnerstwa – między ludźmi i naturą, mężczyznami i kobietami, władzą i przemysłem, związkami zawodowymi i biznesem – został utrwalony przez złoty okres socjaldemokracji. Norwegia wolontariatu, kraj zbudowany przez mądrych „strategów narodowych", których studiowali Rune Slagstad i Francis Sejersted – to kraj, w którym nie chodzi o geniuszy czy bohaterską odwagę ani o estetyczne osiągnięcia, ale o zmobilizowanie wszystkich pokoleń do wspólnej pracy dla dobra społeczeństwa.

Stąd też trzy centralne pytania w tym pamflecie: 1) kim są współcześni twórcy, pośrednicy i przeciwnicy norweskiego marzenia i jakie są stosunki między nimi? 2) Czy rozkwitająca Norwegia zawiera ziarno rozpadu, czy może kraj ten jest prototypem ogólnoziemskiego wolontariatu, który uzdrowi planetę? 3) W jaki sposób my inni – goście w najlepszym kraju świata – możemy pomóc Norwegii snuć ciekawsze i mniej utopijne marzenia o samej sobie?

przełożyła Anna Schmidt

Michał Syska

Czerwono-czerwona koalicja, czyli odrodzenie socjaldemokracji

Dziesięć lat temu norwescy socjaldemokraci ponieśli jedną z najdotkliwszych porażek wyborczych w swojej ponadstuletniej historii. Dzięki mobilizacji dołów partyjnych i presji ze strony związków zawodowych dokonali programowej rewizji, wyszli z kryzysu i dwukrotnie wygrali wybory. Od 2005 roku Norweska Partia Pracy (Arbeiderpartiet, Ap) współtworzy czerwono-czerwono-zieloną koalicję z radykalną Socjalistyczną Partią Lewicy (Sosialitisk Venstreparti, SV) i Partią Centrum (Senterpartiet, Sp). Pogrążone w kryzysie ugrupowania socjaldemokratyczne z innych krajów Starego Kontynentu szukają inspiracji w doświadczeniach norweskiej lewicy. Przyjrzyjmy się więc jej bliżej.

HISTORYCZNA KLĘSKA PARTII PRACY

Pod koniec lat 90. ubiegłego stulecia większość zachodnioeuropejskich partii lewicowych za swój ideowy i programowy kompas uznała tezy *Manifestu socjaldemokratycznego* Tony'ego Blaira i Gerharda Schroedera. Kurs na centrum politycznego spektrum i pogodzenie się z neoliberalnym kapitalizmem – takiej reorientacji podlegały główne ugrupowania lewicy. I choć Norweska Partia Pracy oficjalnie nie zaadaptowała głównych idei blairyzmu i nie odrzuciła nordyckiego modelu *welfare state*, to „trzecia droga" stała się przedmiotem publicznych debat – i przyczyną obaw bazy partyjnej i związkowej.

Jens Stoltenberg, wybrany wiosną 2000 roku szef frakcji parlamentarnej Ap, a potem, w latach 2000–2001, premier, był przedstawiany przez media jako „norweski Tony Blair". Rozpatrywane przez

jego gabinet cięcia niektórych wydatków socjalnych oraz plan częściowej prywatyzacji państwowego koncernu Statoil wzbudziły opór związków zawodowych oraz potwierdziły obawy tych, którzy spodziewali się po rządzie Stoltenberga odejścia od socjaldemokratycznych wartości. W partii narastał spór pomiędzy „modernizatorami" (których kojarzono z urzędującym premierem) a „tradycjonalistami" (którzy skupili się wokół przewodniczącego Ap Thorbjorna Jaglanda).

Wybory parlamentarne we wrześniu 2001 roku okazały się katastrofalne dla Norweskiej Partii Pracy. Socjaldemokraci zdobyli 24 proc. poparcia, co było najgorszym wynikiem od siedemdziesięciu siedmiu lat. Ap straciła przede wszystkim głosy młodzieży i swojego tradycyjnego elektoratu. Tylko 56 proc. osób, które zagłosowały na socjaldemokrację w 1997 roku, uczyniło to samo cztery lata później. Na Ap zagłosowało też zaledwie 33 proc. związkowców, podczas gdy w poprzednich wyborach socjaldemokratów poparło 54 proc. członków centrali Landsorganisasjonen i Norge (LO). I tak Norweska Partia Pracy, która położyła podwaliny pod nordycki model państwa dobrobytu, znalazła się w głębokim kryzysie.

JAK SOCJALDEMOKRACJA BUDOWAŁA PAŃSTWO DOBROBYTU

W 1935 roku Ap sformowała mniejszościowy rząd dzięki poparciu Partii Farmerów (dzisiejsza Partia Centrum). W tym samym roku centrale związkowe zawarły z organizacjami pracodawców porozumienie, które stało się historycznym kompromisem między pracą a kapitałem. Polegał on na ustaleniu zasad rozwiązywania konfliktów i zawieraniu zbiorowych porozumień na poziomie krajowym, branżowym i zakładowym.

Po II wojnie światowej socjaldemokraci sprawowali władzę – z krótkimi przerwami – przez czterdzieści pięć lat. Współpracując ze związkami zawodowymi, stworzyli podstawy, a następnie rozwijali *Nordic welfare state* – państwo opiekuńcze, które dzięki finansowaniu z podatków zapewnia wszystkim mieszkańcom satysfakcjonujący

poziom życia. System ten opiera się na publicznej służbie zdrowia i edukacji, zapewnia opiekę nad dziećmi, wspiera studiującą młodzież. Państwo gwarantuje też minimalną emeryturę (*volkspension*) i świadczenia socjalne finansowane z podatków od konsumpcji.

Fundamenty pod norweskie państwo opiekuńcze pierwszy położył po II wojnie światowej socjaldemokratyczny premier Einar Gerhardsen. To wtedy klasa robotnicza zyskała wpływ na życie polityczne, rozwój gospodarczy i społeczny. Kolejne lewicowe gabinety pod przewodnictwem Trygve Bratelliego oraz Odvara Nordliego dokonały reform, które znacząco poprawiły jakość życia Norwegów.

Z kolei rządy Gro Harlem Brundtland (1986–1989 oraz 1990–1996), charyzmatycznej przywódczyni Partii Pracy, stały pod znakiem modernizacji *Nordic welfare state* i – przede wszystkim – zwiększenia roli kobiet w norweskim społeczeństwie. Wprowadzono systemy kwotowe w partiach politycznych, administracji i państwowych przedsiębiorstwach. Priorytetem dla Brundtland, matki czwórki dzieci, było zlikwidowanie wszelkich barier stojących przed kobietami na rynku pracy oraz upowszechnienie dostępu do usług opiekuńczych (zwłaszcza całodziennej opieki nad dziećmi). Konsekwentna realizacja tych zamierzeń oraz widoczne rezultaty reform sprawiły, że jej nazwisko stało się synonimem sukcesu. Gdy w 1996 roku Brundtland zrezygnowała z urzędu, motywując swoją decyzję przyczynami osobistymi, socjaldemokraci mieli nie lada kłopot ze znalezieniem równie popularnego i charyzmatycznego lidera. Była to także jedna z przyczyn klęski wyborczej w 2001 roku.

ZWIĄZKI ZAWODOWE BIORĄ SPRAWY W SWOJE RĘCE

Cechą charakterystyczną państw skandynawskich jest bardzo bliska współpraca związków zawodowych i partii socjaldemokratycznych. Norwegia nie jest tu wyjątkiem. Największą centralą związkową – LO – oraz Partię Pracy określa się często mianem „bliźniąt syjamskich”. Jednak od lat 90. ubiegłego wieku w szeregach związkowców rosło

niezadowolenie ze współpracy z Ap, którego przyczyną były pomysły komercjalizacji i prywatyzacji wielu usług publicznych.

Przełom w stosunkach LO i Partii Pracy nastąpił w 2003 roku. W Trondheim, trzecim co do wielkości norweskim mieście, związki zawodowe przedstawiły partiom politycznym listę dziewiętnastu postulatów. Od ich poparcia uzależniły swoją postawę w zbliżających się wyborach samorządowych. Związkowcy domagali się także, by na podstawie udzielonych odpowiedzi jeszcze przed wyborami uformowała się przyszła koalicja rządząca miastem. Głównym postulatem związkowców było wycofanie się z procesów prywatyzacyjnych, które rozpoczęła prawicowa większość w radzie miejskiej. Lokalne wybory okazały się sukcesem Partii Pracy i Socjalistycznej Partii Lewicy, które zawiązały potem koalicję z mniejszymi ugrupowaniami. W kolejnych wyborach czerwono-zielona koalicja znów zyskała społeczny mandat do rządzenia, ponieważ udało się jej zrealizować prawie wszystkie z dziewiętnastu postulatów związków zawodowych.

Tę samą metodę wpływania na życie polityczne i program lewicy związki zawodowe powtórzyły na szczeblu ogólnokrajowym. We wrześniu 2004 roku ogłosiły akcję „długa kampania wyborcza”, której celem było ustanowienie większościowej lewicowej koalicji rządowej po wyborach parlamentarnych. Do członkiń i członków organizacji związkowych rozesłano ankietę, pytając, jakie są ich oczekiwania wobec przyszłego lewicowego gabinetu. Na podstawie odpowiedzi sformułowano listę pięćdziesięciu dziewięciu postulatów dotyczących polityki społecznej, gospodarki i spraw międzynarodowych. Podobną strategię przyjęły także różne ruchy społeczne, ekologiczne i alterglobalistyczne. Związkowcy i aktywiści byli przekonani, że samodzielny rząd Partii Pracy nie spełni tych żądań – może to zapewnić tylko koalicja Ap z Socjalistyczną Partią Lewicy. Jednak ze względu na fakt, że SV byłaby słabszym partnerem w takim hipotetycznym gabinecie, potrzebna była silna presja ze strony ruchów pracowniczych i społecznych. W konsekwencji związki zawodowe i ruchy społeczne miały znaczący wpływ na programu wyborczy Ap, SV i Partii Centrum oraz odegrały zasadniczą rolę w mobilizowaniu wyborców podczas zwycięskich dla lewicy wyborów we wrześniu 2005 roku.

ALLE SKAL MED!, CZYLI MOBILIZACJA SOCJALDEMOKRATÓW

Porażka wyborcza w 2001 roku nasiliła wewnętrzne dyskusje socjaldemokratów na temat programu i politycznej strategii. Zaczęły się oddolne próby rewizji dotychczasowej polityki Ap i stylu działania liderów. Członkinie i członkowie lokalnej struktury partyjnej w Sør-Trøndelag opublikowali wspólne stanowisko, w którym skrytykowali brak wewnątrzpartyjnej komunikacji, arogancję przywódców i pomysły prywatyzacji usług publicznych, jakie formułowali w mediach niektórzy politycy Ap. Dokument ten stał się podstawą oficjalnej uchwały tej regionalnej struktury Ap, w której domagano się odnowy ugrupowania, powrotu do socjaldemokratycznych wartości i rozwoju *Nordic welfare state* opartego na „kolektywnych rozwiązaniach" finansowanych z podatków.

Pod wpływem takich oddolnych działań i presji ze strony LO Partia Pracy dokonała programowego zwrotu na lewo. Zadeklarowała ścisłą współpracę ze związkami zawodowymi, odrzuciła koncepcję prywatyzacji usług publicznych, podkreślała rolę państwa w strategicznych przedsiębiorstwach państwowych oraz wykluczyła obniżkę podatków od luksusowej konsumpcji. W ten sposób został wykonany wielki krok w stronę czerwono-czerwono-zielonej koalicji.

JAK POWSTAŁA LEWICOWA KOALICJA?

W pierwszych latach powojennych Norweska Partia Pracy miała w parlamencie większość i mogła rządzić samodzielnie. Tak było też później, gdy tworzyła gabinety mniejszościowe. Jednak na początku XXI wieku polityczne realia się zmieniły. Realizacja socjaldemokratycznego programu wymagała stabilnej większości, a tę zapewnić mogła tylko koalicja z innymi partiami.

W marcu 2004 roku Jens Stoltenberg zapowiedział podczas posiedzenia komitetu centralnego Ap (Landsstyret), że socjaldemokraci są otwarci na współpracę z innymi partiami. Wykonał też pojednawczy gest wobec Socjalistycznej Partii Lewicy, mówiąc, że dotychczasowe

kłótnie pomiędzy obiema partiami osłabiają obie formacje. „Zamiast takich dyskusji, debatujmy z rządzącą prawicą” – nawoływał. Ociepleniu relacji między Ap i SV służył też układ miejsc zajmowanych przez posłów w norweskim parlamencie (Storting). W przeciwieństwie do polskiego Sejmu deputowani nie zasiadają tam zgodnie z przynależnością do danej frakcji, ale według okręgów wyborczych, z których zostali wybrani. Dzięki temu lider Partii Pracy zasiadał w ławie razem z Kirstin Halvorsen, przewodniczącą SV. Szybko się przekonali, że doskonale się rozumieją. Wkrótce rozpoczęły się nieformalne spotkania parlamentarzystów Ap i SV, podczas których pracowano nad wspólnym programem wyborczym. Do rozmów dołączyła następnie Partia Centrum.

Celem wszystkich trzech formacji było nie tylko zawarcie powyborczej koalicji rządowej, ale także wspólna kampania wyborcza. Zadanie to nie było łatwe z uwagi na różnice programowe. SV powstała w 1961 roku (pod nazwą Socjalistyczna Partia Ludowa) z inicjatywy byłych członków Partii Pracy, którzy sprzeciwiali się członkostwu Norwegii w NATO. W 1975 roku do ugrupowania dołączyli socjaldemokraci niechętni przystąpieniu Norwegii do wspólny europejskiej oraz ekolodzy, środowiska feministyczne i rozłamowcy z partii komunistycznej. Z kolei ekologiczno-agrarna Partia Centrum była zwykle ugrupowaniem „obrotowym”, od czasu do czasu wchodziła też w sojusze z prawicą.

W kwestiach związanych z polityką społeczną, równym statusem kobiet i mężczyzn czy ochroną środowiska nie było większych kontrowersji między partnerami przyszłej koalicji. Największe różnice dotyczyły spraw międzynarodowych i polityki zagranicznej. Udało się jednak osiągnąć kompromis, który opierał się na trzech filarach: Partia Pracy zaakceptowała propozycję, że do końca trwania koalicji Norwegia nie zostanie członkiem Unii Europejskiej. SV zgodziła się, że w tym samym okresie Norwegia będzie nadal w NATO i Europejskiej Strefie Ekonomicznej (EEA). Również Partia Centrum zgodziła się na dalsze członkostwo Norwegii w EEA. W czerwcu 2005 roku Ap, SV i Sp oficjalnie zaprezentowały na konferencji prasowej 155 punktów programowych, co do których osiągnęły porozumienie.

WYBORCZY SUKCES LEWICOWEJ KOALICJI

Wybory we wrześniu 2005 roku były sukcesem lewicowej koalicji, zwłaszcza dla Partii Pracy, która uzyskała prawie 33 proc. głosów. Socjaldemokraci zdobyli trzykrotnie większe poparcie wśród głosujących niż cztery lata wcześniej. Odzyskali też swój tradycyjny elektorat (o 20 proc. poprawili notowania wśród związkowców z LO w porównaniu z rokiem 2001) oraz zyskali popularność wśród kobiet. Przesunięcie się Partii Pracy na lewo wpłynęło na słabszy wynik SV, która osiągnęła 8,8 proc. (15,5 proc. w 2001 roku). Lewicowa koalicja w sumie zdobyła osiemdziesiąt siedem miejsc w parlamencie, a opozycja osiemdziesiąt dwa.

Miesiąc po wyborach liderzy Ap, SV i Sp przedstawili szczegółowy program działania nowego rządu, który opierał się na 155 punktach przedstawionych w trakcie kampanii. Na siedemdziesięciu czterech stronach zawarto dokładny opis przedsięwzięć, których podejmie się nowy gabinet. W wielu kwestiach agenda ta było dużo bardziej lewicowa niż dotychczasowe deklaracje Partii Pracy. Celem czerwono-czerwono-zielonej koalicji było zastopowanie komercjalizacji i prywatyzacji usług publicznych oraz zwiększenie ich efektywności, modernizacja („modernizacja zamiast prywatyzacji”) przedsiębiorstw państwowych (np. Statoil, Telenor), wprowadzenie genderowego systemu kwotowego (40 proc.) w zarządach państwowych i prywatnych firm.

Premierem nowego rządu został lider socjaldemokratów Jens Stoltenberg. Na dziewiętnaście ministerstw dziesięć przypadło Ap, pięć SV, a cztery Sp. Kirstin Halvorsen z Socjalistycznej Partii Lewicy objęła prestiżową tekę ministra finansów i z sukcesem stawiła czoło kryzysowi dzięki publicznym inwestycjom w ochronę miejsc pracy i działania w sektorze bankowym. Rząd spełnił też obietnicę zapewnienia opieki przedszkolnej wszystkim dzieciom od drugiego roku życia. Wprowadzono również mechanizmy integrujące dzieci i młodzież z rodzin imigranckich (zwiększył się odsetek uczniów-imigrantów kończących szkoły, poprawiła się jakość kształcenia w placówkach, do których uczęszczają dzieci z mniejszości etnicznych).

Zwiększono państwową kontrolę w kilku ważnych dla norweskiej gospodarki przedsiębiorstwach.

Wybory w 2009 roku przyniosły kolejny wzrost poparcia dla Partii Pracy, która zdobyła 35,4 proc. głosów. Partia Centrum utrzymała swój stan posiadania (6,2 proc.), znów straciła natomiast SV, która uzyskała 6,2 proc. głosów. Socjalistyczna Partia Lewicy w przeciwieństwie do socjaldemokratów nie stała się beneficjentem czerwono-czerwono-zielonej koalicji. Zwrot na lewo Ap odebrał jej na pewno część bardziej umiarkowanych wyborców. Z kolei udział w rządzeniu i związane z tym kompromisy mogły zniechęć najbardziej radykalnych zwolenników. Jednak w powyborczych analizach stwierdzono, że koalicyjny rząd prowadzi politykę bliską ideałom SV i dobrą dla Norwegii. Dylemat socjalistów polegał więc na tym, że to, co służyło społeczeństwu, nie służyło ich ugrupowaniu. Uznali jednak, że nie jest to powód do opuszczania rządu. Po ostatnich wyborach parlamentarnych w Norwegii nadal rządzi koalicja Ap, SV i Sp.

NORWESKA RECEPTA NA ODNOWĘ EUROPEJSKIEJ SOCJALDEMOKRACJI?

Badania opinii publicznej przeprowadzone na zlecenie Partii Pracy pokazują, że większość norweskiego społeczeństwa popiera nordycki model państwa opiekuńczego, opierający się na uniwersalnym systemie polityki społecznej, wysokich podatkach i usługach publicznych. Zwolennicy tych rozwiązań są nie tylko wśród osób popierających aktualny rząd, ale także w gronie zwolenników partii prawicowych. W ostatnich wyborach czerwono-czerwono-zielona koalicja uzyskała jednak nieznacznie mniejsze poparcie (47,9 proc.) niż partie prawicowe (49,5 proc.). Mimo to lewica utrzymała władzę, gdyż ordynacja wyborcza pozwoliła jej zdobyć nieco więcej miejsc w parlamencie.

Sytuacja ta pokazuje problem, przed którym stoją ugrupowania socjaldemokratyczne w całej Skandynawii, nie tylko w Norwegii. Mimo powszechnej społecznej akceptacji dla socjaldemokratycznych rozwiązań ustrojowych, partie te straciły dominującą pozycję w swoich

krajach. Przykład norweskiej koalicji jest wciąż postrzegany jako atrakcyjny wzór do naśladowania, ale podjęta w 2010 roku w Szwecji próba powtórzenia norweskiego scenariusza, polegająca na sojuszu wyborczym socjaldemokratów, postkomunistycznej Partii Lewicy i Zielonych, nie przyniosła oczekiwanych rezultatów i tym wciąż najbardziej socjaldemokratycznym państwem na świecie rządzi centroprawica.

Zapewne proste przeniesienie norweskiego wzorca do innego kraju nie jest możliwe, ale doświadczenia czerwono-czerwono--zielonej koalicji mogą być inspiracją dla środowisk lewicowych w całej Europie. Pokazują one, że drogą do odnowy socjaldemokracji i odzyskania znaczenia na scenie politycznej może być realizacja konsekwentnego lewicowego programu przy wsparciu ruchów społecznych i związków zawodowych.

Z Alim Esbatim rozmawia Jan Smoleński

Bez walki nie ma sukcesów

Jan Smoleński: Jaka jest sytuacja lewicy w Norwegii? Czy wartości i poglądy socjaldemokratyczne są dominujące? A może parlamentarna lewica jest lewicą tylko z nazwy?

Ali Esbati: To trudne pytanie. Odpowiedź zależy od tego, co rozumiesz pod pojęciem „lewica”. Trzeba zauważyć, że poza przechodzącymi kryzys krajami Europy Południowej, Norwegia jest jednym z niewielu państw, które mają obecnie centrolewicowe rządy. Jednocześnie, i to być może jest ważniejsze, Norwegii udało się przejść przez pierwsze fazy światowego kryzysu finansowego z wysokim poziomem zatrudnienia i bez znaczących cięć w wydatkach na usługi publiczne, powszechnych w innych krajach. Również norweskie związki zawodowe idą pod prąd dominującemu w Europie trendowi, ponieważ wzrasta liczba ich członków.

Moim zdaniem, poparcie dla relatywnie wysokiego poziomu równości i dla równego dostępu do usług publicznych jest silne. Wartości te są zakorzenione w norweskim społeczeństwie, więc koncepcja „modelu norweskiego” (czy „modelu nordyckiego”) wciąż trzyma się mocno. To oczywiście nie przekłada się automatycznie na poparcie dla socjaldemokracji i/lub postępowej lewicy podczas wyborów czy na radykalną mobilizację. Żeby tak się stało, lewica – parlamentarna czy pozaparlamentarna – musi się aktywnie odnosić do obecnej rzeczywistości społecznej.

Partie prawicowe są bardziej niż kiedykolwiek świadome faktu, że nowoczesny model pomocy społecznej ma duże poparcie. To spowodowało, że zmieniły nieco swoją retorykę i stwierdziły, że również wspierają te fundamentalne wartości, podczas gdy w praktyce proponują zmiany, które doprowadzą do ich głębokiej korozji.

Czy w takim razie w Norwegii są jakieś znaczące konflikty społeczne i polityczne? Czy może wasz kraj to postpolityczny raj?
Postpolityczny krajobraz przypominałby bardziej pustynię niż raj. Oczywiście mamy konflikty społeczne i polityczne. Superbogaci powiększyli swój majątek dużo szybciej niż w wielu innych krajach. Jednocześnie jest wiele rodzajów tradycyjnych napięć związanych z płacami i warunkami pracy, także w odniesieniu do pracy imigrantów, którzy są zazwyczaj bardziej wyzyskiwani. W norweskiej polityce obecny jest również problem podziału na centrum i peryferia, który do pewnego stopnia przecina standardowe podziały partyjne.

Istnieje również znacząca różnica zdań odnośnie tego, jak państwo opiekuńcze i sektor publiczny powinny się rozwijać. Partie prawicowe są za większą prywatyzacją, zwłaszcza przez tworzenie systemów bonów i innych metod wprowadzania prywatnych firm do finansowanego z publicznych pieniędzy sektora opiekuńczego. W debacie publicznej wciąż pojawiają się ataki na „utrzymywanie" świadczeń społecznych, z powtarzającymi się nawoływaniami, że praca musi się bardziej „opłacać" (w przeciwieństwie do bycia na zasiłku czy zwolnieniu lekarskim). To są poglądy prezentowane nie tylko przez polityków partyjnych, ale również przez wpływowych komentatorów, ekonomistów itp. Na przykład federacja pracodawców niedawno stwierdziła, że Norwegia musi stawić czoła wyzwaniom w postaci trzech „fal" – migracji, osób w podeszłym wieku i zasiłkobiorców. Twierdzono, że „coraz większa część norweskiej populacji pozostaje poza rynkiem pracy", co jest oczywistą nieprawdą. Wskaźnik udziału Norwegów w rynku pracy rósł stale przez ostatnie trzy dekady i obecnie jest jednym z najwyższych na świecie. Ale tego rodzaju walki pozycyjne wciąż się toczą, co wskazuje na leżące u ich podstaw konflikty klasowe.

Wspomniałeś o prywatyzacji usług publicznych. Czy jest to rosnący trend? Czy takie pomysły zyskują poparcie społeczne?
Poziom prywatyzacji usług publicznych faktycznie wzrósł w ostatnich dziesięcioleciach i socjaldemokratyczne rządy są również za to odpowiedzialne. Obecnie to ważny punkt politycznego sporu, w którym związki zawodowe odgrywają dużą rolę. W Norwegii władze miejskie

zajmują się wieloma ważnymi usługami publicznymi. Prawica na poziomie lokalnym zazwyczaj preferuje prywatnych dostarczycieli usług, ale nie tylko. We wrześniu odbędą się wybory lokalne i ten temat będzie jednym z ważniejszych punktów debaty.

Pytam o prywatyzację, ponieważ w sąsiedniej Szwecji „wprowadzanie konkurencji" do usług publicznych tłumaczono wstąpieniem do Unii Europejskiej. Co sądzisz o Unii? Co o niej sądzą Norwegowie?

Jestem przeciwko członkostwu w Unii. Brałem udział w szwedzkich kampaniach przeciwko akcesji i wprowadzeniu euro – ta druga okazała się skuteczna. Podobnie myśli zdecydowana większość norweskiej lewicy i badania opinii publicznej pokazują, że również większość norweskiego społeczeństwa jest przeciwko. Ruch antyunijny jest u nas dość popularny. Dwoma zasadami realnie rządzącymi istniejącą Unią jest ponadnarodowość i fundamentalizm rynkowy. Decyzje są podejmowane coraz dalej od obywateli, a postęp osiągnięty dzięki zmaganiom na szczeblu narodowym jest podporządkowany prawom rynku. Rozumiem, że lewica w innych krajach zdecydowała się przyjąć inne stanowisko (choć również ona bywa bardzo krytyczna wobec pewnych traktatów i dyrektyw), ale w krajach skandynawskich lewica jest antyunijna.

Wspomniałeś o wpływowych komentatorach. Jak wygląda rynek mediów w Norwegii? Czy są liberalne lub konserwatywne? Czy lewicowe media to margines?

W Norwegii lewicowe media mają się prawdopodobnie lepiej niż w innych krajach, dzięki silnym tradycjom i hojnemu wsparciu dla prasy ze strony państwa. Tak przy okazji: prawicowi populiści z Partii Postępu chcą znieść to wsparcie. Z kolei w Szwecji dzienniki są bardzo prawicowe, jeśli chodzi o formę własności. W żadnym dużym szwedzkim mieście nie ma socjaldemokratycznej gazety porannej. Pozycja zawodowa i społeczna dziennikarzy z dużych miast często powoduje, że mają oni skłonność do ignorowania problemów rynku pracy. To bardzo głęboki problem.

Kraje nordyckie są tradycyjnie uważane za lewicowe i socjaldemokratyczne, ale w wielu z nich partie prawicowe zyskują coraz silniejsze poparcie. Sverigedemokraterna w Szwecji weszła do Riksdagu, Partia Postępu jest drugą największą samodzielną partią parlamentarną w Norwegii. Jakie są przyczyny tej popularności prawicy?

Dobrze to widać na przykładzie Norwegii. W latach 2000–2001 pierwszy rząd socjaldemokratyczny Jensa Stoltenberga zastosował politykę „triangulacji", to znaczy prezentował się jako rząd centrowy, znajdujący się między dwoma ekstremami, bardziej otwarty na rozwiązania rynkowe, prywatyzację itp. Lewica była przekonana, że krok w stronę centrum pozwoli na zdobycie większej liczby głosów, jednak rezultatem była sromotna klęska w wyborach 2001 roku. Z kolei w 2005 roku Norweska Partia Pracy wraz z Partią Socjalistycznej Lewicy i Norweską Partią Centrum (z silnym poparciem w rejonach wiejskich) utworzyły czerwono-zieloną koalicję, która w tym samym roku wygrała wybory i została ponownie wybrana w roku 2009. Najważniejszą przyczyną tego sukcesu był udział związków zawodowych w sformułowaniu nowoczesnego programu i mobilizacja na rzecz zmiany politycznej, a nie tylko taktycznych partyjnych głosowań.

Pomijając ten jeden sukces wyborczy, dominująca tendencja jest taka, że poprzez dezaktywację opartej na podziale klasowym ekonomicznej osi konfliktu socjaldemokracja spod znaku „trzeciej drogi", ale też generalnie lewica, przyczyniła się do przeniesienia środka ciężkości na inne konflikty. Kiedy możliwość zmiany poziomu redystrybucji czy równowagi sił między pracą a kapitałem poprzez zmianę rządu zmalały, ponieważ centrolewicowe i centroprawicowe rządy upodobniły się w swoich propozycjach gospodarczych, otworzyło się pole dla prawicowego populizmu. W takiej sytuacji może skorzystać prawicowy populista, opierający się na ksenofobicznym programie, w którym obecnie decydującą rolę odgrywa islamofobia. Jednak w wielu krajach Europy konserwatyści odnoszą sukcesy, wykorzystując retorykę populistyczną, a jednocześnie unikają skompromitowanych neoliberalnych sloganów. Przy czym trzymają się tych samych pomysłów gospodarczych.

Ksenofobiczna i neoliberalna norweska Partia Postępu jest jednym z najlepszych przykładów sukcesu tego trendu. Udało jej się zbudować pozycję największej partii opozycyjnej. Mimo że nie weszła do rządu, urosła pod względem liczby członków i poparcia wyborców, przekształcając scenę polityczną w Norwegii. Choć program gospodarczy tej partii to rynkowy fundamentalizm, ma ona podejście całkowicie pragmatyczne – unika skojarzeń z niepopularnym neoliberalizmem i przedstawia się jako antyelitarna partia „zwykłych ludzi".

Skoro jednak umiarkowana prawica norweska, podobnie zresztą jak szwedzka Moderaterna, zrezygnowała z wolnorynkowej i antyetatystycznej retoryki na rzecz bardziej lewicowej (Moderaterna nazywa siebie obecnie „nową partią pracy"), to czy nie jest to zwycięstwo w walce o ideologiczną hegemonię? Albo przynajmniej akceptowalna wymiana – obustronny ruch w stronę centrum w zamian za szeroki konsensus w sprawie opiekuńczej roli państwa?

Na przykładzie Szwecji równie dobrze widać, jakie problemy powoduje rezygnacja przez socjaldemokratów z reformistycznego programu na rzecz „szerokiego konsensusu" dotyczącego spraw gospodarczych. Moderaterna nie zrezygnowała z wolnorynkowego programu. W rzeczywistości wprowadziła duże cięcia w podatkach i ostre zmiany systemu opiekuńczego. Ale zrobiła to, zmieniając ton swojej dotychczasowej retoryki – jej członkowie mówili, że „modernizują model szwedzki", nie przyznając, że dogłębnie go zmieniają. Akceptując ich punkt wyjścia, socjaldemokraci sami ustawili się w narożniku. Ciekawe, że badania pokazują trwałe poparcie dla silnego sektora publicznego i finansowanych z podatków usług społecznych. Ludzie nie zaczęli uważać ich za mniej istotne, jednak zaczęli przywiązywać do tych kwestii mniejszą wagę, gdy przychodziło do decyzji, na którą partię oddać głos. Innymi słowy, gdy ludzie nie widzą jasnych różnic pod względem polityki gospodarczej między największymi partiami, decydujące stają się inne czynniki. Przykład Szwecji pokazuje, że partie prawicowe mogą wykorzystać poparcie dla szerokich zmian w systemie opiekuńczym, które może się samo nakręcać. Na przykład jeśli usługi publiczne lub ubezpieczenia społeczne stają się

słabsze, zaniepokojeni ludzie zwrócą się w stronę prywatnych rozwiązań, niezależnie od tego, co uważają za lepsze. To również jest sytuacja, w której prawicowy populizm może kwitnąć.

Pobawię się w adwokata diabła – może w takim razie prawicowy populizm jest właściwą odpowiedzią na współczesne problemy? Albo chociaż sposobem na postpolityczną pustynię?
Jeśli uważasz, że równe prawa przysługujące wszystkim ludziom są ważne, to prawicowy populizm jest po prostu niebezpieczny. Żywi się nieufnością i nienawiścią, które niszczą wspólnotę, i podkopuje prawa i dobrobyt tych, którzy i tak już zajmują gorsze miejsce w społeczeństwie. Można to ująć również bardziej ogólnie – współczesne problemy, takie jak nierówności dochodowe, niestabilność finansowa, bezrobocie, zbliżająca się katastrofa ekologiczna, nie zostaną rozwiązane dzięki triumfowi fundamentalizmu rynkowego, pod jakąkolwiek postacią by się nie ukrywał.

W takim razie może to socjaldemokracja straciła rację bytu?
Socjaldemokracja rozumiana jako reformistyczny ruch walczący o prawa pracownicze i sprawiedliwość społeczną zdecydowanie nie ogranicza się do fordowskich relacji pracy. Dziś prawa pracowników podlegają takim samy napięciom, jak w dziesięcioleciach powojennych. Problemy stojące przed społeczeństwami Europy, zarówno Wschodniej, jak i Zachodniej, będą musiały tak czy owak zostać rozwiązane. Jasne jest jednak, że socjaldemokracja nie może odnosić sukcesów bez walki. Bez radykalnych prób zakwestionowania i zmiany kapitalistycznego sposobu produkcji „kompromis", którym do pewnego stopnia jest państwo dobrobytu, będzie stale i poważnie zagrożony.

Uważa się, że Norwegia mogła zbudować swój system zabezpieczeń społecznych tylko dlatego, że jest krajem bogatym i mającym dostęp do surowców naturalnych. Wielu polskich ekonomistów uważa, że Polska musi się najpierw wzbogacić, żeby zbudować państwo opiekuńcze.

Uwarunkowanie z pewnością nie jest jednokierunkowe – jeśli już, to jest raczej odwrotnie. Norweska ropa zdecydowanie nie stanowi bazy dla naszego systemu opiekuńczego. Płynące z niej zyski są zjawiskiem stosunkowo nowym i nie napędzają norweskiej gospodarki. Wystarczy szerzej spojrzeć na kraje nordyckie, by zauważyć, że mają podobne doświadczenia pozytywnych wyników społecznych i gospodarczych, choć dostęp do bogactw naturalnych i wynikające z tego struktury przemysłowe są bardzo zróżnicowane.

Jeśli nie z ropy, to w jaki sposób finansujecie usługi publiczne? I jak dystrybuujecie zyski z ropy?

Jak w wielu innych krajach usługi publiczne są finansowane z podatków. Oczywiście wysoki poziom wydatków publicznych wymaga wyższych podatków niż średnia OECD. Ostatnio jednak wpływy z podatków nie zwiększały się, czego skutki będą widoczne w dłuższej perspektywie. Usługi we wszystkich krajach uprzemysłowionych będą pochłaniać większą część produktu krajowego. Jeśli w odpowiedzi na te zmiany nie podniesiemy podatków, to będziemy mieli do czynienia z ciągłą presją na płace i obciążenie pracą w usługach publicznych. Jest to kwestia o rosnącym znaczeniu politycznym.

Jeśli chodzi o dochody z ropy, to są one przekazywane do specjalnego funduszu i jedynie kilka procent zwrotu z tych inwestycji trafia do państwowego budżetu. Toczy się debata, czy większa część tych pieniędzy nie powinna zostać użyta do inwestycji w norweską gospodarkę w sposób, który nie stworzyłby presji inflacyjnej ani innego zagrożenia dla równowagi, ale obecny model cieszy się szerokim poparciem.

Polscy pracownicy są w Norwegii, z tego, co wiem, jedną z największych grup imigrantów. Czy norweska lewica walczy również o prawa imigrantów zarobkowych? Czy może postrzega ich jako zagrożenie dla rodzimych pracowników?

To nie polscy imigranci są zagrożeniem, tylko pracodawcy, którzy stosują dumping płacowy i obniżają standardy pracy, wyzyskując imigrantów zarobkowych. Interesujące jest to, że ksenofobiczna populistyczna prawica, która zazwyczaj pragnie zmniejszyć każdego ro-

dzaju imigrację, zmieniła swoją retorykę, by brzmieć bardziej przekonująco dla imigrantów zarobkowych z Polski i krajów bałtyckich. W praktyce chciałaby jednak, aby ci pracownicy tworzyli równoległy rynek pracy, z innymi (gorszymi) warunkami pracy i najlepiej bez kontaktu z norweskim społeczeństwem. Większość związków zawodowych stara się natomiast organizować imigrantów zarobkowych w walce o równe płace i prawa. Nie jest to łatwe zadanie, ale niektórym się udaje. Ogóle rzecz biorąc, lewica kładzie nacisk na potrzebę wprowadzania regulacji pracy i pilnowania przez związki zawodowe, by wprowadzano rozsądne rozwiązania, w tym antydyskryminacyjne.

LOVE THY NEIGHBOUR ★ FIGH

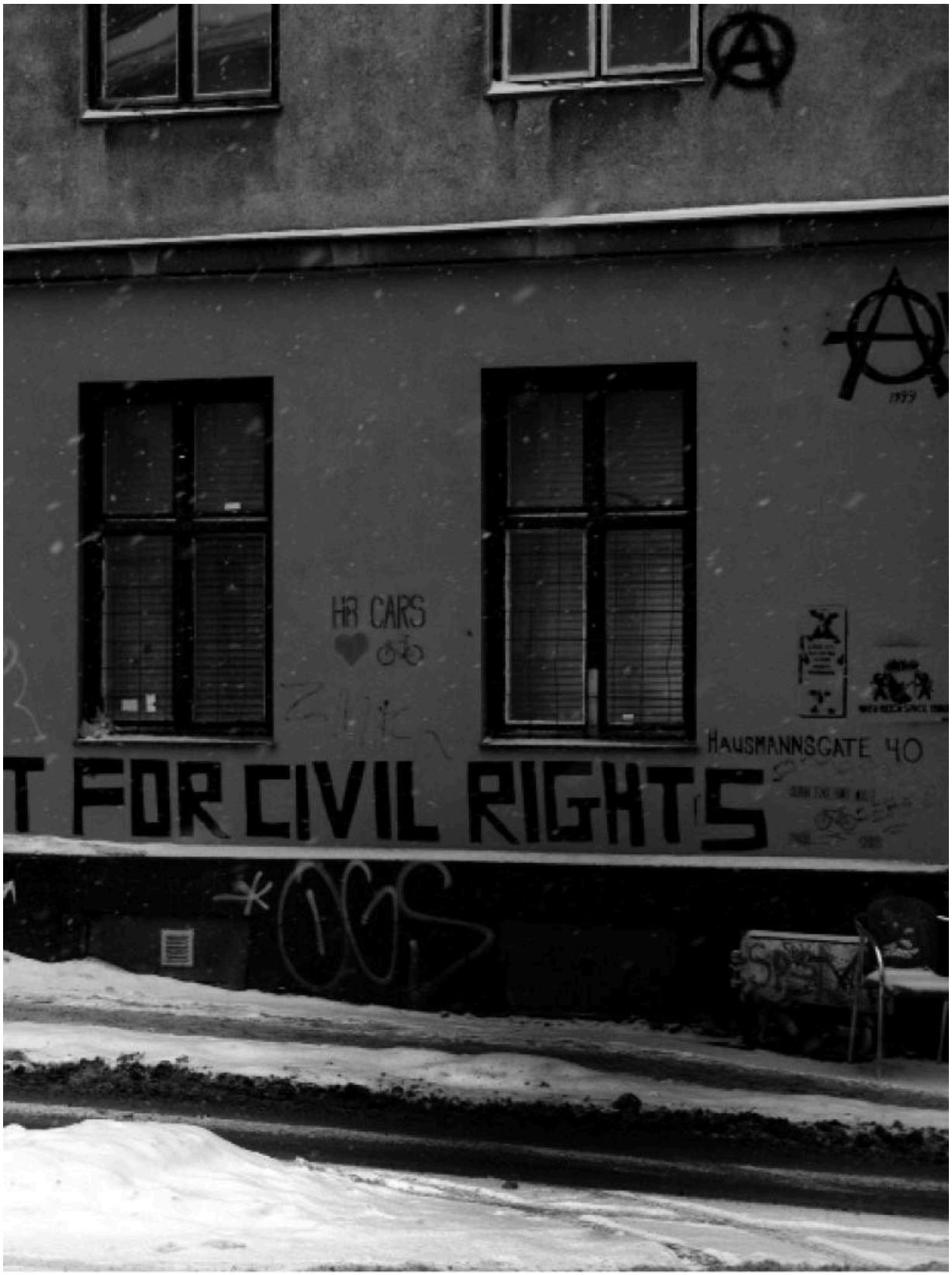
HR CARS
HAUSMANNSGATE 40
T FOR CIVIL RIGHTS

SPOŁECZEŃSTWO

Thomas Hylland Eriksen

Śmieci

W mediach krajów bogatych przewija się tylko jeden typ historii o śmieciach. Ich morał brzmi: wyrzucamy zbyt wiele. Bywa, że historii towarzyszą dramatyczne zdjęcia gigantycznych hałd odpadów, innym zaś razem statystyki – diagramy kołowe, kolumny i słupki – które mają zademonstrować, jak szokująco dużo wyrzucamy. Trudny zaimek „my" oznacza w tym kontekście globalną klasę średnią, a w naszym kraju rzeczą naturalną jest skonkretyzowanie tego pojęcia do jego mieszkańców. Czasem na pewnych obszarach notuje się niewielki spadek ilości śmieci, ale tendencja jest wyraźna. Zazwyczaj jest tak, że w zeszłym roku wyrzucaliśmy więcej niż w poprzednim, a poza tym wyrzucamy więcej, niż się nam wydaje. W roku 2007 wyprodukowano 26,8 kilograma odpadów tekstylnych na osobę, z czego 10,5 kilograma pochodziło z gospodarstw domowych. W tym samym roku importowano 16,5 kilograma ubrań na głowę. W bieżącym roku ty i ja kupimy więc przeciętnie ponad 16 kilogramów importowanej odzieży. Organizacje dobroczynne, takie jak Fretex i UFF[8], przyjmują 3,6 kilograma ubrań na mieszkańca. Wyjąwszy pchle targi, nie ma żadnej rozsądnej metody na pozbycie się nadwyżki ubrań. Duża część z nich ląduje w śmietniku.

Bogaci wyrzucają najwięcej, a biedni to przyjmują, jeśli tylko znajdą się w pobliżu. 60 proc. tego, co udaje się zebrać organizacjom dobroczynnym, sprzedaje się do krajów Afryki i Azji. W zbiorowościach o dużych różnicach socjalnych biedni wychwytują to, czego pozbywają się bogaci, lub to, co jest zbyt nieczyste, żeby bogaci mogli się z tym stykać. Dla hindusów krowy są święte tak długo, jak długo wędrują i jedzą wszystko, na co natkną się na poboczach i śmietniskach; kiedy jednak umrą, stają się nieczyste i mogą się nimi zajmować jedynie dalici, wcześniej znani jako niedotykalni – ludzie, któ-

rzy z winy swej rytualnej nieczystości stoją najniżej w hierarchii społecznej. Najniższe kasty i członkowie plemion są według hinduistycznej kosmologii tak brudni, że brak im jakiegokolwiek rytualnego kapitału czystości, który mogliby stracić w kontakcie z martwym bydłem. Patroszą je, garbują skóry, z których wyrabiają piękne i praktyczne przedmioty, dzielą mięso i jedzą to, czego nie sprzedają innym nieczystym ludziom, takim jak chrześcijanie. (Wierzący indyjscy muzułmanie – tak jak inni wyznawcy tej religii – mogą jeść mięso martwych krów, ale w praktyce tylko jeśli zabito je według zasad *halal*. Takie krowy może zaś być trudno znaleźć w zdominowanych przez hinduizm Indiach). Mimo to niewiele się traci. Indie nie są krajem z niewielką ilością odpadów, ale akurat martwe krowy do nich nie należą.

Śmieci są tłustawym spodem konsumpcji – jak kamień, który Roquentin w *Mdłościach* Sartre'a znajduje na plaży, podnosi i ogląda z bliska. Z wierzchu jest suchy i gładki, ale jego spód pokrywają śluz i nierówności. Antoine'a Roquentina ogarniają mdłości. Na długo przed tym, jak zaburzenia odżywiania stały się symbolem cywilizacji, która utraciła grunt pod nogami, Sartre zrozumiał, jakie rzeczy wywołują mdłości i odruch wymiotny. Są nimi zjawiska graniczne, anomalie; to, co nie znajduje się ani wewnątrz, ani na zewnątrz, ale gdzieś pomiędzy. Takie rzeczy są groźne i nie podlegają kontroli. Często wydają się śluzowate i kleiste, nie są zatem ani suche, ani mokre, ale wcale nie muszą takie być. Mogą tkwić nie na swoim miejscu, poza właściwym kontekstem. Odpady dają się tolerować dopóty, dopóki leżą na śmietniku, ale nie gdy walają się na ganku, co czasem zdarza się u mnie, jeśli wieczorem zapomnę o leżącym na zewnątrz worku ze śmieciami i w nocy odkryją go sroki. Wychodzącego po gazetę człowieka wita wtedy odrażający widok.

Powieść *Podziemia* Dona DeLillo traktuje o powojennej historii USA, ale szkiełko, przez które pisarz ogląda historię, jest nastawione na związek między tym, co się „zakopuje" i „odkopuje". Kiedy główny bohater, Nick Shay, wraca na prostą po tym, jak z niej zboczył, zaczyna pracować przy utylizacji odpadów. Zajmuje się wszelkimi rodzajami śmieci, aż z czasem staje się odpowiedzialny za składowanie odpadów radioaktywnych na pustyni w Nevadzie i w innych odludnych miejscach. Trzyma się tam uran i pluton, pierwiastki o niewy-

obrażalnie długim czasie połowicznego rozpadu (Shay ocenia go na jakieś 250 tysięcy lat), istnieją więc spore szanse, że całe to cholerstwo kiedyś do nas wróci. Motyw niepojętego okresu rozpadu połowicznego odpadów radioaktywnych przewija się przez całą książkę. Ludzie od zawsze drążyli dziury w ziemi, żeby pozbyć się swoich śmieci, często z powodzeniem. Odpady organiczne po jakimś czasie się rozkładają, z odpadami atomowymi jest jednak inaczej. Nick opowiada:

> Budowaliśmy piramidy śmieci na ziemi i pod ziemią. Im bardziej niebezpieczne odpady, tym głębiej staraliśmy się je pogrzebać. Słowo „pluton” pochodzi od Plutona, boga umarłych, władcy podziemnego świata[9].

Książka *Podziemia* nie jest jednak literackim podręcznikiem odpowiedzialnej obróbki odpadów. Shay grzebie śmieci, zakrywa je, próbuje schować, aby łatwo było o nich zapomnieć (bo czy nie tego wszyscy w głębi ducha pragniemy – zapomnieć o naszych śmieciach?) – jednocześnie zaś odświeża własne doświadczenia i wspomnienia, stara się je „odpakować”, przewietrzyć, uwidocznić i poddać kontroli. Motyw freudowski jest tu aż nazbyt wyraźny. DeLillo jest pochodzenia włoskiego, podobnie jak Tony Soprano; Włochów i Żydów – mających w rodowodzie najwybitniejszych opiekunów świętego Graala psychoanalizy – łączy zaś bliska i złożona zależność, zwłaszcza w Nowym Jorku.

Śmieci są spokrewnione z tym, co nieświadome i wyparte. W kulturze odpady stanowią konkretyzację zbiorowej nieświadomości. Być może da się nawet powiedzieć, że członków zdrowych społeczności cechuje zrelaksowany, „naturalny” stosunek do własnych odchodów. Miliony kinomanów dziwią się, że ani w Hollywood, ani w Bollywood nie biega się do toalety. Ani w Kaczogrodzie zresztą też. Zarówno Kaczor Donald, jak i Myszka Miki mają w łazience sedes, ale nigdy z niego nie korzystają.

Nie jest to jednak takie proste. Granica między tym, co czyste a nieczyste, jest nie tylko ustalona, ale i uniwersalna. W motcie do powieści *Malacjański gobelin* Brian Aldiss cytuje fikcyjnego filozofa, który twierdzi, że cywilizacja to odległość, jaką człowiek ustanowił

między sobą a swoimi wydalinami. (W takim wypadku zarzucanie kosmosu zużytymi satelitami i innym śmieciem jest już wyrazem całkiem wysokiego poziomu cywilizacyjnego). Fikcyjny filozof Aldissa jest pokrewną duszą Norberta Eliasa, historyka kultury, który pokazał, jak od średniowiecza stopniowo usuwano funkcje cielesne z przestrzeni publicznej, ponieważ w miarę rozwoju społecznego jednostki współczesnej panowanie nad sobą stało się częścią ludzkiej kultury.

Teoria Eliasa nie jest bynajmniej niekontrowersyjna i często dowodzi się, że nie tylko w ukształtowanej już, współczesnej Europie, lecz we wszystkich kulturach istnieje podział na czyste i nieczyste, na to, co właściwe, i to, co niewłaściwe. W książkach o wyprawach krzyżowych czytamy o odrazie Arabów do brudu Europejczyków – ale to socjoantropologiczna odpowiedź na pannę Marple; przenikliwa Mary Douglas swego czasu nauczyła nas mówić o rzeczach nie na swoim miejscu (*matter out of place*), tak dosłownie, jak i w przenośni. Nie jest tak, że coś samo w sobie jest śmieciem, pisze Douglas w *Czystości i zmazie*, to zależy od kontekstu. Podaje słynny przykład włosa na głowie (będącego tam, gdzie powinien) i tegoż włosa w zupie (co już budzi niesmak). Możliwe, że John Cleese albo Michael Palin przewinęli się przez grupę Douglas, gdy studiowali na uniwersytecie. Monty Python nagrał swego czasu skecz telewizyjny, w którym On i Ona siedzą we włoskiej restauracji, patrząc sobie w oczy. Muzyka jest rzewna jak w *Zakochanym kundlu*, światła świec mrugają, a opasła butelka chianti stoi w plecionce z rafii, tak jak być powinno w latach 70. Widać wyraźnie, że On ma Jej coś ważnego do powiedzenia, ale jest onieśmielony i nie daje rady. Sytuacji nie ratuje fakt, że do policzka przylepiła mu się nitka spaghetti, która zsuwa się po jego twarzy, gdy wierci się na krześle, próbując przejść do sedna. Staje się, rzecz jasna, komiczną figurą, która przypomina mi, jak mój dawny nauczyciel socjoantropologii, mistrz zen z Sunnmøre Harald Eidheim zdefiniował raz humor całkiem prosto jako „złą kontekstualizację".

Akurat w chwili, gdy pisałem te zdania – jest późny wieczór i siedzę w gabinecie w domu – usłyszałem z dołu zduszone, przeciągłe wycie. Uznałem, że to skowyt zranionego zwierzęcia, a ściślej mó-

wiąc naszego kota Zyzia, któremu ktoś przyciął łapę czy coś w tym rodzaju. Gdy jednak zszedłem po schodach, okazało się, że nieszczęsny kot ma kłopoty z żołądkiem. Nieco wcześniej tego wieczora Zyzio zjadł mysz, teraz zaś zwymiotował niestrawiony pokarm na podłogę w salonie. Pokarm był kleisty, ale źle przeżuty, przy czym głowa, ogon, futro i łapy myszy zachowały się niemal nietknięte, tylko wnętrzności rozlały się po podłodze. Skończywszy w jednym miejscu, Zyzio położył się na dywanie i tam też zwymiotował swoje na wpół strawione kocie jedzenie.

Nie na miejscu? Raczej nie. Trudno sobie wyobrazić, żeby źle przeżute, śluzowate mysie zwłoki gdzieś się dobrze prezentowały – chyba że byłby to koci żołądek w lepszym stanie od żołądka Zyzia. Granica między tym, co czyste, i tym, co nieczyste, nie jest więc całkowicie relatywna. Sama Douglas też tego jednak nie twierdziła. W cielesnych wydzielinach organizmu widziała ona inspirację dla ludzkich rozmyślań o odpadach. Wszyscy ludzie – także ci, którzy prawie niczego się nie pozbywają – mają dokładnie wypracowane metody radzenia sobie z potem, moczem, kałem, krwią menstruacyjną i innymi zbędnymi wydzielinami. Według Douglas, ciało jest metaforą ładu społecznego, w wypadku odpadów społeczeństwa trzeba więc kierować się wytycznymi podobnymi do zasad stosowanych przy wydzielinach organizmu. Tym, co ją interesowało – podczas prób wytyczenia granicy między sferą czystości i brudu – były różnice pomiędzy typami ludzi. Zwracała też jednak uwagę na podobieństwa.

Odpady, jak wyjaśnia Douglas, są czymś, co w sposób logicznie niezbędny zostaje wyprodukowane w procesie tworzenia ładu, a zadbane ciało jest najbardziej uporządkowaną rzeczą, jaka istnieje. Ludzie są jednak ssakami myślącymi i klasyfikują otaczający ich świat. To, co nie pasuje do klasyfikacji, jest groźne i musi podlegać kontroli – zostać zakazane, odseparowane, ofiarowane, uznane za święte, nieczyste lub jedno i drugie. Zwierzęta będące „zarówno jak” albo „ani, ani”, zwierzęta, które nigdzie nie pasują, są nieczyste. Dwa najbardziej znane przykłady przytoczone przez Douglas to świnie na Środkowym Wschodzie oraz pangoliny dla ludności Lele w centralnym Kongo. Pangolin (*manis javanica*) jest dziwacznym stworem. To

ssak, ale pokryty łuskami jak ryba, wspina się na drzewa i rodzi tylko jedno lub dwójkę młodych, jak człowiek. Lelowie nie przepadają za tym zwierzęciem. Powoduje ono bałagan w kategoriach – jest anomalią. Przywodzi na myśl niedefiniowalną śliskość po spodniej stronie kamienia Roquentina, ani mokrą, ani suchą. Nie przypomina jednak martwej, na wpół strawionej myszy, którą pół godziny temu sprzątnąłem z podłogi w salonie – ta może wydawać się odpychająca z innych przyczyn. Być może instynktownie kojarzymy ją z chorobą, ponieważ rozkładające się ciała zwierząt rozsiewają bakterie. Gdyby jednak zwłoki należały do większego stworzenia, jak choćby psa, kota lub królika, byłyby nie tylko odpychającym, ale też smutnym widokiem.

Mysz budziłaby mniejszą odrazę, gdyby leżała na podjeździe, a najlepiej pod krzakiem w ogrodzie. Na czystej podłodze w salonie ludzkiego domu faktycznie była może czymś – przede wszystkim – nie na swoim miejscu. Myśl jest w każdym razie warta pociągnięcia. Sama Douglas nie stawia pytań, w jaki sposób wydzieliny ludzkiego ciała mogą przestać być odpadami. Gdyby to zrobiła, analiza stałaby się bardziej kompletna. Hasłem wywoławczym jest tu kompostowanie odchodów. Miejska służba porządkowa w Oslo już dawno to odkryła i kilka lat temu wylansowała nowy slogan: „Nie ma odpadów, są tylko niewykorzystane zasoby”. Śmieci mogą zatem zmienić tożsamość, o ile znajdzie im się nowy kontekst. Gdyby wszystkie odpady przechodziły podobny proces co ludzkie odchody podczas kompostowania, świat natychmiast stałby się innym miejscem.

Kontrola owłosienia ciała, szczególnie rozpowszechniona wśród kobiet na całym świecie, ujawnia proces społecznego wytyczania norm i granic dopuszczalności. Podobnie stosunek do ludzkich sekrecji i wydzielin jest zawsze regulowany przez mechanizmy kulturowe. Uładzoną wewnętrznie społeczność łączy analogia z zadbanym i zdyscyplinowanym ludzkim ciałem.

Granica między wnętrzem a zewnętrzem przesuwa się. O Romach i Sintich (Cyganach) mówi się często, że wyrzucają śmieci wprost z mieszkań. W ich przyczepie campingowej lub w domu jest czysto i porządnie, ale na zewnątrz walają się stare gazety, niedopałki, zardzewiałe wraki rowerów, puste butelki i inne graty. Plenią się mlecze

i osty. Dopóki rupiecie znajdują się poza mieszkaniem, można je powierzyć siłom chaosu.

Taka postawa jest zrozumiała u nomadów, którzy stale podróżują i nie muszą poczuwać się do odpowiedzialności za stabilność przestrzeni publicznej. Mniej znany jest fakt, że aż do ubiegłego przełomu wieków wyrzucanie śmieci wprost przez okno było powszechną praktyką również w miastach Zachodu. Granica między wnętrzem a zewnętrzem przesunęła się wraz z przyjęciem praw przeciw zaśmiecaniu, kiedy to władze publiczne wprowadziły zorganizowaną formę wywozu śmieci. Państwowa służba porządkowa długo składała się jedynie z pracowników nocnych, wykonujących pracę tak odstręczającą, że nie tolerowała ona światła dziennego. Potem dołączyli zatrudnieni przez gminę zamiatacze ulic i śmieciarze, którzy w późniejszych latach uzyskali status liderów zrównoważonego rozwoju. Granica zewnętrza znowu się przesunęła. Przez długi czas wiele rzek, jezior i mórz miało za zadanie pochłaniać produkty uboczne kultury. Jeszcze dłużej ludzie drążyli jednak dziury w ziemi.

Najwyraźniej nadal obowiązuje zasada *my home is my castle*, czyli dzikość zaczyna się poza granicami domu. W Stanach sędziowie zadecydowali, że gdy idole tłumów zostawią coś poza granicami luksusowych posesji, należy to do wszystkich i do nikogo. Z tej decyzji ucieszyli się fanatyczni wiebliciele gwiazd. Teraz każdy z nich może częstować się resztkami z kosza Madonny lub Jensa Stoltenberga, przy założeniu, że wspomniane kosze znajdują się na terenie publicznym. Współczesny ojciec „garbologii celebrytów”[10], A. J. Weberman, skorzystał z tej możliwości, systematycznie przetrząsając śmieci Boba Dylana, by odtworzyć jego codzienność. Działalność Webermana była możliwa dzięki płynnej granicy między sferą prywatną a publiczną, kiedy zaś Dylan spróbował wkroczyć na drogę prawną, aby go powstrzymać, przegrał. Weberman pisze w pamiętnikach, jak rozgniewany jego grzebactwem Dylan zagroził, że napisze o nim piosenkę pod tytułem *Świnia*. Weberman nie dał się jednak zbić z pantałyku. Inni, którzy zostali narażeni na Webermanowską garbologię, przyjęli bardziej zrelaksowaną postawę. Pewnego razu Norman Mailer złapał Webermana na gorącym uczynku w roboczych rękawicach, z kieszonkową latarką i głową zanurzoną w swoim śmiet-

niku – ale po prostu spokojnie poszedł dalej. Jako krytyk systemu Mailer wychodził pewnie z założenia, że Weberman pracuje dla CIA.

Również tutaj przebiega granica w naszym społeczeństwie, mimo że zabrania się zaśmiecania przestrzeni publicznej. Część tego, co w czterech ścianach domu wydaje się nie na swoim miejscu, jest dopuszczalne na zewnątrz, o ile znajduje się w miejscu mu przeznaczonym. Podobnie jak akceptuje się włos, gdy tkwi on na głowie, ale nie kiedy pływa w zupie lub wraz z wieloma krewniakami leży na podłodze w łazience, tak ja nie jestem dłużej odpowiedzialny za styropian z IKEI, zużyte torebki herbaty i stare gazety, jeśli tylko wyniosłem je z domu i umieściłem tam, gdzie chce gmina. Z tego samego powodu nie są one już jednak moją własnością.

Granica między wnętrzem a zewnętrzem domu dotyczy nie tylko sfery prywatnej i publicznej, ale również płci. W większości społeczeństw to kobieta odpowiada za utrzymanie gospodarstwa, podczas gdy mężczyzna ma podbijać świat. W szczegółowym opisie utrzymywania porządku w wioskach Norwegii norweski etnograf wszechczasów omawia zależność między utrzymywaniem czystości przez kobiety i mężczyzn. W książce z 1868 roku Eilert Sundt, będący też jednym z pierwszych na świecie socjologów, wspomina, „jak to w sobotę kobiety myły i szorowały na klęczkach całą podłogę w pokoju dziennym, a gdy tylko minęła niedziela, mężczyźni bez miłosierdzia na nią pluli, brudząc ją na powrót”.

Ponieważ to kobiety utrzymywały czystość w domach, mężczyźni nie musieli się przejmować. Sundt zauważa, że częste plucie było związane z żuciem tytoniu, ale wspomina też o uderzającym kontraście między demonstracyjną niedbałością mężczyzn w domu, a ich staraniami o utrzymanie białej fasady budynku – bielenie było dużo droższe od malowania na czerwono – i czystego ogrodu. Plucie było oznaką patriarchalnej władzy.

Gdy otwiera się usta, by wypowiedzieć parę zdań o śmieciach, nie można uwolnić się od surowego spojrzenia Mary Douglas; wydaje się, że z uniesionym czerwonym długopisem zagląda ci przez ramię za każdym razem, gdy podejmujesz temat granicy między czystością a brudem, kontrastu między wnętrzem a zewnętrzem, anomalii i cia-

ła jako metafory społeczeństwa. A jednak to nie dzięki Douglas zacząłem interesować się odpadami. Jak wielu innych zawsze odczuwałem fascynację na myśl o tym, co przegniłe i nie do użytku – tak dosłownie, jak i w przenośni. Im więcej zużywamy, tym więcej produkujemy odpadów. Naszym pradziadkom nawet nie śniła się współczesna konsumpcja dóbr na skalę globalną, a śmieci muszą gdzieś się podziać. Siedząc w pracy i pisząc o zależnościach między etnicznymi a religijnymi grupami we współczesnych społeczeństwach, skłaniam się do myślenia w kategoriach metafor z dziedziny ruchu drogowego i stałej potrzeby zmieniania jego reguł w miarę wzrostu natężenia. W sytuacji ciągłych spotkań ludzi o różnym pochodzeniu kulturowym, muszą oni nauczyć się zerkać w martwą strefę przed zmianą pasa ruchu oraz zatrzymywać się na czerwonym świetle. W okresie, kiedy drogi były relatywnie puste, można było to sobie darować. W naszych czasach na drogach zaczyna robić się ciasno.

Metafory z dziedziny ruchu drogowego pasują jak ulał do zagadnienia odpadów. Kiedy świat wciąż jeszcze był przestronnym miejscem, wymiar szkód, jakie mógł spowodować człowiek, był ograniczony. W skali lokalnej mogło dziać się źle – Tamiza była w XIX wieku martwą jak głaz i groteskowo cuchnącą rzeką, a nomadyczni pasterze na długi czas przedtem zdołali wylesić połowę Półwyspu Arabskiego – ale Ziemia jako taka miała się dobrze. Obecnie już od dawna brakuje nam miejsc, do których moglibyśmy się przenieść, kiedy zaśmiecimy lub zniszczymy te, w których żyjemy dzisiaj. Dystopia, przedstawiona przez Knuta Faldbakkena w książce *Rok nieurodzaju*, w której wynędzniali ocaleni żyją praktycznie rzecz biorąc na wysypisku, wydaje się co roku odrobinę przybliżać. Odzyskiwanie surowców stanie się wkrótce popularnym hasłem w kampaniach wyborczych. W naszych czasach łatwiej jest sobie wyobrazić Ziemię jako statek kosmiczny niż bezkresną równinę – czyli jako miejsce, gdzie trzeba regulować użycie przestrzeni. Śmieci zarówno przybywa, jak i ubywa (ale głównie przybywa). Przybywa, bo wyrzucamy ich więcej; ubywa, ponieważ w krajach, w których wyrzuca się najwięcej, rozpowszechniła się idea recyklingu (ale też dlatego, że eksportuje się stamtąd coraz więcej śmieci do krajów ubogich). A jednak, mimo że dobrze jest recyklingować, to recyrkulacja butelek

z plastiku przypomina sikanie do oceanu – nawet jeśli nie można zaprzeczyć, jak zabawna jest myśl, że twoja ulubiona kurtka powstała z butelek po wodzie. Ponadto, jak wykazał socjolog Martin O'Brien, nowe metody recyklingu, które coraz to się rodzą w europejskich miastach, nie wynikają w gruncie rzeczy z pobudek środowiskowych, ale ekonomicznych.

Największe wysypisko świata – Fresh Kills na Staten Island – w chwili likwidacji w 2001 roku pokrywało obszar ponad 20 kilometrów kwadratowych i piętrzyło się kilkaset metrów w górę. Tokio już dawno wypełniło swój akwen morski i od wielu lat poszukuje wolnych przestrzeni, by składować odpady z gospodarstw domowych. W Norwegii w 2010 roku wyrzucaliśmy dwa razy tyle, co w roku 1992. Śmietniki stały się większe i opróżnia się je częściej niż dwadzieścia, trzydzieści lat temu. I mniej niż dotąd potrzeba, by coś nadawało się do wyrzucenia. Znajomy, który kupił tani skaner, opowiadał mi, że urządzenie nie pracowało tak, jak powinno, więc zadzwonił do firmy.

– Proszę przyjść z paragonem, to damy panu nowy – powiedziano mu.

– A co z tym, który kupiłem godzinę temu? – zapytał.

– Niech pan z nim zrobi, co się panu podoba. Może go pan wyrzucić.

Co też zrobił, z mieszanymi uczuciami i spuszczonym wzrokiem, chociaż na dobrą sprawę sklep zobowiązywał się oddać sprzęt do odzysku. Produkcja skanera w Chinach i przywiezienie go do Oslo kosztowały mniej niż zwyczajne włączenie taksometru i naprawa na miejscu. Być może skaner z defektem wyląduje zresztą na statku przewożącym śmieci do Chin, gdzie metale i szkło zostaną posegregowane i wykorzystane do produkcji nowego skanera. W takim wypadku wejdzie on w interesujący obieg ekologiczny, dzięki któremu i tu, i tam zarabia się oraz oszczędza na nierównym rozdziale dobrobytu na świecie.

Nie tak dawno gazety pisały o kryzysie w Argentynie, który zmusił 45 tysięcy mieszkańców pięknej metropolii Buenos Aires do utrzymywania się ze zbierania śmieci – głównie papieru i tektury. Niekiedy znajdowali też resztki pokarmu, które mogli zjeść. Spadli nisko. Dla członków światowej klasy średniej dzieci żyjące ze zbierania jedze-

nia i innych rzeczy na śmietniskach stanowią jeden z najmniej atrakcyjnych estetycznie obrazów nędzy na Południu. Z drugiej strony badania antropologiczne wskazują, że ludziom żyjącym ze zbieractwa pod względem ekonomicznym często powodzi się lepiej niż wielu innym biednym. Ponadto jest jakiś ekologiczny rozsądek w tym, że przynajmniej cząstka resztek bogatych przydaje się biednym.

Sto lat temu przydawało się niemal wszystko. Nadwyżkę pokarmu zjadały zwierzęta gospodarskie, służba albo żebracy, a zniszczonych rzeczy nie wyrzucano, tylko naprawiano. W większości państw zachodnich istniała niewielka klasa dzieci i dorosłych utrzymujących się ze zbierania szmat, butelek i tłuszczu, które następnie za drobne pieniądze sprzedawali przemysłowcom. Resztek tkanin lepszej jakości używano do szycia patchworkowych narzut. Ubrania szyto ręcznie – były na miarę i drogie, dlatego niestrudzenie je łatano. Gazet i katalogów reklamowych używano jako papieru toaletowego. Poza tym nie było tak wielu opakowań jednorazowych, a gdy już pojawiło się trochę papieru, jakiś worek z juty lub drewniana skrzynka, nietrudno było je do czegoś wykorzystać. Wiele firm dostarczających mąkę lub paszę dla zwierząt drukowało piękne wzory na workach, aby matki szyły z nich później ubrania. Producenci konkurowali o to, kto z nich sporządzi najlepszy wzór, żeby zwiększyć swoje udziały w rynku. W USA była to zwykła praktyka aż do lat 60., czyli wiele lat po tym, jak szycie stało się hobby dla zainteresowanych.

Jeśli porównać sytuację z dzisiaj i z przełomu minionych wieków, ważnym czynnikiem – z perspektywy ilościowej – jest to, że w przeszłości pieluchy i podpaski po wypraniu były używane wielokrotnie. W odróżnieniu od innych rodzajów śmieci, ten typ produktów jednorazowych ma ograniczoną możliwość ponownego wykorzystania. Pojawiło się więcej takich rzeczy, od styropianu do pudełek po butach, od dodatków reklamowych do darmowych zabawek z Burger Kinga.

Rzut oka na to, jak członkowie różnych społeczeństw radzą sobie ze śmieciami, przypomina, że definicja odpadów zależy od kontekstu: to, co mnie wydaje się nie na swoim miejscu, tobie jest obojętne. W Chinach, gdzie ludzie zdają się nie zwracać uwagi na leżące na poboczach rupiecie, używa się ludzkich odchodów w charakterze na-

wozu. W wielu miejscach wyrzuca się mało, podczas gdy w społeczeństwach podobnych do naszego na jednego mieszkańca przypada, dzień po dniu, siatka śmieci, przy czym mowa tu tylko o odpadkach z gospodarstw domowych. Współczesne społeczeństwa dobrobytu przewyższają wszystkie inne znane typy zbiorowości pod wieloma względami, ale być może najbardziej właśnie na tym polu, o którym obywatele najchętniej by zapomnieli. Niektóre państwa próbują eksportować swój problem – kupując miejsca na składowanie śmieci z gospodarstw domowych oraz odpadów radioaktywnych w krajach biednych; inne nadal usiłują zamieść wszystko pod dywan – wyrzucając śmieci na pełnym morzu lub ukrywając je w górach, na pustyniach i w odosobnionych grotach.

Ale świat się kurczy i w naszych czasach – naznaczonych przez migracje, telekomunikację bezprzewodową, międzynarodowy przepływ kapitału oraz problemy środowiskowe na skalę globalną – Ziemia przypomina raczej piłeczkę golfową niż ciągnące się hen, po horyzont, dzikie pola. Eksportowany problem odpadów prędzej czy później powróci. Niemcy Zachodnie doświadczyły tego kilkadziesiąt lat temu: po wojnie RFN eksportowała dużą część swoich trujących odpadów do NRD, ale w momencie połączenia dostała wszystko z powrotem w prezencie. Thor Heyerdahl opowiadał kiedyś, że gdy pod koniec lat 40. przemierzał Pacyfik na tratwie Kon-Tiki, mijały dni i tygodnie, podczas których nie widział śladów ludzkiej aktywności. Kiedy dwadzieścia lat później żeglował przez Atlantyk na tratwie trzcinowej Ra, załoga codziennie widziała plamy oleju, woreczki foliowe oraz inne śmieci.

Mówi się, że etyczne walory społeczeństwa najlepiej wyrażają się w tym, jak obchodzi się ono ze swoimi etnicznymi, religijnymi i seksualnymi mniejszościami. Może i tak, ale nikt nie powinien czuć się zdziwiony, jeśli za parę pokoleń ludzkość będzie oceniała nowoczesność na podstawie stosunku do śmieci. Z tej perspektywy recykling jest interesującym i obiecującym projektem, jeśli pomyśleć o reputacji, jaką nasza cywilizacja zdobędzie sobie w oczach potomnych, choć przecież motorem napędowym recyklingu jest jego opłacalność, nie zaś troska o planetę. Opinia, że jeśli człowiek coś wyrzucił, to się tego pozbył, wciąż jest powszechna. Są jednak powody, by są-

dzić, że ten pogląd zaczyna zanikać. Badacze obliczyli, że prawdopodobieństwo, z jakim w tej chwili wdychasz przynajmniej jeden z tych samych atomów, które tysiąc lat temu wydychał Juliusz Cezar, wypowiadając słowa „I ty, Brutusie", wynosi prawie 100 proc. Być może pewnego pięknego dnia zaistnieje też szansa, że papier, na którym zostanie wydrukowany ten tekst, będzie zawierał kilka molekuł z jednorazowej pieluchy, którą twoi rodzice wyrzucili dziesiątki lat temu. Tą drogą toczy się wszystko tutaj, w krajach bogatych, w świecie, gdzie zaczyna przelewać się od rzeczy, których pozbywają się ludzie.

Cywilizacje antyku miały wprawdzie własny problem ze śmieciami, ale dotyczył on przede wszystkim higieny, smrodu i chorób – czyli tego, czego pozbywa się ciało, organicznych produktów gnilnych tego rodzaju, że nie jadły ich nawet zwierzęta. Wykopaliska w dobrze zachowanych miastach starożytnych, takich jak Pompeje i Knossos, pokazują, że kanalizacja jest równie stara, co cywilizacja miejska. Napisano już nawet doktorat o Cloaca Maxima w starożytnym Rzymie, gigantycznej sieci podziemnych tuneli, do których nawet dziś człowiek nie powinien się wybierać bez zacisku na nos. Nawet to, co najbardziej nietrwałe, może długo zachować się nietknięte, jeśli tylko zminimalizuje się jego kontakt z otoczeniem.

Niektóre techniki były zaawansowane. W Mohendżo-Daro w dolinie Indusu 4,5 tysiąca lat temu istniały zsypy na śmieci, rynsztoki, prawdopodobnie pracowali tam też profesjonalni śmieciarze. Ten system funkcjonował przeważnie efektywniej niż usuwanie odpadów w Christianii lub w Nowym Jorku w roku 1880. Być może dolinę zamieszkiwali pierwsi religijni purytanie, ponieważ czystość jest zaraźliwa. Czystość fizyczna i duchowa może być dwiema stronami medalu.

Problem z pozbyciem się odchodów w sytuacji, gdy wielu ludzi przez dłuższy czas zamieszkuje w jednym miejscu, jest chronicznym skutkiem ubocznym życia. Problem z odpadami wzrasta wraz z gęstością zaludnienia i poziomem dobrobytu. Ludzie, którzy są rozproszeni i nie posiadają więcej, niż mogą unieść, mają niewielki kłopot z pozbyciem się swoich resztek; nie wraca do nich jak bumerang

problem zanieczyszczonych rzek i cuchnących wysypisk. Jadą dalej, a gdy po kilku latach wracają, brudu już nie ma.

Kłopot ze śmieciami w naszych czasach jest rezultatem urbanizacji i industrializacji z ostatnich paruset lat, mimo że brud i odchody od zawsze były problemem dla mieszkańców miast. Wcześniej ludzie bardziej jednak dbali o swój dobytek. Nie mieli go znowu aż tak wiele, było też drogo. Kilka lat temu grupa archeologów odkryła na wschodnich wybrzeżach USA szczątki posiadłości z XVII wieku. Zaskoczyło ich znalezienie dwóch połówek dużego wazonu w dwóch zupełnie różnych miejscach. Sprawiało to wrażenie, jakby wazon eksplodował na dużej wysokości, a jego dno trafiło w ziemię kilkaset metrów dalej niż szyjka. Wyjaśnienie było jednak proste. Ludzie z tamtego okresu nie posiadali zbyt wiele, a wszystko, co mieli, im się przydawało. Kiedy zbił się wazon, zaczęli być może używać nietkniętego spodu jako miski z wodą dla zwierząt, podczas gdy szyjkę dało się wykorzystać w charakterze lejka. Holenderscy malarze z tego samego okresu znani są ze swojego przywiązania do odtwarzania detali i z precyzji, dzięki czemu na obrazach przedstawiających wnętrza solidnych mieszczańskich domów da się spostrzec częściowo uszkodzone talerze na stojakach, tuż obok całych naczyń.

Nieco ponad sto lat temu większość ludzi była jak Askeladden, zarówno biedna, jak i bogata. Nasi pradziadkowie robili użytek z rzeczy, które my bez namysłu wyrzucilibyśmy na śmietnik. Z blaszanych puszek sporządzali lampy naftowe, papier służył im jako podpałka, izolacja lub papier toaletowy, ze znoszonych ubrań szyto ubranka dla dzieci, które z kolei stawały się szmatami lub ubrankami dla lalek.

Szmaty przez setki lat były ważnym produktem. Aż do połowy XIX wieku, w niektórych miejscach nawet dłużej, biedota mogła uzbierać dość, żeby przeżyć, gromadząc i sprzedając kawałki materiału przemysłowi papierniczemu, dopóki ten nie zaczął wytwarzać papieru celulozowego na masową skalę. Ponadto biedni szyli ubrania ze szmat, które mogli im odstąpić bogaci, i dopiero w latach 20. XX wieku podpaski we współczesnym tego słowa znaczeniu dotarły na półki sklepowe w USA (a nieco później w reszcie świata), zastępując tra-

dycyjne szmatki. Jedna z mniej znanych baśni Andersena nosi tytuł *Laserne* (*Szmaty*) i zaczyna się tak:

> Przed fabryką papieru piętrzyły się wysokie stosy szmat; zebrano je na całym szerokim świecie. Każda szmatka miała własną opowieść do przekazania, którą też przekazywała; ale nie możemy wysłuchać ich wszystkich. Niektóre ze szmatek były krajowe; inne pochodziły z obcych krajów.

Baśń mówi w gruncie rzeczy o tożsamości (jak powiedzielibyśmy dzisiaj) i nieszczęśliwej miłości między Danią a Norwegią, ale motywem przewodnim jest, jak zawsze u Andersena, rozpoznawalna sytuacja z dnia powszedniego. Stosy szmat przed fabryką papieru – wszyscy wiedzieli, czym były.

Historyk kultury Susan Strasser opisuje miasta przedindustrialne jako zamknięte systemy ekologiczne, gdzie resztki i rupiecie były zbierane przez biednych, handlarzy złomem, rzemieślników i innych, którzy starocie przerabiali na nowe rzeczy. Nowe miasta są natomiast systemami otwartymi, zależnymi od pustych przestrzeni wokół nich, na których można pogrzebać, spalić lub składować nieczystości. Teraz, w XXI wieku, zaczynamy jednak zbliżać się do punktu, w którym cała Ziemia wydaje się miastem z ery przedindustrialnej. Nie ma już wolnych przestrzeni. Wszystko i wszyscy mają swoje miejsce. Śmieci także powinny je mieć.

Aż do II wojny światowej w metropoliach północnoatlantyckich żyły tysiące ludzi zajmujących się zbieraniem śmieci i ich sprzedażą; mogły to być szmaty, butelki, drewno czy metal. W bogatych miastach z dużą liczbą biedoty, od Rio do Manili, sytuacja do dziś nie odbiega od tej z tamtych czasów.

Utrzymywanie czystości oznaczało wtedy opróżnianie toalet i odzysk surowców. Ludzie wyrzucali tak mało, że nie było potrzeby powoływania wielkich instytucji państwowych – z oficjalnym sztabem sanitarnym i ogromnymi wysypiskami poza centrami miast – które zajmowałby się pudłami z tektury, obierkami ziemniaków i zepsutymi odtwarzaczami wideo. Zamiast wyrzucać, naprawiano lub znajdowano rzeczom nowe zastosowania.

Nie oznacza to bynajmniej, że miasta były w tamtych dniach czystsze. Wprost przeciwnie. Najważniejszą przyczyną, z powodu której

zachodnie dzielnice zachodnioeuropejskich miast uważano za lepsze od dzielnic wschodnich, było to, że wiatr wieje zazwyczaj w kierunku wschodnim – dlatego niósł ze sobą odór mieszkańców dzielnic zachodnich do wschodnich; tym pierwszym udawało się więc uniknąć zarówno smrodu klasy pracującej, jak i własnego. W przeciwnym razie część wschodnia, ze swoim uprzywilejowanym dostępem do popołudniowego słońca, byłaby atrakcyjniejsza, zwłaszcza w mieście takim jak Oslo, z trzech stron otoczonym wzgórzami, a z czwartej zamkniętym wodą.

Próba ogarnięcia historii utrzymywania czystości skończyłaby się być może jej podziałem na trzy fazy – jedną długą, jedną krótką i jedną, która dopiero się zaczęła. Długa faza jest fazą oszczędności – przydawały się wtedy prawie wszystkie rzeczy i nawet ludzkie odchody można było sprzedać albo przynajmniej przekazać rolnikom, którzy mogli się nimi nacieszyć. Ten, kto opróżniał wiadra z nieczystościami, wykonywał mało chwalebną pracę. Jego zajęcie było, jak już wspomniano, obłożone takim tabu, że pracował nocą, aby nie przypominać dobrym mieszczanom o istnieniu podobnych okropieństw.

W większych miastach już od czasów starożytnej Mezopotamii trzeba było zabiegać o rozwiązanie kłopotów z odpadami, związanych zwłaszcza ze smrodem i epidemiami. Gdy gnijących gór odpadków organicznych nie dało się już dłużej znieść, władze wprowadzały reguły i sankcje dla tych, którzy nie wywozili swoich odpadów za miasto. W międzyczasie za wywożenie nieczystości odpowiadały sztaby zatrudnionych publicznie śmieciarzy lub przedstawiciele klas niższych. Takie regulacje przychodzą jednak falami, więc XIX-wieczny Londyn był pod wieloma względami brudniejszy niż w XVII wieku. Ulice i zaułki tonęły w cuchnących odpadkach, a na większości podwórzy znajdowały się wspólne wysypiska, które od czasu do czasu ktoś podpalał. Słodkawa woń stert śmieci kojarzyła się z ludniejszymi dzielnicami miasta. Biedne dzieci mogły zarobić nieco grosza, drążąc ścieżki przez śmieci, by reprezentanci klasy średniej mogli dotrzeć do pracy suchą nogą.

A jednak wszystko się przydawało. Świnie i kury jadły okruchy i obierki ziemniaków. Końskich zwłok – w minionych stuleciach było

ich pod dostatkiem – używano do wyrobu wielu rzeczy, począwszy od żelatyny, przez trzonki noży, wyroby skórzane oraz paszę dla świń. Krew była wykorzystywana przez rafinerie cukru oraz producentów nawozów.

Odór i choroby przyczyniły się do tego, że administracja miejska musiała wdrożyć specjalne metody radzenia sobie ze śmieciami. W XIX wieku choroby takie jak cholera i czerwonka zbierały milionowe żniwa. W trakcie wojny domowej w USA niemal tyle samo żołnierzy stanów północnych zmarło na skutek infekcji, co od kul wroga. Podczas samej tylko epidemii cholery w latach 60. XIX wieku w jednej z najbrudniejszych kamienic w Nowym Jorku zmarła jedna piąta mieszkańców, przy czym gdzie indziej liczby te były jeszcze wyższe.

W średniowieczu ludzie lepiej radzili sobie ze śmieciami niż w czasach wiktoriańskich; zapewne działo się tak dlatego, że wolniej wzrastała wtedy liczba ludności i konsumpcja długo utrzymywała się na stabilnym poziomie. W Oslo, które w średniowieczu było małym miastem, już w XII wieku wypracowano system pozbywania się śmieci. Niektóre z nich topiono zapewne w morzu i rzekach, wiele używano w charakterze nawozu, a różne rodzaje odpadków organicznych kończyły jako pasza dla zwierząt. Najstarszym odniesieniem do wysypiska śmieci na terenie Oslo, jakie znalazł badacz historii utrzymywania czystości Inge Torstenson, jest wyrażenie „jama miejska” z 1477 roku. Gehenna, wymieniana w Nowym Testamencie jako przedsionek piekła, była uprzednio wysypiskiem śmieci Jerozolimy.

Zarówno Oslo, jak i inne miasta w miarę upływu czasu stawały się coraz brudniejsze. Uprawa roli w granicach miast stała się rzadsza, rosła gęstość zaludnienia, pojawił się podział pracy, a z czasem dołączyło do tego wprowadzenie ogrzewania węglowego i wycieki przemysłowe. W 1595 roku wprowadzono zakaz czyszczenia skór w miejskich rzekach, najprawdopodobniej ze względu na zanieczyszczenie wody pitnej. Jednocześnie zakazano umieszczania wychodków od strony ulicy. Historia utrzymywania czystości pokazuje, że takie zabiegi wprowadzano w życie po okresie narastającego smrodu i zanieczyszczenia, i że zmieniało się to zależnie od potrzeb. Sto lat temu ponad połowę śmieci stanowił popiół.

Od końca XIX wieku usuwanie odpadów stopniowo weszło do zadań administracji miejskiej. Christiania otrzymała swoją Miejską Służbę Porządkową w 1897 roku. W tym czasie system usuwania odpadów działał już w około połowie miast USA.

Na przełomie wieków XVIII i XIX rosły hałdy odpadów nieskładających się z ekskrementów i popiołu (mimo że w porównaniu z dzisiejszymi były skromne). Industrializacja sprawiła, że dostępne stały się nowe produkty, które z czasem zrobiły się tak tanie, że nie opłacało się naprawiać starych. W rolnictwie pojawiły się nowe, efektywne formy nawożenia, w związku z czym spadł popyt na odchody, tak ludzkie, jak i zwierzęce. Wyprodukowane przez przemysł towary coraz częściej miały kuszące opakowania, które były zarówno praktyczne, jak i mamiły klientów. W branży odzieżowej, rządzonej dotąd przez krawców, pojawił się termin *prêt-à-porter*. Teraz kobiety i mężczyźni mogli kupić w sklepie pasujące ubrania wyprodukowane przez przemysł! Przez większą część minionego stulecia, charakteryzującego się ogromnym wzrostem produkcji na wielu polach, także w kwestii odpadów, główny problem polegał na tym, co zrobić z rzeczami, których nikt nie chciał. Rozpowszechniły się otwarte wysypiska śmieci, położone kawałek drogi za miastem, a w dojrzewającym społeczeństwie typu „użyj-i-wyrzuć” powtórne użycie z wolna stało się terminem obcym. Gigantyczne hałdy odpadów, które znamy dzisiaj, w wielu miejscach na świecie powstały już w połowie XX wieku.

Niektóre problemy ze śmieciami, na przykład z końskimi odchodami, zniknęły same z siebie. Przeciętny koń produkuje w ciągu dnia pracy 10 kilogramów odchodów i 7 litrów moczu. Zmiana dominującego środka transportu na autobus, samochód, metro i kolej w ciągu krótkiego czasu wywołała dramatyczne skutki. Gdy w 1941 roku Nasjonal Samling[11] sporządziła plan budowy pomnika w Stiklestad[12] w gminie Verdal, na szkicu roiło się od stajni. W tym okresie transport konny był już na najlepszej drodze na śmietnik historii, również w relatywnie odizolowanej Norwegii. Wprowadzenie samochodów osobowych przyniosło naturalnie inne kłopoty z odpadami, ale póki co zamiana ton cuchnących ekskrementów na odrobinę spalin, które tak czy owak rozchodziły się w powietrzu, wydawała się być całkiem korzystna.

W ostatnich dziesięcioleciach weszliśmy w nową, trzecią fazę radzenia sobie z odpadami. Z chronicznego problemu natury praktycznej (faza I) oraz higienicznego i logistycznego problemu rosnącej ilości odpadów (faza II), w ostatnich latach problem śmieci przedefiniowano w kategoriach ekologicznych. Zaczęto powszechnie przyjmować do wiadomości, że zasoby Ziemi są ograniczone, a przy tym, że jeśli nie zaczniemy działać, to ryzykujemy zamianą planety w gigantyczny śmietnik. Rozwinął się cały wachlarz debat: o sortowaniu odpadów, recyklingu, sortowaniu odpadów specjalnych, kompostowaniu, redukcji użycia zasobów itp. Cele polityczno-środowiskowe zostaną osiągnięte dopiero, jeśli wszystkie śmieci trafią tam, gdzie ich miejsce, czyli albo do natury, albo do muzeum, albo przyczynią się do wzrostu ekonomicznego. Wysypisko, na którym biedne dzieci i szczury mogą buszować w poszukiwaniu skarbów, zgodnie z planem przejdzie do historii.

Ale w państwach o wysokim poziomie nierówności wysypisko wciąż będzie rogiem obfitości, dzięki któremu będą żywić się tysiące ludzi. Odwiedzałem raz slumsy, których mieszkańcy radzą sobie całkiem dobrze (nie ma głodu, wszyscy mają porządne ubrania, od czasu do czasu urządza się tam nawet imprezy) i gdzie najlepsze zabawki dziecięce robi się z plastikowych opakowań. Opakowania po zapałkach, szpulki taśmy i pudła z tektury prowadzą tam życie po życiu. Kiedy rzuci się okiem na tamtejsze domy, widać, że one również są zbudowane z opakowań. Fundamenty tworzą zbite gwoździami deski z drewnianych palet, nieco wyżej jest solidna tektura i być może jakieś stare szyldy reklamowe z blachy i aluminium, a szyby zrobiono z grubego, przezroczystego pleksi. Ten widok powinien nam coś podpowiedzieć, ale zgoła nie to, że życie zamieszkujących w tych domach ludzi jest zagrożone. Bo nie jest. Jak na takie warunki, radzą sobie nie najgorzej.

Oczywiście wyrzucanie wszystkich tych opakowań – co pędzący mieszkańcy miast w społeczeństwie nadmiaru robią dzień w dzień – pozostawia po sobie niesmak. W idealnym świecie powinno się móc sprzedawać wszelkie opakowania (na przykład puste butelki) w najbliższym sklepie albo w ciągu tygodnia powinny się one zamieniać w pierwszorzędny kompost, lub – gdy już spełniły swą funkcję –

przechodzić w stan lotny. W świecie, który nie jest idealny, ale ma tę zaletę, że istnieje, znakiem czasu jest problem nie tylko, gdzie wyrzucać zużyte rzeczy, ale też jak ponownie je wykorzystać i ograniczyć zużycie surowców. Ostatnie sto lat sprawiło, że planeta stała się mniejsza. Globalna klasa średnia chyba powoli zaczyna rozumieć, że wyrzucane rzeczy nie znikają same z siebie. Rozumiemy, że planeta jest obiegiem zamkniętym, nie zaś niekończącą się równiną, gdzie jeśli zniszczyło się jedno pole, można zacząć na drugim. Ten pogląd jest nowy i radykalny. Nie tylko zrywa on z industrializmem, ale również z podstawowymi wartościami minionych czasów, gdy natura była spiżarnią i składem surowców, którymi można się było częstować według własnego widzimisię, a po skończonym posiłku rzucić resztki na bok.

Przez całą historię ludzkości, aż do dzisiaj, było zbyt mało ludzi i zbyt wiele natury. Naturę trzeba było pokonać i ujarzmić, a ta mała cząstka, którą ludziom udało się wypracować, znajdowała się w stanie stałego zagrożenia. Teraz sytuacja się odwróciła. Zbyt wielu jest ludzi, a za mało natury – trzeba ją aktywnie chronić, by miała szansę przetrwać. To sytuacja, do której ewolucja nas nie przygotowała.

przełożyła Dorota Polska

Simen Særte
Petromania

Cena ropy rosła przez całą wiosnę i wczesne lato 2008 roku. Najpierw sięgnęła poziomu 117 dolarów za baryłkę, potem 118 i 120. Potem rosła dalej, do 135 dolarów, 140. W gazetach można było zobaczyć nagłówki takie jak ten: *Ceny ropy rosną o 10 dolarów w ciągu szalonego tygodnia.*

I ten: *Szok! Jak kryzys naftowy pustoszy świat*.

I ten: *Rekordowy wzrost cen ropy w jeden dzień*.

Cena ropy osiągnęła szczyt w lipcu, wyniosła 147 dolarów za baryłkę. Mówiło się, że ropa już zawsze będzie taka droga i że rynek zmienił się nieodwracalnie.

Kilka miesięcy później, po roku spędzonym za granicą, wróciłem do Norwegii. Było późne lato. Ludzie siedzieli w parkach rozrzuconych po Oslo, wylegiwali się i opalali na zielonej trawce, wszędzie było pełno jednorazowych grilli. Jednak wkrótce w okna wynajmowanego przez nas mieszkania zaczął bębnić padający całą noc deszcz i wcześniej zaczęło robić się ciemno.

W radiu nadal siedzieli ci sami ludzie, mówiący o tych samych rzeczach (przeważnie coś o islamie), a debata po raz kolejny dotyczyła rumuńskich żebraków na Karl Johan, głównej ulicy Oslo.

Pojawiły się też jednak pewne nowe rzeczy. Idąc w stronę Bjørvika, można było zobaczyć gigantyczny marmurowy budynek opery. Tysiąc sto pomieszczeń, 38,5 tysiąca metrów kwadratowych. 4 miliardy koron. „Największa instytucja kulturalna w Norwegii od czasu katedry w Nidaros” – pisano w komentarzach. „Ważny symbol tego, co Norwegia reprezentuje jako kraj”. Wokół opery rósł mały las błyszczących wieżowców, do których wkrótce miało dołączyć więcej zwra-

cających uwagę budynków, zaprojektowanych przez czołowych architektów świata.

W księgarniach ukazały się nowe książki. Antropolog społeczny Thomas Hylland Eriksen napisał *Syndrom dużego wilka*. Opisywał Norwegów żyjących w bogactwie, lecz mimo to wciąż niezadowolonych, jakby osiągnęli punkt nasycenia dobrobytem. Autor porównywał to uczucie z pustką, jaką duży wilk musiał czuć następnego dnia po złapaniu trzech małych świnek. „Jesteśmy dużym wilkiem dzień po" – pisał. „Jeśli jest się ekstremalnie biednym, to w końcu traci się nadzieję, ale czy nie traci się jej również, kiedy jest się ekstremalnie bogatym?"

Ukazała się też książka pod tytułem *Norwegia. Diagnoza*. Napisały ją znane osoby, starające się opisać dzisiejszą Norwegię. Jeden z rozdziałów był autorstwa ekonomisty ds. rozwoju Martina Sandbu, który próbował zajrzeć w przyszłość naftowej Norwegii. Pisał o opróżnianiu norweskiego szelfu z ropy i twierdził, że mogło to spowodować migrację norweskiego przemysłu naftowego do coraz „gorszych" krajów. Wspominał też o rosnącym majątku państwa, co według niego mogło uczynić je „państwem rentierów".

Było więc jednak więcej osób, które zastanawiały się nad tymi sprawami.

Mówi się, że podróże pozwalają lepiej zrozumieć siebie. Niektóre rzeczy widzi się wtedy wyraźniej. W moim przypadku podróż sprawiła, że zwróciłem szczególną uwagę na te cechy naszego rozwoju, które widziałem też w innych krajach naftowych. Może myślałem jednotorowo, może znalazłem to, czego szukałem, lecz wątpię, aby tak było. Bogactwo naftowe zmienia kraj i dotyczy to również Norwegii. Społeczeństwa naftowe kształtują się w określony sposób – bogactwo ma konsekwencje dla ich gospodarki, polityki, dla ich pozycji w świecie, własnego obrazu i dla panujących w nich stosunków międzyludzkich.

Oczywiście prawdą jest, że na różne kraje wpływa to w różnym stopniu. Ekonomista Ragnar Torvik wymienia pięć zmiennych, odróżniających kraje, które skorzystały z bogactwa zasobów, od tych, którym się to nie udało.

Jedna różnica dotyczy tego, w jakim momencie kraje te się uprzemysłowiły. Kraje, które zrobiły to wcześniej, w chwili odkrycia ropy posiadały dobrze działające instytucje. Ich społeczeństwa były zorganizowane i wykorzystanie dochodów z ropy do przyspieszenia wzrostu ekonomicznego przyszło im łatwiej.

Następny element to dobre instytucje. W krajach z dobrze funkcjonującymi instytucjami państwowymi mieszkańcy inwestują dochody z ropy. W krajach ze źle funkcjonującymi instytucjami, powszechną korupcją i małym szacunkiem dla prawa własności, mieszkańcy będą raczej próbowali zagarnąć dla siebie dochody z zasobów naturalnych.

Punkt trzeci to wysoka stopa oszczędności. Kraje, które oszczędzają najwięcej, najlepiej radzą sobie z bogactwem zasobów. Ponadto znaczenie ma też to, czy kraj posiada system prezydencki (niekorzystne) czy parlamentarny (korzystne), oraz jakie surowce wydobywa (diamenty są niekorzystne, ropa jest dobra, o ile instytucje są sprawne).

Wynika z tego, że biedny kraj rozwijający się, bez przemysłu, ze źle funkcjonującymi instytucjami i systemem prezydenckim, który nie oszczędza dochodów z ropy, najprawdopodobniej zostanie dotknięty przekleństwem zasobów. Norwegia w momencie odkrycia ropy posiadała dobrze rozwinięty przemysł. Mieliśmy kompetentne instytucje i system parlamentarny, a teraz oszczędzamy pieniądze w funduszu naftowym. Dzięki temu uniknęliśmy najgorszego.

Nie oznacza to, że bogactwo naftowe nie wpływa na rozwój Norwegii ani że w przyszłości nie dotknie nas przekleństwo zasobów. Jak pisze Torvik: „Jedną rzeczą jest dojście do wniosku, że nie dotknął nas paradoks bogactwa – czym innym jest dyskusja o tym, czy czeka nas to w przyszłości”. Jego zdaniem, decydujące znaczenie dla Norwegii będzie miał sposób, w jaki bogactwo naftowe wpłynie na politykę. Jedno z pytań brzmi, jak wyborcy ustosunkują się do majątku finansowego narastającego w Państwowym Funduszu Emerytalnym – Zagranica („funduszu naftowym”). „Da to wyborcom i politykom motywacje polityczne, których siły nie znamy”.

Politolożka Terry Lynn Karl przedstawia Norwegię jako przykład kraju, który uniknął przekleństwa zasobów. Opisuje ona, jak Norwegia na początku ery ropy postępowała według tych samych wzorców, co inne kraje naftowe. Sektor publiczny rozrastał się. Państwo stawało się silniejsze. Rząd pompował pieniądze w rolnictwo i przemysł. Konsumpcja i inflacja rosły. Pojawiły się objawy choroby holenderskiej[13]. W efekcie Norwegowie zapragnęli zmian politycznych i rzucili się na prawicową falę. Po wielu spokojnych latach Norwegią zaczęły rządzić niestabilne i zmienne układy polityczne; tym samym kraj podążył torem większości krajów naftowych.

Jednak w Norwegii, jak pisze Karl, udało się utrzymać porządek i uniknąć dużych wstrząsów ekonomicznych. Eksport się nie załamał. Dochody z ropy były ściśle kontrolowane, a polityka sektorowa opierała się na politycznym konsensusie. Utrzymano wysokie podatki. Mentalność rentiera jeszcze się nie rozwinęła, a silne instytucje państwowe chroniły Norwegię przed negatywnymi skutkami boomu. Tym sposobem Norwegii udało się ograniczyć efekt przekleństwa zasobów. Biurokraci stali się norweskimi bohaterami, ponieważ byli dokładnie tacy, jacy być powinni – nudni, rozsądni i przyzwoici.

Jednak nie jest to jednoznaczny obraz. Jak pokazały pierwsze lata wydobycia ropy, Norwegia nie była całkowicie odporna na przekleństwo. Poza tym książka Karl wyszła w roku 1997, zanim fundusz naftowy się wzbogacił, i przed dużym boomem z roku 2000. Kiedy Karl o tym pisała, bogactwo naftowe wpływało na Norwegię od ponad dwudziestu lat, a do dzisiaj upłynęło kolejnych dwanaście lat. Jest to różnica, ponieważ zmiana mentalności i politycznego klimatu to proces długotrwały.

Dyskusja o norweskim zarządzaniu ropą naznaczona jest wiarą, że Norwegia bardzo różni się od innych krajów naftowych. „Jesteśmy wyjątkiem. Nas to nie dotyka”. Mówi się o norweskich „bajkach naftowych”, w których głównymi postaciami są naftowi pionierzy, „ci, co zbudowali kraj ropy”, współcześni ojcowie założyciele. Z ich doświadczeniem w bagażu Norwegowie rozsyłani są po całym świecie w ramach programów międzynarodowych, aby uczyć inne kraje, jak zarządzać ropą. Jednocześnie norweskie spółki naftowe udają się

w świat, aby „przejąć pałeczkę” i zrobić porządek w pełnej bałaganu branży naftowej.

Nie kupuję tego sposobu myślenia. Jest zbyt prosty. Po pierwsze, te „bajki” często są opowiadane przez samych „bohaterów” lub rozpowszechniane przez działy marketingu spółek naftowych. Po drugie, uważam, że historia ta pływa w sosie narodowego szowinizmu. To narracja wyjątkowości – wiary, że nasz kraj jest czymś zupełnie wyjątkowym – która przejawia się w tym, że Norwegowie własny kraj nazwali „mocarstwem humanitarnym” i „krajem inności”.

Poza tym również w innych krajach, które odwiedziłem, zaobserwowałem wiarę, że ich mieszkańcy odkryli optymalne rozwiązania. Katarczycy twierdzili tak samo. W Angoli opowiadano mi, że to kraj przyszłości, którego nie warto opuszczać nawet w wakacje. W Turkmenistanie pouczano mnie, że kraj urządził się w najlepszy wyobrażalny sposób, dzięki skłóceniu ze sobą supermocarstw.

Każdy chciałby dobrze myśleć o sobie. Łatwo jest podkreślić to, co różni nasz kraj od innych, zwłaszcza gdy nieustannie opowiadają nam o tym przywódcy, którzy liczą na reelekcję. Jest to do pewnego stopnia częścią syndromu petromanii.

Po przejechaniu przez najbogatsze kraje naftowe, chciałbym opowiedzieć inną historię o Norwegii. Zaczyna się ona od stwierdzenia, że nasz kraj to kraj snobów. Dalej historia ta mówi, że małe państwa szczególnie bogate w ropę kształtowane są przez pewne przewidywalne siły, działające również u nas. Niektóre z nich są kulturowe i wpływają na władzę i mentalność – i choć czasami trudno określić ich natężenie, to jednak istnieją. Dostrzegamy je w formie tendencji, trendów, które powoli zmieniają kraj. Oto niektóre z nich.

SPOŁECZEŃSTWO CZASU WOLNEGO

W Kuwejcie zaskoczyło mnie, że wielu Kuwejtczyków wpadało do pracy na parę godzin. Nauczyłem się, że narody posiadające duże dochody z ropy mogą pracować mniej. Dobrobyt pozwala im na więcej czasu wolnego. Kuwejtczycy, którzy byli zatrudnieni w zakładach

państwowych, lecz nie mieli obowiązku przychodzenia do pracy, otrzymywali w rzeczywistości swego rodzaju pensję obywatelską, przypominającą zasiłek.

Również w Norwegii bogactwo umożliwia ograniczenie czasu pracy. Tendencja idzie w kierunku większej ilości czasu wolnego. Już w 25. ogłoszeniu parlamentarnym[14] (1973–1974) *Miejsce przemysłu naftowego w norweskim społeczeństwie* zakładano, że „kiedy poziom dobrobytu się podniesie, wiele osób będzie zainteresowanych krótszym czasem pracy i większą ilością czasu wolnego". Wówczas tydzień pracy skrócono z 42,5 do 40 godzin. Później skrócono go do 37,5 godziny. Wkrótce pojawił się też piąty tydzień wakacji. Dzisiaj każda aktywna zawodowo osoba pracuje o 430 godzin (23 proc.) rocznie mniej niż przed pojawieniem ropy.

Pracujemy mniej w przeliczeniu na jednego pracownika niż w jakimkolwiek innym kraju Zachodu. Częściowo można wyjaśnić to tym, że wiele norweskich kobiet jest aktywnych zawodowo i wiele z nich jest zatrudnionych na niepełnym etacie. Jednak krótki czas pracy można w dużym stopniu wytłumaczyć również bogactwem. Jak pisze Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) w swoim raporcie o norweskiej gospodarce na rok 2007, majątek z ropy doprowadził do „zawirowań w relacjach między pracą a czasem wolnym". Organizacja bierze to za oznakę tego, że również Norwegia nie uniknie przekleństwa zasobów.

Norweska etyka zawodowa zostaje wystawiona na próbę. Częściej niż inni nie przychodzimy do pracy. Nieobecność z powodu choroby jest najwyższa w Europie. W 2004 roku absencja była tak wysoka, że dziennikarze „The New York Times" przyjechali do Norwegii, aby zbadać, co się stało. „Etyka pracy Norwegów chyli się ku upadkowi" – pisał dziennikarz gazety. „Niczym rozpieszczone dzieci nowobogackich milionerów, Norwegowie częściej niż jakikolwiek inny naród Europy zostają w domu, zamiast iść do pracy". Rząd próbował zredukować te nieobecności, ale nadal w zwykły dzień roboczy 7 proc. z nas siedzi w domu na zwolnieniu lekarskim.

Jednocześnie spędzamy w pracy krótszą część życia. Długość życia rośnie, lecz ludzie wcześniej przechodzą na emeryturę. Szybko

rośnie liczba Norwegów idących na wcześniejszą emeryturę (AFP). W efekcie nasz oczekiwany wiek emerytalny spadł do 63,5 roku.

Oznacza to również, że coraz więcej Norwegów żyje z państwowych pieniędzy. Nie ma dokładnych statystyk określających, jak wielu z nas utrzymuje się z zasiłków i emerytur, ale jest to ponad milion ludzi. Według NAV (Norweskiego Urzędu Pracy i Opieki Społecznej) Norwegia ma obecnie 642 tysiące emerytów i 340 tysięcy rencistów. Około 66 tysięcy osób otrzymuje zasiłek dla bezrobotnych, 130 tysięcy jest na zasiłku chorobowym, 109 tysięcy otrzymuje wsparcie socjalne, 45 tysięcy zasiłek rehabilitacyjny i 57 tysięcy zasiłek rehabilitacji zawodowej (można pobierać więcej niż jedno świadczenie na osobę). W 2005 roku dziennik „Bergens Tidende" szacował, że główne źródło dochodu ponad jednej trzeciej wszystkich Norwegów powyżej szesnastego roku życia stanowiły te właśnie świadczenia.

Nasza ucieczka od pracy jest bardziej niepokojąca niż w innych krajach europejskich. Norwegowie są częściej nieobecni w pracy i otrzymują wyższe zasiłki. OECD zauważa, że jednym z największych wyzwań, przed którymi stoi Norwegia, jest „utrzymanie silnej motywacji do pracy oraz sumiennego studiowania i dołożenie starań skierowanych na wprowadzanie innowacji, w sytuacji, gdy kraj ma dostęp do dużych zasobów ropy".

Tendencja zmierza jednak w odwrotnym kierunku. Obecnie rząd bada możliwość skrócenia czasu pracy Norwegów z 7,5 godziny do 6 godzin dziennie. W wielu miejscach normą jest czterodniowy tydzień pracy. Fala osób starszych sprawia, że szybko rośnie odsetek Norwegów żyjących z przelewów od państwa. Podczas gdy my mniej pracujemy i żyjemy na koszt państwa, w społecznym podziale pracy coraz większą rolę odgrywają obcokrajowcy.

IMIGRANCI

W odwiedzanych przeze mnie państwach naftowych niewiele zjawisk rzucało się w oczy równie silnie jak napływ gastarbeiterów. W Kuwejcie spotkałem indyjskiego inżyniera, w Gabonie kameruńskiego taksówkarza, a w Angoli widziałem ciężarówki pełne Chińczyków. Imi-

granci zarobkowi przyjechali, ponieważ bogactwo naftowe zwiększyło zapotrzebowanie na usługi, a płace były lepsze niż w ich ojczyźnie.

Teraz przyjeżdżają również do Norwegii. Kiedy w połowie lat 80. dostałem pierwszą wakacyjną pracę przy zbieraniu truskawek, nie było wśród nas żadnych obcokrajowców. Dzisiaj ze świecą szukać choćby jednego norweskiego zbieracza. Przez ostatnie dziesięciolecia doszło do radykalnego umiędzynarodowienia norweskiej siły roboczej. Taksówkarz, który odwozi cię do domu po nocy spędzonej na mieście, jest z pochodzenia Pakistańczykiem. Kelner, który sprzedał ci piwo, jest Szwedem. Restaurację, w której siedziałeś, zbudowali Litwini, produkty zebrali pracujący w rolnictwie Polacy, a po twoim wyjściu afrykańscy imigranci umyją podłogę.

Zagraniczni pracownicy stanowią obecnie około 8–9 proc. norweskiej siły roboczej. Wśród nich znajdziemy 50 tysięcy pracowników z krajów nordyckich (głównie ze Szwecji) i 110 tysięcy z innych krajów europejskich (najwięcej z Polski, Litwy i Niemiec). Do tego dochodzi nieznana liczba niezarejestrowanych wydelegowanych i samodzielnych pracowników oraz obcokrajowców pracujących nielegalnie.

Rozwijają się „zawody czysto imigranckie”. Pracodawcy korzystają z zagranicznej siły roboczej, aby obniżyć wysokie wynagrodzenia i zredukować wymagania pracowników. W branżach, których to dotyczy, słabnie wpływ związków zawodowych, obniżają się pensje, maleją wymagania co do formalnych kwalifikacji. „Brudną robotę” wykonują przyjezdni imigranci zarobkowi, którzy często mają niski status społeczny i dostają gorsze prace.

Do kategorii tej należą takie branże, jak przewozy osobowe, sprzątanie, budownictwo oraz zbieranie plonów w rolnictwie. Wśród kategorii kontrolowanych przez Centralne Biuro Statystyczne, najwięcej imigrantów znajdziemy w „sprzątaniu”, gdzie 43,8 proc. pracowników urodziło się za granicą. Następne jest „pośrednictwo i wynajem siły roboczej” (24,9 proc.) oraz „działalność hotelarska i restauracyjna” (23,1 proc.). Jednak pracownicy zagraniczni stale podbijają nowe branże. Pracują w przemyśle, roznoszą gazety, są zatrudniani w służbie zdrowia i coraz częściej pracują jako służący

w norweskich domach. Niczym echo z Zatoki Perskiej pojawiła się u nas stale rosnąca grupa filipińskich *au pair* (1168 w ubiegłym roku), które gotują, sprzątają i opiekują się dziećmi.

Rozwijają się wtórne rynki pracy dla imigrantów zarobkowych. Podczas gdy pierwotny rynek pracy jest ściśle regulowany i oferuje wysokie wynagrodzenia, bezpieczne warunki zatrudnienia i możliwości podnoszenia kompetencji, wtórny rynek pracy, na którym działają imigranci zarobkowi, charakteryzują niższe płace, niepewne i nieunormowane warunki zatrudnienia, nikłe perspektywy awansu oraz praca na niepełnym etacie lub praca tymczasowa.

Jednym z sektorów, w których rozwija się wtórny rynek pracy, jest rolnictwo. Podczas gdy na pierwotnym rynku pracy zatrudnieni są dobrze zorganizowani i subsydiowani przez państwo norwescy rolnicy, wtórny rynek pracy wchłonął 20 tysięcy obcokrajowców, którzy zbierają plony i wykonują fizyczną pracę w norweskich gospodarstwach. Ich standardowa stawka wynosi 90,5 korony za godzinę przez pierwsze miesiące, czyli daleko poniżej przeciętnej płacy pracownika przemysłowego, wynoszącej 160,3 korony. Imigranci zarobkowi mało wiedzą o swoich prawach. Zawierają ustne umowy o pracę, mieszkają w złych warunkach i są słabo zorganizowani. Ich punktem odniesienia nie jest norweski rynek pracy, ale oferta zatrudniającego ich rolnika. Mogą wybrać – jak imigranci zarobkowi w Zatoce Perskiej – między przyjęciem oferowanych warunków albo powrotem do domu.

Umiędzynarodowienie norweskiego rynku pracy postępuje szybciej i na większą skalę niż u naszych sąsiadów. Nie wygląda też na to, aby tendencja ta miała się zatrzymać. Kieruje nią gospodarcza racjonalność – im więcej Polaków nawiązuje kontakty w Norwegii, tym więcej ich przyjeżdża. Im więcej Norwegów zarabia na zatrudnianiu zagranicznej siły roboczej, tym więcej z nich to robi. Jeśli raz wynająłeś tanich obcokrajowców, zrobisz to ponownie.

Problemem takiego modelu rozwoju jest to, że społeczeństwo może się podzielić, tak jak w Zatoce, na ludność miejscową i imigrantów albo – aby użyć terminologii socjologa Thorsteina Veblena – na klasę czasu wolnego (która brzydzi się pracą fizyczną) i klasę słu-

żących (którzy wykonują fizyczną i produktywną pracę). „Zkuwejtyzowanie” jest realne.

KULTURA SAMOREALIZACJI

„Ludzie dostosowują się do środowiska” – powiedział Hazem Beblawi, kiedy spotkałem go w Abu Dhabi. „Jeśli zdajesz sobie sprawę, że wprowadzanie innowacji i rozpoczęcie produkcji zajmie dużo czasu i jest ryzykowne, a wiesz, że możesz więcej zarobić, spekulując na giełdzie, wybierzesz to drugie”.

Ludzie wybierają najłatwiejszą drogę. Dlatego państwa bogate w ropę mają problem z innowacyjnością. Ekonomiści zawsze gardzili powolnym, szczęśliwym rentierem i wielbili swojego dynamicznego, innowacyjnego, chętnego do podejmowania ryzyka bohatera: przedsiębiorcę. Państwa Zatoki chciałyby mieć mniej rentierów i więcej przedsiębiorców. To dlatego Kuwejt organizuje targi innowacji, Katar buduje miasto edukacji, a Dubaj swoje Knowledge Village. Jednak bogactwo hamuje ich rozwój.

A co z Norwegią? Aby zobaczyć, jaką będziemy mieli siłę roboczą, musimy zbadać dorastające pokolenie. Dowiemy się w ten sposób, że norwescy szesnastolatkowie nie są tak zdolni jak ich rówieśnicy z krajów, z którymi się porównujemy. Wyniki norweskiej młodzieży są gorsze od średniej OECD w czytaniu, liczeniu, jak i rozumieniu przedmiotów przyrodniczych, a od roku 2000 stale się pogarszają. Dzieje się tak, choć Norwegia należy do krajów, gdzie wydaje się najwięcej pieniędzy na jednego ucznia.

Jednocześnie norweska młodzież nie interesuje się dziedzinami, których znajomość umożliwia innowacje. Uczniowie unikają kierunków technicznych i ścisłych, ważnych dla rozwoju technologicznego. Odsetek Norwegów wybierających ścisłe wykształcenie wyższe należy do najniższych na świecie. Norwegia jest również jednym z niewielu krajów, w których maleje liczba studentów na kierunkach inżynieryjnych. Ta ucieczka od nauk ścisłych może być trudna do odwrócenia, ponieważ niewielu Norwegów zostanie nauczycielami przedmiotów ścisłych w szkołach średnich. Średnia wieku norweskich na-

uczycieli matematyki i nauk przyrodniczych wynosi obecnie ponad pięćdziesiąt lat.

OECD ostrzega, że innowacyjność jest w Norwegii niska. Trudno zmierzyć to dokładnie, ale organizacja ta uważa, że w porównaniu z innymi krajami „intensywność badań i rozwoju wydaje się słaba, liczba patentów jest umiarkowana, a badania świata biznesu wykazują, że nie jest on zainteresowany tworzeniem nowości".

W kraju następują zmiany kulturowe. Norweska młodzież jest materialnie zabezpieczona. Jak wyjaśnił Beblawi, młodzi ludzie dostosowują się do środowiska. Nie muszą dokonywać rozsądnych wyborów albo jechać w świat do ciężkiej pracy, jak to zrobił indyjski inżynier – wybierają wykształcenie, na które mają ochotę. A mają ochotę na realizowanie siebie. Socjolog Ivar Frønes nazywa to kulturą samorealizacji. Wskazuje on, że młodzież odrzuca studia ukierunkowane na produkcję, zamiast tego wybierając „studia samorealizacji", takie jak sztuka, kierunki humanistyczne, studia politologiczne albo finansowe. Wielu (w tym ja) postanowiło zostać „kimś w mediach".

Problem polega na tym, że w ten sposób dochody Norwegii stają się coraz bardziej zależne od ropy. Aby zróżnicować źródła dochodów i rozwinąć norweską Nokię, potrzebne są kompetencje podobne do tych, które znajdziemy u dynamicznego, chętnego do ryzyka przedsiębiorcy. Norwegowie zmierzają raczej w kierunku zadowolonego, samozrealizowanego rentiera.

PAŃSTWO MUSI WZIĄĆ NA SIEBIE ODPOWIEDZIALNOŚĆ

W Wenezueli usłyszałem o tacie PDVSA, który dużo dawał, niewiele żądając w zamian. Tata PDVSA był bogatym ojcem społeczeństwa. Płacił rachunki za mieszkańców, którzy za dużo konsumowali. Wiele państw bogatych w ropę miało swoją wersję tego fenomenu. W państwach naftowych umowa społeczna uległa zmianie. Jesteśmy przyzwyczajeni do myślenia o państwie jako miejscu, w którym mieszkańcy działają razem w celu rozwiązania wspólnych problemów przy pomocy wybranych reprezentantów. W niektórych państwach oby-

watele chcą wspólnie rozwiązywać wiele problemów i płacą duże podatki; w innych ich mieszkańcy chcą samodzielnie rozwiązywać swoje problemy i płacą niewiele. Jednak w kraju bogatym w ropę rachunek ten może się zmienić. Bogactwo z ropy trafia bezpośrednio do państwa i czyni je bogatym ojcem, który sam zarządza dochodami. Państwo staje się centralnym punktem społeczeństwa, a obywatele zaczynają przypominać klientów, marudzących, żeby państwo dało im pieniądze. Nie pytają, co mogą zrobić dla państwa, ale co państwo może zrobić dla nich.

Państwo norweskie jest bardziej rozbudowane niż w większości krajów uprzemysłowionych. Jest tak niezależnie od tego, jaką miarę się zastosuje – uczestnictwo w gospodarce, odsetek pracowników państwowych czy wydatki publiczne w stosunku do produktu narodowego brutto. Dzięki Państwowemu Funduszowi Emerytalnemu – Zagranica mamy też wyjątkowo bogate państwo. Mamy pieniądze. Fakt ten kształtuje stosunek między jednostką a państwem.

Norwegia kroczy w stronę stania się państwem rentierów. Norwegowie nadal płacą duże podatki, ale w miarę jak rosną dochody z ropy, podatki stanowią coraz mniejszą część przychodów do budżetu. Przy swojej stosunkowo silnej gospodarce państwo staje się „zarządcą bogactwa danego przez Boga”, aby zacytować ekonomistę ds. rozwoju Martina Sandbu. Państwo zamienia się w „sędziego decydującego o tym, które interesy klientów – bo tym stają się obywatele w państwie rentierów – są najważniejsze”. Całe sektory gospodarki popadają w zależność od szczodrości państwa: pomoc społeczna, kultura, rolnictwo, część przemysłu, prasa. Listę tę można wydłużyć. Dla tych sektorów walka o przetrwanie może przybrać formę walki o państwowe dofinansowanie. W związku z tym angażują się w pogoń za rentą, walkę o przywileje. Od kiedy norweski majątek naftowy urósł do znaczących rozmiarów, raz po raz pojawiają się propozycje jego wykorzystania. Oto kilka przykładów znalezionych w Internecie: walka z biedą, energia słoneczna, infrastruktura, nowy przemysł, sztuka, zakup nieruchomości, lepsze programy opieki społecznej. To walka o przywileje w mniejszej skali, lecz w większej skali bogate państwo staje się punktem odniesienia dla przedsiębiorstw, organizacji i osób prywatnych, które chcą dostać pożyczkę, poręcze-

nie, kapitał na rozpoczęcie działalności gospodarczej, dotacje, stypendia, zasiłki, ulgi podatkowe, specjalne dostosowania, wsparcie finansowe i rekompensaty. Kiedy ten taniec wokół państwowego talerza stanie się bardziej opłacalny niż wprowadzanie innowacji i konkurowanie na wolnym rynku, większość Norwegów stanie się rentierami. Osłabi się nasza międzynarodowa zdolność do konkurowania. Wzmocni się nasze uzależnienie od dochodów z ropy.

Jednocześnie obywatele zmienią się w klientów. Jeśli ubieganie się o państwowe programy wsparcia będzie bardziej opłacalne niż praca, dostosowywanie się do rynku pracy i zakładanie firm straci uzasadnienie. Zamiast tego wielu z nas postanowi walczyć o państwowe środki. W ten sposób powstanie zależność. Trudno będzie przeprowadzić konieczne reformy, ponieważ zbyt wiele osób będzie zależnych od systemu. Staniemy się bezbronnymi klientami.

Nie wiadomo, czy w Norwegii do tego dojdzie. Zależy to od kultury i mentalności, trudno dokładnie coś przewidzieć. Natomiast pewne jest, że taka właśnie jest tendencja. Bogactwo naftowe zmienia nasz stosunek do państwa. Więcej od niego wymagamy. Rozwinęła się norweska mentalność, mówiąca, że „ktoś naprawdę musi coś z tym zrobić, tylko nie ja… a państwo!”. Jeśli na wycieczce zagranicznej spotykają nas jakieś problemy, państwo ma przyjść nam na ratunek. Jeśli się rozchorujemy, żądamy, aby państwo nas wyleczyło. Rządzą nami wzorce myślowe, których nie znali nasi dziadkowie i których nie znają obcokrajowcy.

Problem z syndromem „państwo musi wziąć na siebie odpowiedzialność” jest taki, że jego fundamenty są chwiejne – w kasie państwowej jest dużo więcej pieniędzy, niż do niej wpłacamy. W dniu, w którym państwo nie będzie już dłużej mogło „brać na siebie odpowiedzialności”, a my nie będziemy mogli już powiedzieć: „I do tego dochodzi w najbogatszym kraju świata”, i oczekiwać, że ktoś coś zrobi, syndrom ten stanie się źródłem problemów, ponieważ nasz kraj nie będzie już najbogatszy na świecie.

WŁADZA ROPY

W odwiedzonych przeze mnie krajach przemysł naftowy przynosił największą część dochodów kraju. To tam były pieniądze. Przywódcy państwowi budowali swoją władzę i pozycję wokół ropy. Branża ta nie zatrudnia zbyt wielu osób, w związku z czym osoby w niej pracujące mają wysoki status społeczny. Nie ma też szczególnie wielu spółek wydobywających ropę, przez co stają się one jeszcze potężniejsze.

W Norwegii przemysł naftowy zatrudnia zaledwie 1,5 proc. siły roboczej. Z drugiej strony wytwarza on około 30 proc. dochodów kraju. To tam, w rękach kilku osób, koncentrują się kapitał i wpływy. Politycy słuchają tych osób, ponieważ od nich zależy ich własny dochód. Strajki lub protesty w branży naftowej (jak w Wenezueli) mogą sparaliżować całe państwo. Poza tym branża ta ma pieniądze, aby wywierać wpływ na polityków (poprzez lobbystów) oraz na mieszkańców (poprzez marketing). Ludzie biznesu naftowego mają wyższe kompetencje niż politycy, którzy nie znają fachowego języka i są niedoinformowani, ale słuchają języka pieniędzy.

W Norwegii branża naftowa opisywana jest jako „kompleks przemysłu naftowego". Możemy postrzegać go jako grupę ludzi dzielącą te same wartości, te same cele i tę samą wiedzę. Zajmują oni miejsca w naftowej biurokracji, w spółkach naftowych, w związkach branżowych. Kompleks ten jest ważnym politycznym graczem. W razie konieczności branża może wydać 20 milionów koron na jedną jedyną kampanię wywierania wpływu. Jednocześnie uderza to w zasadę rządów ludu. Jak pisze historyk Francis Sejersted: „Wydaje się, że kompleks przemysłu naftowego stanowi szczególne wyzwanie dla aparatu politycznego. […] Demokracja stoi w opozycji do technokracji, a rządy ludu w opozycji do rządów ekspertów".

Obecnie norweska branża naftowa walczy o przetrwanie. Wyczerpują się zasoby na Morzu Północnym. Do roku 2020 produkcja ropy szybko spadnie. Przedsiębiorstwa obawiają się utraty dochodów, pracownicy obawiają się utraty pracy, a regiony (jak Rogaland) boją się utraty dochodów podatkowych i mieszkańców.

Lęk ten ma swoje imię: tor wykruszenia. Tor wykruszenia to opadająca krzywa, która została naszkicowana przez Ministerstwo Ropy i Energii w 2002 roku, w celu pokazania, co się stanie, jeśli będziemy wydobywać tylko znane nam zasoby ropy na norweskim szelfie. Twierdzi się, że w takim przypadku norweski przemysł naftowy „wykruszy się" do roku 2020. Obecnie przemysł naftowy wykorzystuje tor wykruszenia jako środek do wywierania presji na władzach. Aby nie doszło do najgorszego, państwo musi zastosować odpowiednie środki i spełnić żądania przemysłu.

Obawa przed torem wykruszenia ciągnie przemysł naftowy w dwóch kierunkach. Po pierwsze, norweskie spółki naftowe wyruszają w świat. Statoil otrzymał *carte blanche*, aby wejść do krajów rozwijających się. Właściciel – państwo – stawia tylko jedno ograniczenie: muszą trzymać się z dala od Birmy. Razem z innymi norweskimi spółkami Statoil trafia do coraz bardziej skorumpowanych krajów, gdzie współpracuje z dyktatorami i elitą. Ministerstwo Spraw Zagranicznych, które dba o „norweskie interesy", idzie w jego ślady i definiuje kraje, w których Statoil prowadzi działalność, jako norweskie strefy interesów. W krajach działalności spółki otwierane są ambasady – ostatnio w Angoli (1996), Algierii (2007) i Kazachstanie (2009). Stają się one „ambasadami naftowymi". Krytyka tych krajów za brak demokracji przegrywa z interesami biznesowymi. Potrzeby przemysłu naftowego rządzą polityką zagraniczną.

Jednocześnie przemysł ten naciska na otwarcie nowych obszarów wydobycia. Uwaga przenosi się na północ, w kierunku Morza Barentsa i Lofotów, w stronę obszarów, które warto chronić lub które mają duże łowiska. Branża napotyka na sprzeciw obrońców środowiska, ale dysponuje o wiele większymi zasobami finansowymi. Jednocześnie żądania przemysłu naftowego uderzają w politykę klimatyczną, bo hamują cele klimatyczne i blokują wykorzystywanie alternatywnych źródeł energii. Przemysł naftowy określa ramy norweskiej polityki środowiskowej.

Branża naftowa chce wpływać na polityków i dysponuje odpowiednimi środkami. W ten sposób jeden sektor wywiera niewspółmiernie duży wpływ na norweską politykę zagraniczną związaną z energią i środowiskiem. W nadchodzących latach, w miarę jak obawa przed

torem wykruszenia stanie się jeszcze bardziej natarczywa, to zagrożenie dla demokracji może stać się jeszcze silniejsze.

ASPOŁECZNY ASPEKT PAŃSTWA NAFTOWEGO

Moje rozmyślania nad „aspołecznym aspektem państwa naftowego" rozpoczęły się podczas planowania podróży do Arabii Saudyjskiej (nie ma szans, aby się tam dostać), Libii (poddałem się), Gwinei Równikowej (nie udało się) i Turkmenistanu (dostałem się tam, w pewien sposób). Państwa naftowe izolowały się. Później doświadczyłem czegoś podobnego w spotkaniach z Kuwejtem, Gabonem i Angolą, które są bogatymi, osobliwymi państwami o złej reputacji międzynarodowej. Kuwejtczycy są znienawidzeni przez innych Arabów, Gabończycy nielubiani przez Kameruńczyków. Zrozumiałem, że wynika to z pozycji tych krajów na świecie. Zostały one uformowane przez swoje interesy. Oba te kraje: 1) są bogate; 2) eksportują ropę naftową. Dotyczy to również Norwegii. Kształtuje to nasze interesy i nasz stosunek do świata.

Jednym z przykładów jest polityka imigracyjna. Bogaty kraj działa na imigrantów jak magnes. Nawet tak zimny i nieznany kraj na dalekiej północy jak Norwegia narażony jest na silniejszą presję. Podobnie jak w Zatoce, ten bogaty mały kraj zmuszony jest zamknąć się na imigrantów, aby nie doprowadzić do przeludnienia i rozmycia swojej tożsamości. Państwa Zatoki uniemożliwiły imigrantom uzyskanie obywatelstwa, ale wpuszczają ludzi do pracy. Można zostać obywatelem Norwegii, ale mamy blokadę imigracji i robimy coraz więcej w celu powstrzymania uchodźców od przyjeżdżania do nas. Jesienią 2008 roku rząd wprowadził szereg zaostrzeń w polityce azylowej, po tym jak Norwegia zanotowała jeden z największych w Europie wzrostów napływu uchodźców. Następnego roku wprowadzono kolejne zaostrzenia. To, co wcześniej uważano za „ludzką" politykę imigracyjną, nie jest już politycznie akceptowalne. Stosowanie się do zaleceń ONZ stało się politycznie trudne. Ludzie odsyłani są do obszarów ogarniętych wojną, wbrew wcześniejszej norweskiej praktyce i wartościom humanitarnym. Polityka imigracyjna staje się

cyniczna. Ingeruje się w życie jednostek, powstrzymuje ludzi od brania ślubu i utrudnia młodym parom zamieszkanie razem. Stopniowo norweska polityka imigracyjna staje się podobna do polityki prowadzonej w państwach Zatoki. Biedni ludzie są wykluczani, bogaci wpuszczani, a pracownicy z innych krajów mogą przyjechać do pracy wyłącznie na czas określony. Jest to system, który Norwegom może wydawać się logiczny, tak jak wydawał się logiczny Kuwejtczykom i Katarczykom. Jednak taka polityka ma swoją cenę. Jest nią polaryzacja między imigrantami a rodowitymi mieszkańcami oraz reputacja kraju aspołecznego.

Następny przykład tego, w jaki sposób bogactwo kształtuje nasze interesy, dotyczy stosunku do współpracy międzynarodowej. Bogate państwo często jest zainteresowane utrzymaniem panującego na świecie porządku. Państwo takie będzie starało się wzmocnić swoje granice, co pozwoli mu na pozostanie bogatym pośród morza biedoty, a także przeciwstawi się realnej globalnej redystrybucji dóbr, przez którą ci bogaci musieliby oddać swoje przywileje. Wynika z tego, że bogaty nie może stać się internacjonalistą. W świecie z rosnącą liczbą powiązań, gdzie rozwijają się globalne instytucje i coraz więcej problemów trzeba rozwiązywać globalnie, kraj bogaty w ropę staje się hamulcowym rozwoju. Dotyczy to również Norwegii. Podczas gdy inne kraje budują Unię Europejską i rozwiązują problemy na poziomie europejskim, Norwegia stoi z boku. Radzimy sobie dobrze bez UE. Wielu Norwegów twierdzi, że poradzilibyśmy sobie również bez umowy EWG i że nie potrzebujemy żadnej umowy z WTO (Światową Organizacją Handlu). Nasze interesy osłabiają wolę globalnego budowania instytucji, izolują nas i czynią kraj aspołecznym.

Trzeci element dotyczy bezpośrednio samej ropy naftowej. Stanowisko Norwegii jako jednego z największych eksporterów ropy kształtuje nasze polityczne interesy. Jak napisano w opracowaniu wydanym na zlecenie Ministerstwa Spraw Zagranicznych, „z czystej perspektywy interesów finansowych, dla Norwegii i norweskiego przemysłu korzystna jest maksymalizacja produkcji ropy i gazu”. Interes ten jest sprzeczny z jednym z największych wyzwań światowego społeczeństwa – katastrofą klimatyczną. Kraje eksportujące ropę

aktywnie przeciwdziałają międzynarodowym negocjacjom klimatycznym i odmawiają ograniczenia emisji swoich gazów cieplarnianych. Norwegia wcześnie wprowadziła opłaty za emisję CO_2, wspierała globalne ograniczenia emisji gazów cieplarnianych i stawiała na sekwestrację CO_2, lecz bogactwo naftowe nas ogranicza. Nasze interesy stawiają nas w zasadniczo aspołecznej pozycji, również w odniesieniu do polityki klimatycznej.

Tak jak Kuwejt i Katar chcą być dobrymi obywatelami świata, przyczyniającymi się do obniżania biedy i szerzenia pokoju, tak również Norwegia pragnie odegrać w świecie „postępową" rolę. Lecz podobnie jak Katar i Kuwejt, nasze interesy ciągną nas w przeciwnym kierunku. Jeśli sytuacja się nie zmieni, Norwegia stanie się (jak twierdzi przewodnicząca prawicy Erna Solberg) „bogatym, odrażającym kuriozum".

PETROPOPULIZM

W wypowiedziach ludzi, z którymi rozmawiałem w krajach naftowych, oraz w książkach, które przeczytałem, stale powtarzał się jeden temat. Chodziło o to, w jaki sposób bogactwo naftowe wpływa na konkurencję polityczną w demokracji. Często zdarza się, że politycy zaczynają licytować się, kto zdoła wydać więcej pieniędzy z ropy, lub zaczynają „kupować głosy" od różnych grup społecznych. Zjawisko to nazywam petropopulizmem.

Myślę, że Norwegia posiada własny wariant tego fenomenu. Skupiony jest on wokół Państwowego Funduszu Emerytalnego – Zagranica („funduszu naftowego"). Im większe są oszczędności z ropy, tym silniejsza presja, aby je wydać, zwłaszcza kiedy wyborcy widzą wokół siebie problemy społeczne, które ich zdaniem powinny zostać rozwiązane. Jak napisał socjolog specjalizujący się w analizach wyborczych Bernt Aardal, podczas wyborów parlamentarnych z 2005 roku pęczniejąca kasa funduszu stała się miarą wszystkich nierozwiązanych społecznych problemów. „Związek między rosnącymi oczekiwaniami a polityczną nieufnością w nadchodzących latach będzie stałym wyzwaniem dla norweskich rządów".

Przepaść między zakładanym bogactwem a nierozwiązanymi problemami można nazwać przepaścią oczekiwań. Wszyscy dobrze znamy powiedzenie: „I do tego dochodzi w najbogatszym kraju świata!”. Przepaść pogłębia się, kiedy czujemy się bogaci i widzimy wokół nas nierozwiązane problemy, a maleje, kiedy czujemy się mniej bogaci i widzimy mniej problemów. Im głębsza staje się przepaść oczekiwań, tym więcej głosów otrzymują partie, które wykorzystują ją w swoich kampaniach wyborczych (w Norwegii dotyczy to głównie Partii Postępu). Mamy tu jednak dwa problemy.

Po pierwsze, przepaść oczekiwań jest niemożliwa do zlikwidowania. Można zredukować odczuwalne bogactwo poprzez przekonywanie wyborców, że nie jesteśmy aż tak zamożni. Próbą tego było przechrzczenie funduszu naftowego na Państwowy Fundusz Emerytalny – Zagranica. Starano się wyjaśnić, że fundusz został już „wykorzystany” na przyszłe emerytury. Lecz ta ciężka nowa nazwa nadal opatrywana jest komentarzem „jak to się podobno teraz nazywa”, a wszyscy i tak wciąż nazywają go funduszem naftowym – czyli pedagogika nie osiągnęła zamierzonego efektu. Można też starać się zredukować problemy odczuwane w społeczeństwie poprzez zwrócenie uwagi na fakt, że Norwegia ma jeden z najlepszych i najkosztowniejszych systemów usług publicznych na świecie. Jednak usługi publiczne zawsze mogą być jeszcze lepsze. Nigdy nie będą idealne, bo wykonują je ludzie, a ludzie popełniają błędy. Poza tym niezależnie od tego, jak świetne byłyby usługi publiczne, media zawsze pokażą to, co nie jest wystarczająco dobre. Kiedy ostatnio czytałeś o drodze, która była zbyt dobra? Albo o pacjencie, który otrzymał zbyt dobre lub wystarczająco dobre leczenie?

Po drugie, przepaść oczekiwań można by zlikwidować tylko poprzez wydawanie większych sum z naftowych pieniędzy już dzisiaj, co również stwarza problemy. Trzeba by złamać zasadę mówiącą, że mamy wykorzystywać tylko 4 proc. funduszu naftowego rocznie. Spowoduje to mniej korzystny podział bogactwa między pokoleniami, inflację, niższą jakość inwestycji i słabsze zabezpieczenie przed okresami recesji.

W tej sytuacji norwescy politycy będą musieli pogodzić się z przepaścią oczekiwań. Przepaść ta najprawdopodobniej jeszcze się po-

głębi w miarę wzrostu majątku finansowego. Partie, które dzisiaj chcą wykorzystywać więcej pieniędzy, mogą urosnąć do gigantycznych rozmiarów. Obowiązujące dziś ograniczenia zostaną zlikwidowane, gdyż są one: 1) trudne do wyjaśnienia w telewizji, 2) abstrakcyjne, 3) kojarzą się z „chciwością", 4) biorą pod uwagę długą perspektywę czasową; podczas gdy wydawanie pieniędzy już dzisiaj jest: 1) łatwe do wyjaśnienia w telewizji, 2) konkretne, 3) pokazuje „zdolność do działania", 4) jest skierowane na „tu i teraz". To gra o niemożliwym do przewidzenia wyniku. Jak pisze Ragnar Torcik, „w kontekście historycznym […] niewielu jest takich, którzy przewidzieliby efekty masywnej publicznej akumulacji majątku finansowego, których doświadczymy w nadchodzących latach".

W Norwegii przeprowadzany jest polityczny eksperyment. Śledź go. Studiuj teorię o przetrwaniu najbogatszego. Strzeż się walki o przywileje. Uważaj na białe słonie.

PETROMANIA

Dlaczego to słowo tak bardzo zaabsorbowało moje myśli tego dnia w lutym 2008 roku, kiedy siedziałem samolocie do Wenezueli? Ujrzałem optymizm u Katarczyka, który twierdził, że miał najlepsze życie na świecie. Widziałem hummery, sztuczne wyspy, najwyższe budynki świata, slogany takie jak „*The new height of luxury*" i czytałem o wenezuelskiej „rewolucji XXI wieku". Lecz może petromania dotyczyła w równym stopniu tego, czego doświadczyłem w Norwegii?

Było to uczucie nieposkromionej pychy, uczucie euforii/gigantomanii/braku zahamowań, które mogłem poznać dzięki spotkaniu z agresywnym rynkiem mieszkaniowym, rządzonym przez pływających w pieniądzach agentów nieruchomości. Ludzie brali większe pożyczki na większe mieszkania. Państwo wypełniło Bjørvikę krzyczącą architekturą i chciało wziąć na siebie jeszcze jedną olimpiadę, podczas gdy domki letniskowe, łódki i samochody stawały się coraz większe, wakacje w dużych miastach coraz częstsze, pierwsze strony gazet krzyczały o ŚWIĘTOWANIU Z OKAZJI PODNIESIENIA PENSJI

i WSPANIAŁYM ROKU, a gadające głowy w telewizji informowały, że „Norwegia idzie do przodu aż świszczy!”.

Wraz z tym nadeszły również zmiany w naszym sposobie postrzegania otaczającego świata, zmiany osobowości/mentalności/wzorców myślowych. Wartości naszych dziadków stały się nam obce.

Myślę jednak, że ze wszystkich elementów petromanii najważniejszy jest ten trzeci: utrata perspektywy/zrozumienia samych siebie/zdolności osądu. Bogactwo nas zmienia, ale o tym nie rozmawiamy. W politycznych debatach i analizach, których pełno w norweskich mediach, nigdy nie zauważyłem, aby ktoś pisał o petropopulizmie. Żaden z norweskich dziennikarzy nie jedzie do Angoli, mimo że kraj ten jest najważniejszym na świecie obszarem zainteresowania naszego największego przedsiębiorstwa. Nie widzę żadnej debaty na temat tego, ilu Norwegów powinno żyć z zasiłków (NAV nie jest nawet w stanie podać ich liczby). Widzę niewiele wnikliwych dyskusji o władzy petrobiznesu i zarządzaniu ropą. Poza małą kliką wtajemniczonych, większość z nas nie zna nawet słów koniecznych do dyskusji na ten temat – wiele terminów użytych w tej książce musiałem wymyślić sam. Praca nad moją książką przekonała mnie, że pytania dotyczące bogactwa naftowego i tego, jak to bogactwo na nas wpływa, są najważniejszymi pytaniami naszych czasów. Czasami myślę o słowach Hazema Beblawiego, które wypowiedział podczas naszego spotkania w Abu Dhabi: „Mieszkańcy muszą mieć właściwe zrozumienie natury bogactwa naftowego. Jeśli rozumieją, że znajdują się w szczególnej sytuacji i są świadomi spoczywającej na nich odpowiedzialności, będą mogli być tacy, jak inni ludzie”.

Może zrozumiemy to dopiero wiele lat po fakcie? Przyjdzie czas, kiedy spojrzymy wstecz na to wszystko. Chodzą pogłoski o czarnym poniedziałku. Pobrzmiewają w ostrzegawczym tonie biurokratów z Ministerstwa Finansów: „Brak spójności między dochodami i wydatkami prowadzi do tego, że obszerne budżety najbliższych lat mogą wywołać trudną sytuację za dziesięć, piętnaście lat”. Wyczuwamy zaniepokojenie. „Kontynuowanie istniejących programów będzie wtedy wymagało albo przeprowadzenia działań ograniczających wzrost wydatków, albo działań generujących wyższe dochody…”

To samo słyszymy od ekonomistów z Centralnego Biura Statystycznego: „Norwegia ma nierozwiązany długofalowy problem z finansowaniem programów socjalnych”. Konieczne są „głęboko idące zmiany polityczne”. Czarny poniedziałek ma nadejść w 2020 roku. Mówi się, że im silniej politycy dadzą się skusić wprowadzaniu nowych i droższych programów w nadchodzących latach, tym bardziej stroma będzie „droga pod górę dla państwowych finansów”. W tych latach produkcja ropy sięgnie dna. Fundusz naftowy nadal będzie funkcjonował jako zabezpieczenie, ale również on straci na wartości. Jednocześnie Norwegia będzie miała coraz więcej emerytów, co oznacza, że więcej osób będzie potrzebowało opieki i usług zdrowotnych. Wydatki państwa będą rosły, a dochody malały. W tych latach Norwegia stopniowo stanie się państwem postnaftowym, o gospodarce przypominającej gospodarkę innych krajów świata. Niedobory i błędy spowodowane przez lata bogactwa naftowego ujawnią się, tak jak brud i błoto wychodzą na wierzch, gdy topnieje śnieg. My, urodzeni w czasach przed 25. ogłoszeniem parlamentarnym (1973–1974) *Miejsce przemysłu naftowego w norweskim społeczeństwie*, my, którzy żyliśmy w historycznych czasach zmian na lepsze, doświadczymy czasów kryzysu. Czy doprowadzi to do politycznych niepokojów? Czy będziemy z sentymentem wspominać stare czasy?

Pewnego razu w przyszłości spojrzymy wstecz na te lata. Szalone lata 80. Dobre lata 90. Tłuste lata początku XXI wieku. I będziemy myśleli o bogactwie naftowym. Nie wiem nawet, czy będziemy używali słowa „petromania”, ale po przejechaniu całego świata jest to najlepsze słowo, jakie znalazłem.

przełożyła Anna Schmidt

Z Johanem Harstadem rozmawiają Marius Fossøy Mohaugen i Kristian Meisingset

Moje książki są jak konie trojańskie

ŚWIAT STAJE SIĘ LEPSZY, TAK BYĆ MUSI

Marius Fossøy Mohaugen, Kristian Meisingset: W twoich tekstach coraz wyraźniej widać tendencję zmierzającą ku przedstawianiu zjawisk w coraz mroczniejszym i bardziej pesymistycznym świetle. A przecież żyjemy w najlepszym ze światów. Sam pochodzisz ze stolicy branży olejowej, Stavanger – najściślejszego centrum norweskiego dobrobytu. Nie powinieneś pisać bardziej optymistycznie i pozytywnie?

Johan Harstad: Zgadzam się z waszym rozumowaniem, ale nie z konkluzją. Gdy zaczynałem pisać, punkt wyjścia był optymistyczny. W kwestii trzech pierwszych książek wyraziłem się całkiem otwarcie, że nie chcę pisać rzeczy, po których przeczytaniu ludzie czuliby się jak gówno. Chciałbym, żeby doznawali dobrych uczuć, żeby to, co czytają w książkach, dawało im energię, nawet gdyby było ponure. Zarazem zawsze uważałem się za zasadniczo optymistycznego człowieka i pisarza, ale już przy zbiorze *Ambulanse* (*Ambulans*) spostrzegłem, że to, co ja uważam za optymistyczne i pozytywne, często bywa postrzegane odwrotnie. W miarę rozwoju mojego pisarstwa starałem się zachować ton z *Ambulansu*, który jest już dużo bardziej optymistyczny niż mój debiut *Herfra blir du bare eldre* (*Odtąd będziesz już tylko starszy*). W ostatnim zbiorze chodzi o tych, którzy dali za wygraną, podczas gdy *Ambulans* opowiada o ludziach, którzy próbują sobie nawzajem pomagać, co też im się udaje – w mniejszym lub większym stopniu.

W jaki sposób łączysz swój optymizm z zainteresowaniem dla mroku?
Ważne jest, żeby umieć odróżnić pesymistyczne spojrzenie na świat od tego, co ja uznaję za mrok. Interesuje mnie nadanie mrocznej stronie ludzkiej natury i społeczeństwa wymiaru artystycznej refleksji. Na przykład *Hässelby* jest bardzo mroczne. Ma w sobie dużo z *Miasteczka Twin Peaks* Davida Lyncha. Lynch pozwala, aby jego praca przesiąkła mrokiem, ale nie wydaje mi się ani pesymistyczną osobą, ani pesymistycznym twórcą. Jestem ze Stavanger, dorastałem w kraju naftowym. W moim odczuciu pesymizm, uczucie przykrości, tego, że coś jest negatywne bądź depresjonujące, w dużej mierze wiąże się z faktem, że marnujemy nasze szanse na poprawę stanu rzeczy. Odkąd się urodziłem, Stavanger było miastem w barwach biskupich i pod rządami prawicy. Były okresy, w których bardzo dobrze powodziło się nam ekonomicznie, ale marnuje się tutaj środki. Stavanger zostało Europejską Stolicą Kultury w roku 2008, w związku z czym obiecywano góry złota i zielone lasy. Kiedy jednak rok miał się ku końcowi, spostrzegliśmy, że przygotowywano się raczej do cięć budżetowych w kulturze. Na poziomie narodowym mogę odczuwać frustrację i przykrość na myśl o tym, w jaki sposób jeden z najbogatszych krajów świata dysponuje swoimi środkami. Jednym z powodów, że jesteśmy wśród najbogatszych na świecie, jest to, że paramy się najbrudniejszą rzeczą, jaką może zajmować się człowiek – produkcją broni, a jakby tego było nie dość, jesteśmy jej największym producentem *per capita*.

Czy świat staje się lepszym miejscem?
Musi. Zawsze będę miał taką nadzieję. Jestem jednak realistą i myślę, że sprawy przybiorą gorszy obrót, nim nadejdzie poprawa. I tutaj dochodzimy do punktu, w którym osoba Johana Harstada różni się od fikcyjnego świata, w którym żyją jego postaci. Fakt, że w *Hässelby* świat ulega zagładzie, czy że w *Darlah* pojawiają się agresywne sobowtóry, nie oznacza, że sprzedam cały dobytek i przyłączę się do Świadków Jehowy. Osobiście muszę wierzyć, że świat staje się lepszy, inaczej wszystko byłoby bez sensu. Nie byłoby wtedy celu w podnoszeniu ludzi na duchu i mówieniu im: „Przeczytaj tę książkę,

a może zyskasz lepszy wgląd w to, jak się sprawy mają”. Wtedy pozostaje już tylko czekać na zasrany koniec.

Czyli idzie ku gorszemu?
Tylko spójrzcie na Irak i Afganistan. Spójrzcie na tę burzliwą kampanię antymuzułmańską, która w narastającym stopniu wypełnia nasze życia, wszystkie nasze cele i wszystkie nasze gazety. Ciekawe, że nie widzi się związku między tą sytuacją, a wzrostem nazizmu w latach 30. Wkrótce winą muzułmanów będą nawet podwyżki cen prądu. Równolegle z takim rozwojem sytuacji, ja i część innych ludzi musimy dalej robić to, co do nas należy, i wciąż wierzyć, że warto się włączać.

PO PROSTU ZLIKWIDUJCIE TO GÓWNO

W związku z promocją twojej sztuki *Etc.* (*Itd.*) zaprosiłeś do rozmowy w Domu Literatury wielu ekspertów, między innymi ordynariusza polowego Tora Arne Berntsena. Zadałeś mu pytanie, które w twojej książce pozostaje bez odpowiedzi: czy zabójstwo dla ratowania życia może być czasem słuszne z moralnego punktu widzenia?
Odpowiedzią jest bezwzględne nie. Jestem całkowicie bezkompromisowy. Sytuacja, w której ktoś ma prawo odebrać komuś innemu życie, nie zdarza się nigdy. Gdyby to zależało ode mnie, norweski korpus zbrojny już dawno zostałby rozwiązany. Po prostu zlikwidujcie to gówno. W przypadku gdy chodzi o odebranie jednego życia, aby ratować drugie, moim rozwiązaniem jest udawana przemoc, jak w filmach. Jest różnica między zabiciem kogoś a przewróceniem go na ziemię.

W czasie wojny często trzeba mierzyć się z różnymi postaciami zła. Walczy się z pewnymi ludźmi, by osiągnąć inne, wyższe wartości.
W *Itd.* krytykuję ideę wysyłania całej kupy żołnierzy do innego kraju, by odbierać życie ludziom pod przykrywką tego, że ojczyzna żołnie-

rzy stanie się bezpieczniejsza. Nie trzeba być zresztą specem od rakiet, by zrozumieć, że projekt uczynienia Iraku i Afganistanu bezpieczniejszymi miejscami zawiódł na całej linii. Ilość przemocy i cierpienia wzrosła proporcjonalnie do ilości pieniędzy i ekwipunku. Kiedy stamtąd wyjdziemy, wcale nie będzie lepiej.

Celem jest zastąpienie gorszego reżimu lepszym.
Nie można bombardowaniem zmusić ludzi do zgody. Istnieje naprawdę niewiele dobrych przykładów sytuacji, w których się to udało. Irak i Afganistan bardzo przypominają Wietnam, a wojna w Afganistanie już teraz trwa dłużej niż wojna wietnamska. To przerażające. W Wietnamie nie zapanowała ani zgoda, ani demokracja. Władzę przejął komunistyczny Wietnam Północny. Wprawdzie obalono Pol Pota w Kambodży – całkiem przyjemnie – ale moje przekonanie brzmi nadal: nie da się niczego osiągnąć, zabijając innych.

BOMBARDOWANIE JEST JAK IBUPROM

Wiele razy pisałeś o masakrze w Srebrenicy w 1995 roku, kiedy na obszarze określonym przez ONZ jako „strefa bezpieczna" zginęło osiem tysięcy ludzi. Przywykło się używać tego wydarzenia jako przykładu, że akt przemocy może opierać się na prawie.
Zarówno w Bośni, jak i w Rwandzie można byłoby osiągnąć dużo więcej, gdyby włączono się w konflikt przed jego eskalacją. Kiedy zaś już eskalował, trzeba było wzmocnić bazę ONZ, tak by była bezpieczna. Do Rwandy należało wysłać więcej żołnierzy ONZ, co mogłoby się przyczynić do relatywnego spokoju, zamiast ich stamtąd wycofywać. Oba epizody każą człowiekowi dziwić się, w jaki sposób działa ONZ.

W Srebrenicy proszono o pomoc lotniczą, by powstrzymać zbliżające się siły Serbów. Chodzi więc o zmuszenie kogoś bombardowaniem do odwrotu. Uważasz, że to był zły pomysł?

Tak, takie są konsekwencje. Coraz bardziej przypomina mi to wywiad u terapeuty: „Jeśli twoja rodzina zostanie zabita, czy zastrzelisz mordercę? Nie, dam mu kwiaty i go przytulę”. Bombardowanie jest jak branie ibupromu. Powstrzymujesz problem tylko doraźnie. W takich sytuacjach wszystko wydaje się jasne, zwłaszcza że media twardo demonizują wroga. W 1999 roku zdemonizowano Miloševica. Nie wspomniano o ważnej roli, jaką odegrał w pertraktacjach w Dayton, które w 1995 roku zapewniły pokój Bośni. Gdy jednak siły NATO zbombardowały Kosowo w 1999 roku, sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej. Na terenie byłej Jugosławii też nikomu nie jest do śmiechu. W Wietnamie padał niekończący się deszcz bomb. W związku z pracami nad *Hässelby* byłem na plaży Omaha w Normandii i oglądałem ogromne leje po bombach. Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat po II wojnie światowej wciąż widzimy, że zginęły tam tysiące ludzi. Nie chcę, żeby tak było. Cała idea pójścia na wojnę jest dziecinna. Już w przedszkolu odpowiedzialni dorośli tłumaczą dzieciom, że przemocą niczego nie da się zdziałać.

Niektórzy są zdania, że wojna jest sposobem na powstrzymanie czystek i zbrodni przeciwko ludzkości.

Pytanie brzmi, czy można usprawiedliwić odebranie życia jednej osobie, by ocalić setkę innych. Wiara w to, że można skłonić ludzi do trwałej jedności, zabijając ich, grożąc im lub bombardując ich domy, jest wyrazem głębokiej naiwności. […] Jeszcze inną sprawą jest to, kto ma władzę, by definiować zagrożenie. Nie da się obiektywnie zdefiniować zagrożenia. Często brakuje mi informacji o negocjacjach pokojowych, o czym faktycznie jest mowa i jaki jest rozkład sił. Przy mniejszych konfliktach widać, że opłaca się zebrać wszystkich uczestników. Dać im możliwość wylania z siebie całego jadu, najpierw jednym, potem drugim, zanim przejdzie się do spraw, co do których faktycznie się zgadzają Wierzę w skuteczność zagadywania ludzi na śmierć. Dużo trudniej zabić człowieka, którego się zna.

Północna Korea się zbroi. Kiedy bombardowanie fabryk broni może być uprawnione?

Jeśli w zakładzie nikogo nie ma, można zacząć ostrzał. Jeśli jednak przebywa tam choć jedna osoba, to nigdy nie wolno tego robić. Ważne, żeby pamiętać, że wszystko ma dwie strony. Musimy mieć odwagę widzieć obie. Co wiemy, co zakładamy, co zaś opiera się na plotkach i przesądach? Kiedy dochodzi do masakry na skalę Srebrenicy, musimy zadać sobie pytanie o przyczynę. Zanim zaatakuje się mieszkańców Korei Północnej lub odrzuci się ich jako wariatów, trzeba ich najpiew zrozumieć – co nie oznacza sympatyzowania z nimi. Mnie samemu ten kraj wydaje się demoniczny, ale nie mam pewności, że wszystko, co robią, jest złe. Wszelkie informacje, jakie posiadam, napływają z Zachodu. Czy to problem? Z pewnością istnieje w tym kraju coś, co jest całkiem ok. O demokracji myślimy, że jest perfekcyjnym, skończonym tworem. Ale w Korei Północnej, podobnie jak w NRD, na pewno znajdą się tacy, którzy wolą żyć pod dyktaturą zamiast w naszej demokracji. Sam spotkałem mądrych Norwegów, którzy dobrowolnie przenieśli się do NRD. Nic nie jest czarno-białe. Jeśli usilnie próbuje się zrozumieć, ale nie wychodzi, trzeba spróbować czegoś innego.

Dopóki choć jedna osoba znajduje się w fabryce… Czyli nigdy nie będziesz mógł ostrzelać budynku, bo zawsze ktoś w nim zostanie.
Zgadza się, ale to świetnie. Oszczędzimy na tym masę pieniędzy. Czy macie pojęcie, ile kosztuje broń? Jedna tylko wyrzutnia rakiet, w którą zaopatrzona jest połowa afgańskich domów, kosztuje 20 tysięcy koron.

MOŻNA PRZEŁAMAĆ SCHEMAT

Twoja sztuka zatytułowana *Itd.* kończy się właśnie słowami „i tak dalej”. Rzeczą naturalną wydaje się tłumaczyć to jako rodzaj determinizmu. Jeden z bohaterów *Itd.*, Helmut, mówi: „Za pięć lat wszystko zostanie zapomniane, a nic nie ulegnie zmianie”. Później, w tej samej sztuce, Nola stwierdza: „A życie? Ta

sama sprawa. Nic się nie poprawia u kresu". W *Darlah* piszesz: „Bycie dobrym ma ten brzydki nawyk, że prowadzi do rozczarowań". Mimo to sądzisz, że świat idzie naprzód?
Zgodnie ze starym powiedzeniem nie można twierdzić, że świat nie rozwija, bo za każdym razem, gdy przychodzi wojna, zabija cię w nowy sposób. Ale determinizm jest błędem. Myślę, że można przełamać schemat. Nie w tym sensie, że człowiek potrafi raz na zawsze skończyć ze wszystkimi wojnami, ale uważam, że można je ograniczyć, w ten sam sposób, w jaki ogranicza się liczbę ofiar ruchu drogowego. Musimy przestać żyć nagłówkami i odważyć się dostrzec drugą stronę, nawet jeśli inni posądzą nas o wątpliwe sympatie. Jeśli wyrażam się pozytywnie o Korei Północnej i staram się ją zrozumieć, inni odpowiadają mi: „Proszę bardzo, to się tam przeprowadź". Tak samo, kiedy ktoś próbuje inaczej spojrzeć na islam, na przykład sprawdzając, co mówi Koran, nagle dopisuje się go do listy sprawców 11 września.

O Peterze Handke[15] mówiono, że jest proserbski, ponieważ próbował podważyć demonizację Serbów.
Podczas pierwszej wojny w Zatoce Perskiej Sinead O'Connor starała się zmienić obraz Saddama Husajna jako tyrana. Lepsze towarzystwo skazało ją wtedy niemal na dożywotnie wygnanie.

W MTV O'Connor powiedziała: „Dlaczego robimy diabła z Saddama Husajna? To my – Ameryka i Anglia – jesteśmy diabłami. Przeszłość Ameryki i Anglii nosi piętno barbarzyńskiego terroryzmu, nie lepszego od terroru Saddama. To, co mówię, wpędzi mnie w kłopoty, ale nie dbam o to. Taka jest prawda". Zgadzasz się z jej słowami?
Absolutnie, wyjąwszy ostatnie zdanie. Jestem sceptycznie nastawiony do wszystkich, którzy bronią swoich argumentów stwierdzeniem, że to prawda. W przypadku Handkego to, co pisał on o Miloševicu, sprawiło, że wielu się od niego odwróciło. Niestety, uważam, że nikt nie chce słuchać wyjaśnień, że świat nie jest czarno-biały, ale jest rozmytym technicolorem.

SŁABE STRONY DEMOKRACJI

Ale czy świat stał się lepszy w ciągu ostatnich stu lat?
Tak się mówi. Twierdzi się na przykład, że jest mniej wojen niż pięćdziesiąt, sto lat temu. To, czy świat jest dobry, nie wynika wyłącznie z braku wojen. Pokój i wolność to nie tylko brak wojen.

Obserwujemy intensywny rozkwit demokracji, dobrobytu, rozrost klasy średniej, spadek poziomu ubóstwa – czyli cechy, które dobitnie wskazują na rozwój we właściwym kierunku.
Moimi ulubionymi hasłami są: „wydaje mi się" i „być może". Jedną z zalet, którą najbardziej w sobie cenię, jest to, że o niczym nie bywam przeświadczony. Świat nie zamienia się w piekło. Moja sztuka nosi tytuł *Itd.*, ponieważ wygląda na to, że wszystko po prostu będzie toczyć się dalej, o ile faktycznie nie wprowadzi się jakiejś zmiany. Na przykład, jeśli ktoś dzisiaj głosuje na SV, to musi wiedzieć, że tym samym oddaje swój głos na to, by Norwegia pozostała w Afganistanie. Tylko jedna partia nie popiera wojny. To samo z demokracją: zgadza się, kwitła przez ostatnie setki lat. Jednak nie jestem wcale taki pewien, czy demokracja jest superperfekcyjna. Gdybym teraz miał wybrać jakąś formę rządów, nie mam pojęcia, na co bym się zdecydował.

Jaki jest problem z demokracją?
Demokracja cały czas jest pozorna. Może byłoby łatwiej, gdyby człowiek szedł za głosem większości. Kiedy jednak wybór spoczywa na tobie i głosujesz na określoną partię: SV, Høyre[16] czy inną, to nie masz gwarancji, że nie odstąpi ona od połowy swoich deklaracji, kiedy już wejdzie do rządu. Wtedy zostajesz graczem z ostatnią kartą do zbycia i ponosisz odpowiedzialność za całą ich gadaninę. Inną częścią demokracji jest parlament, Stortinget. Może się wydawać, że robią tam dużo ważnych rzeczy. Ale sprawy załatwia się już na poziomie urzędów. Albo weźmy sam fakt, że Norwegia nie należy do Unii Europejskiej, a mimo to podlega wielu jej dyrektywom. W moich mrocznych chwilach myślę, że tylko socjalizm, komunizm albo dyktatura są uczciwymi formami rządów. Tam przynajmniej się nie udaje,

że ludzie mają na coś wpływ. Rzecz jasna, demokracja to coś więcej niż tylko karta do głosowania; chodzi też o to, że mam prawo kupować i czytać, co zechcę, że mogę mówić i pisać, co mi się podoba, oraz swobodnie wybrać sobie zawód.

Co należy zrobić?
Cieszę się, kiedy reprezentujący demokrację politycy przyznają, że nie jest ona perfekcyjna. To pierwszy krok ku wyleczeniu we wszelkich terapiach: przedstawić problem w szczery sposób. Mimo że demokracja ma słabe strony, posiada też ogromne atuty. Nie jest dziełem skończonym, ale wciąż w budowie, podlega pertraktacjom. I choć może wydawać się najlepszym rozwiązaniem, bardzo trudno jest narzucić ją ludziom, którzy nigdy jej nie poznali. Po upadku Związku Radzieckiego wcale nie było łatwo przejść do demokracji i ekonomii opartej na rynku. To samo obserwowano, gdy zjednoczyły się Niemcy. Widzimy to też obecnie w Iraku i Afganistanie.

STÓJ PO PRAWEJ, BĄDŹ UPRZEJMY

Jakiego chciałbyś społeczeństwa?
Nie jestem jakimś wielkim myślicielem politycznym. Powtarzam raczej za Noamem Chomskym: „Miejmy nadzieję, że gdzieś na łodzi jest kapitan”. Przywykłem żartować, że mam top listę trzech najlepszych sposobów rządzenia, ale to nieprawda. Nie wiem, który na dłuższą metę jest najlepszy. Zadaję sobie pytanie: co mnie najbardziej zaprząta? Powodem, dla którego zawsze bardzo lubiłem socjalizm, jest słowo „socjalny” tkwiące w jego nazwie. Zawiera się w nim myśl, że w społeczeństwie są też inni ludzie. Tym, co przeraża mnie najbardziej we współczesnej demokracji, jest fakt, że coraz mniej obchodzą nas inni. Ja sam lepiej się miewam, jeśli otaczającym mnie ludziom jest dobrze. Na przykład jestem idealnym gościem hotelowym. Opuszczam pokój w lepszym stanie, niż go zastałem. Nie popadam w przesadę i nie ścielę łóżka, ale kiedy długo mieszkam w hotelu, pozwalam obsłudze sprzątać tylko co drugi dzień. Gdy wy-

jeżdżam, zostawiam bombonierkę czy coś w tym rodzaju, wieszam wszystkie ręczniki, by nie musieli się po nie schylać, i zbieram śmieci do jednego worka, który zawiązuję przed wyjściem z pokoju. Nic mnie to nie kosztuje. Uważam, że to nawet zabawne i mam nadzieję, że ci, którzy sprzątają pokój, cieszą się, że nic w nim nie muszą już robić. To zaczątek społeczeństwa, w którym chciałbym żyć. Podobnie z książkami. Z pewnością mógłbym wykonywać inne zawody, ale zacząłem już pisać książki. Chcę zatem pisać coś, co da moim czytelnikom energię do robienia tego wszystkiego, czym się w życiu zajmują.

Jest w tym nadzieja na lepszy świat?

Wierzę w rozwój. Uważam, że ważne są drobiazgi. Kilka lat temu na lotnisku Gardermoen pojawiła się tabliczka: „Stój po prawej, idź po lewej". Poczułem przemożną radość. Chodzi o to, żeby być „socjalnym" i codziennie mieć innych na względzie. Niektórym może wydawać się pedanterią, że na ruchomych schodach trzeba stać po prawej stronie i czekać, aż ludzie wysiądą z tramwaju, ale to wszystko pomaga. Być może pozwala mi to myśleć, że uda się połączyć moje interesy z interesami innych. Jednocześnie buntowanie się jest cechą typowo norweską. Człowiek chce być wolny, by robić, co mu się żywnie podoba. „Moim niezbywalnym prawem jest, że na ruchomych schodach mogę stać, gdzie mi się, kurwa, zachce". Ale czy to na schodach zamierzasz udowadniać swoją wolność jako jednostki? Ja sam latanie samolotem przemieniłem w rodzaj sztuki: na długo zanim zbliżę się do strefy bezpieczeństwa, wyjmuję komputer z torby, kurtkę trzymam już w ręku, bilet mam przygotowany i staję w kolejce. Bardzo lubię porządne kolejki. Jeśli tkwi w miejscu, to się nudzę, ale gdy przesuwa się choć odrobinę, mógłbym w niej stać trzy godziny. Stoję, wkładam rzeczy do właściwego pudełka na taśmie przesuwnej i obracam je tak, by bez przeszkód przeszły przez maszynę. Jeśli mnie zatrzymają, jestem superuprzejmy. Zawsze podchodzę do bramki na czas. Nie za wcześnie, by nikogo nie stresować i żeby nikt nie uznał tego za idiotyzm, ale nie znowu tak, że opóźniam wylot. Kiedy mówią: „Teraz wpuszczamy na pokład te i te rzędy", to czekam. Zanim wejdę do samolotu, nie mam już na sobie kurtki i zdąży-

łem się zdecydować, co pójdzie na półkę. A gdy już znajdę swoje miejsce, wciskam się między fotele, żeby dać ludziom przejść, i stojąc tam, wyciągam się, by włożyć rzeczy na półkę. Następnie siadam z gazetą w ręku i jednym łokciem na oparciu, ale zawsze pilnuję, by zostało trochę miejsca na czyjś łokieć. Jeśli sąsiad bardzo się rozpycha, oddaję mu całe oparcie. Bo to wcale nie jest takie ważne.

przełożyła Dorota Polska

Z Kamilem Antosiewiczem rozmawia Jaś Kapela

Black metal – muzyczny hołd złożony naturze

Jaś Kapela: Lubisz norweski death metal?
Kamil Antosiewicz: Jeśli death metal, to raczej ze Szwecji. Jeśli norweski, to tylko black metal. Różnica pomiędzy tymi gatunkami jest zasadnicza, pomimo sąsiedztwa geograficznego tych dwóch krajów. Niewprawione ucho może mieć problem z jej wychwyceniem, ale wystarczy puścić po sobie jakiś kawałek Entombed z *Left Hand Path* i Darkthrone z *Transilvanian Hunger*, by skumać, o co chodzi. Zatem lubię norweski black metal, za death metalem, szwedzkim czy nie, raczej nie przepadam.

Gdybyś chciał opisać różnicę osobom o mniej wprawnym uchu? Nie jest ona chyba czysto muzyczna?
Korzenie blacku są starsze niż death metalu i to w pewnym sensie rzutuje na estetykę. Upraszczając sprawę, zespołem, który uruchomił muzycznie Norwegię, był brytyjski Venom. *Welcome to Hell* z 1981 roku jest uznawany za pierwszy blackowy album. Zawiera w sobie zalążek stylu i estetyki – nie tylko muzycznej – a ortodoksów dzieli do dziś. Zamiast analizować riffy, lepiej zacząć od okładki: tłoczony złoty łeb kozła wpisany w odwrócony pentagram, tytuł wypisany fontem Old English, wszystko na kruczoczarnym tle. Totalny minimal, trochę złamany fantazyjnym i psychodelicznym logo zespołu, zdradzającym proweniencję z nową falą brytyjskiego heavy metalu (NWBHM – *New Wave of British Heavy Metal*) i rockiem psychodelicznym. Wydany na winylu krążek totalnie wyróżniał się wśród innych metalowych produkcji tego czasu. Zero cekinów, zero futurystycznych robotów w przestworzach, zero glamowego campu. Tylko szatan. To płyta pełna zadziornej, punkowej energii, wyprodukowana dość niedbale. Liczyły się emocje, nie techniczna masturbacja. Zdar-

ty wokal Cronosa, na granicy krzyku. I do tego cały *entourage*: kolczugi, topory, corpsepainty, sesje fotograficzne w lesie, na cmentarzu itd. Metal, który i tak miał w sobie pierwiastek aspołeczny i – delikatnie mówiąc – libertariański, znalazł ideologiczną podbudowę (na serio bądź nie) w satanizmie. I choć ten ostatni aspekt nie jest bynajmniej zasługą Brytyjczyków (rockowe zespoły z lat 60. w rodzaju Antonius Rex otwarcie deklarowały fascynację okultyzmem, nie wspominając o tak oczywistym przykładzie jak Black Sabbath), to można zaryzykować tezę, że Venom stworzył perfekcyjny amalgamat dizajnu i muzycznej estetyki, który był jednoznacznie satanistyczny. Tytuł ich drugiej płyty – *Black Metal* – stał się nazwą gatunku.

Co było dalej?

Nie ma tu miejsca, by wymieniać wszystkie drobne zmiany, dzięki którym satanistyczny – wciąż bardziej „heavy" niż „black" – metal Venom przekształcił się w to, co zaproponowali Norwegowie. Wszystko miało charakter ewolucyjny, z mnóstwem mniej lub bardziej udanych eksperymentów po drodze. Można przyjąć, że następnym przełomem były albumy szwedzkiego Bathory i szwajcarskiego Hellhammer. Potem przyszła wielka fala norweskiego black metalu. Norwegowie podkręcili tempo, dodali więcej przesteru, brzmienie ich gitar kojarzyło się raczej z gęstą mgłą. Wokale stały się bardziej skrzeczące. Do roku 1990 gatunek skrystalizował się zarówno ideologicznie, jak i estetycznie.

Death metal – by odpowiedzieć w końcu na twoje pytanie – to cięższa i bardziej wyszukana formalnie muzyka, zorientowana na gore, komiksową przemoc. Black jest zasadniczo bardziej mroczny i posępny, dotyczy, rzekłbym, kwestii ostatecznych. Omija natomiast kwestie fizycznej przemocy i różnych patologii, które eksploruje death.

Z tego, co mówisz, wynika, że wyższość black metalu polega na podejmowaniu tematów metafizycznych. Death bardziej odpowiadałby na pewne kompleksy dużych (albo i nie) chłopców.

W dużym uproszczeniu można to tak ująć. Z pewnością oba gatunki dotykają, nazwijmy to, „kwestii społecznych”. Death bierze pod lupę problemy jednostkowe, nieprzyjemne subiektywne fenomeny, dokonuje wiwisekcji, stosuje taktykę szoku, przeładowania zmysłów. Jest takim przerysowanym, zbanalizowanym i zredukowanym do miksu sleaze/gore industrialem. Natomiast black metal powstał wskutek wyczerpania współczesnego modelu cywilizacji jako takiej, z naciskiem na cywilizację Zachodu i chrześcijaństwo. I choć jak w każdej dynamicznej subkulturze, tak i w black metalu istnieją tendencje do komercjalizacji, przerostu formy nad treścią, bezrefleksyjnego kopiowania i ucieczki od autentyzmu (nieustanne licytacje na temat, kto jest bardziej *true*, *raw*, a kto bardziej *gay*, to nie tylko domena forumowych trolli), to jednak black jest zasadniczo bardziej radykalny, utopijny, eskapistyczny, apokaliptyczny; postuluje zniszczenie obecnego porządku zbudowanego na konformizmie, kolektywizmie, ogólnie rzecz biorąc – na zniewoleniu jednostki. To nie jest tylko deklaracja *fuck the system*, która w tej czy innej formie towarzyszy różnym nurtom muzycznym. Black uderza w fundament, w mit założycielski cywilizacji.

Z black metalem wiąże się jakiś określony światopogląd? Co cię w nim pociąga?

Osobiście interesuje mnie bardziej muzyka, a nie dywagacje na temat, czy black metal jest bardziej na lewo czy na prawo. Istnieją zespoły jawnie odwołujące się do radykalnej prawicy, ale na scenie jest też miejsce dla zespołów lewicowych, choć te pierwsze dominują. Zdaniem wielu, wynika to z większego potencjału szoku, jaki niesie ze sobą symbolika nazistowska czy choćby wątki darwinizmu społecznego, które pasują do nihilistycznej wizji świata opartego na sile i walce, supremacji. Ze względu na ogromny rozrzut światopoglądowy i sprzeczności wewnątrz samej sceny, black nie stanowi dla mnie spójnej propozycji intelektualnej. Na bardzo bazowym poziomie odpowiada mi jego radykalizm, wyrażający rozczarowanie obecnym porządkiem, który opiera się na mechanizmach usypiania indywidualizmu i budowaniu ersatzów samorealizacji w postaci kariery, religii,

konsumpcjonizmu, choć niekoniecznie muszę zgadzać się z diagnozą dotyczącą źródeł czy strategiami radzenia sobie z tym problemem. Palenie norweskich kościołów w latach 90., najbardziej nagłośniona medialnie manifestacja sceny, doprowadziło wyłącznie do wzrostu jej popularności, czego pokłosiem były dalsze podziały. Nawet wśród wykonawców pierwszej fali norweskiego blacku trudno o jednomyślność w tej kwestii. Varg Vikernes i kilku innych spalili około pięćdziesięciu miejsc kultu, ale inni, na przykład muzycy z Mayhem, otwarcie te działania potępiali. Z dzisiejszej perspektywy wydaje się, że akcje te były czymś z pogranicza wyrachowanego PR i spontanicznej demolki. Ostatecznie nawet w haśle w Wikipedii przeczytasz, że jedyne, co łączy ludzi identyfikujących się z black metalem, to dążenie do indywidualizmu. Trudno mówić o jakiejś jednolitej perspektywie światopoglądowej. O wiele bardziej interesuje mnie warstwa estetyczna.

Jak byś ją opisał?

Mimo pozornej nieprzystępności formy, black metal jest w rzeczywistości o wiele bardziej pop niż death, chociaż należy pamiętać, że w ciągu dwudziestu kilku lat w ramach tego jednego gatunku wyodrębniły się rozmaite nurty, eksponujące melodię, symfoniczną pompę, elementy folkowe, pogańskie, rytualne, ambientowe, a nawet emo. Pomiędzy superprymitywnym brzmieniem norweskiego Ildjarn a przebojowymi kawałkami Cradle of Filth jest przepaść – choć ostatecznie oba zespoły grają ten sam gatunek.

Black w przeciwieństwie do death metalu czerpie dziś – świadomie bądź nie – ze skrajnie różnych źródeł. Z tego powodu nie mam specjalnie przekonania do muzycznych propozycji czołowych reprezentantów gatunku i zespołów przesadnie ortodoksyjnych. Wolę poszukiwania i nieoczywiste eksperymenty, które można odnaleźć także na scenie norweskiej. Jak zwykle najciekawsze rzeczy dzieją się na marginesach. Mówię o odejściu w stronę shoegaze (Velvet Cacoon, Enmerkar), ambientu (Paysage d’Hiver, Trist), postrocka (Hypothermia, Ash Borer, Liturgy), drone (Wrath of the Weak), psychodelii (Njiqahdda), progresywnej awangardy (Urfaust, Lugubrum, Furze), postpunka (Circle of Ouroborus) czy noise’u (Wold, Lonesummer).

Dla przeciętnego konsumenta muzyki te subtelności będą już niedostrzegalne, w końcu wymienione wyżej kapele reprezentują najczęściej podziemie i stanowią awangardę gatunku. To zdecydowanie trzecia albo i czwarta fala black metalu, która porzuciła stare dobre norweskie brzmienie. Gdyby więc pokusić się o polecenie czegoś bardziej reprezentatywnego, myślę, że na krótkiej liście znalazłyby się wszystkie płyty Burzum, trzecia i czwarta płyta Darkthrone i pierwsze płyty Ulver, nagrane zanim skręcili w indie i elektronikę. Wysoki poziom norweskiego blacku można tłumaczyć tym, że tamtejsi muzycy szukają piękna w zniszczeniu. Powstałe napięcie ma jak najbardziej wagnerowskie korzenie – to romantyczna afirmacja dramatycznych skrajności, fascynacja mocą tworzenia i bezlitosnego unicestwiania. Black zatrzymuje w czasie monumentalną atmosferę nieustającego wysokiego C, big bangu, w którym z chaosu rodzi się porządek. Dobry blackowy numer ma w sobie cząstkę tego gargantuicznego ładunku energii, który może zmienić nawet fundamentalne prawa natury.

W black metalu, zwłaszcza skandynawskim, znajdziesz też podziw dla piękna i majestatu żywiołów. „*Transilvanian hunger, the mountains are cold…*” – to słowa z tytułowego numeru z płyty *Transilvanian Hunger* norweskiego Darkthrone. Tak naprawdę nie ma znaczenia, czy chodzi o pasmo Karpat, czy o 90 proc. norweskiego krajobrazu (zaledwie 10 proc. norweskich ziem nadaje się pod uprawę, resztę stanowią góry). Norweski black metal czerpie inspirację z przyrody i zaryzykowałbym tezę, że jest to gatunek, który stanowi najpiękniejszy muzyczny hołd złożony naturze.

Istnieje ekologiczny norweski black metal? Na przykład odwołujący się do hipotezy Gai Lovelocka albo jeszcze bardziej radykalnych teorii twierdzących, że ludzkość jest wirusem toczącym ziemię i planeta miałaby się lepiej, gdyby nie mieszkali na niej ludzie?

Oczywiście, że jest w blacku miejsce na taką filozofię, szczególnie w skrzydle red/anarchist/crust bm, ale więcej znajdziemy ich w Stanach niż w Skandynawii. Najbardziej znany proekologiczny black metal wywodzi się z USA – mowa o scenie Cascadian z Portland

i okolic. O niczym to jednak nie świadczy w obliczu faktu, że scena black jest niesłychanie pojemna i wchłania wszelkie możliwe ekstremizmy – od prawicy po lewicę, od ekologów i feministek, na ekofaszystach i nacjonal-bolszewikach skończywszy.

Zapewne najbardziej znanym norweskim zespołem black metalowy jest Burzum. Myślisz, że byłoby tak, gdyby jego lider Varg Vikernes nie zabił gitarzysty Mayhem? Wiesz, dlaczego do tego doszło?

Zanim doszło do zabójstwa, Vikernes pod szyldem Burzum wydał kilka kaset demo i trzy płyty długogrające. Były one świetnie przyjęte, nie tylko w podziemiu. Można dyskutować, na ile ten akt był wykalkulowanym ruchem PR-owym. Z pewnością stał się z czasem świetnym mitem założycielskim, który przydał gatunkowi autentyczności. Zdecydowanie przysporzył sławy nie tylko Vikernesowi, ale i całej scenie, choć nie wydaje mi się, by osoby zupełnie nieświadome otworzyły się na black metalowe ekstremum jedynie ze względu na wydarzenia w Oslo. Na YouTube znajduje się film z odczytania wyroku sądowego w 1994 roku i dwudziestojednoletni Vikernes nie wygląda na nim na dojrzałego mężczyznę. Dość beztrosko śmieje się do kamery, choć właśnie otrzymał najwyższy wymiar kary (w Norwegii był to wówczas wyrok dwudziestu jeden lat pozbawienia wolności). Wygląda na osobę, na której to zupełnie nie zrobiło wrażenia.

Jeśli zaś chodzi o motywy – trudno o jednoznaczny werdykt. Gdyby przyjąć za właściwą wersję spisaną przez Vikernesa na stronie burzum.org, był to ruch wyprzedzający. Euronymus zginął, bo podobno w związku z życiowymi niepowodzeniami planował zamach na życie Vikernesa. Varg miał zostać zwabiony z Bergen do mieszkania Euronymusa w Oslo pod pretekstem podpisania kontraktu płytowego, a następnie zabity. Stało się odwrotnie.

Brytyjski bloger i dziennikarz Dominic Fox twierdzi, że black metal i grupę Baader-Meinhof łączy wspólne rozpoznanie, że „społeczeństwo znajduje się w stanie stagnacji i zamrożenia, a ich działania miałyby reaktywować coś ukrytego i autentycz-

nego”, oraz idea, że „teorię należy przenieść na praktykę”. Zgodziłbyś się z tym?

Można przyjąć, że w stanie umysłowej stagnacji znajduje się przede wszystkim społeczeństwo Zachodu. To byłaby cena, jaką płaci ono za dobrobyt i wyjście ze stanu nieustannej walki o przetrwanie na poziomie materialnym. Z drugiej strony w tym społeczeństwie mamy do czynienia z niebywałym rozkwitem kultury i alternatywnych form społecznych. Wystarczy pojechać do kraju spoza naszego kręgu kulturowego, by zrozumieć znaczenie słowa „subkultura” czy „kultura alternatywna”. Współczesność pozwala realizować się większej liczbie osób niż jakakolwiek inna epoka.

Black metal zwraca się w kierunku „autentyzmu”, zarówno na poziomie indywidualnym, jak i społecznym. Niezależnie od tego, co plotą media, satanizm, podobnie jak inne systemy filozoficzne stawiające jednostkę w centrum, można porównać od umysłowego resetu na poziomie kulturowym, który ma umożliwić realizację swoich, a nie kolektywnych pragnień i życie bez poczucia winy. Ostatecznie współczesna desensytyzacja dotyka nas na wielu poziomach i odnajdywanie „autentyczności” sprowadziłbym do stawiania pytań, nawet tych elementarnych, na które wydawałoby się, że wszyscy znamy odpowiedź, albo do wskrzeszania archetypicznych fenomenów estetycznych – piękna, melancholii, refleksji nad przemijaniem.

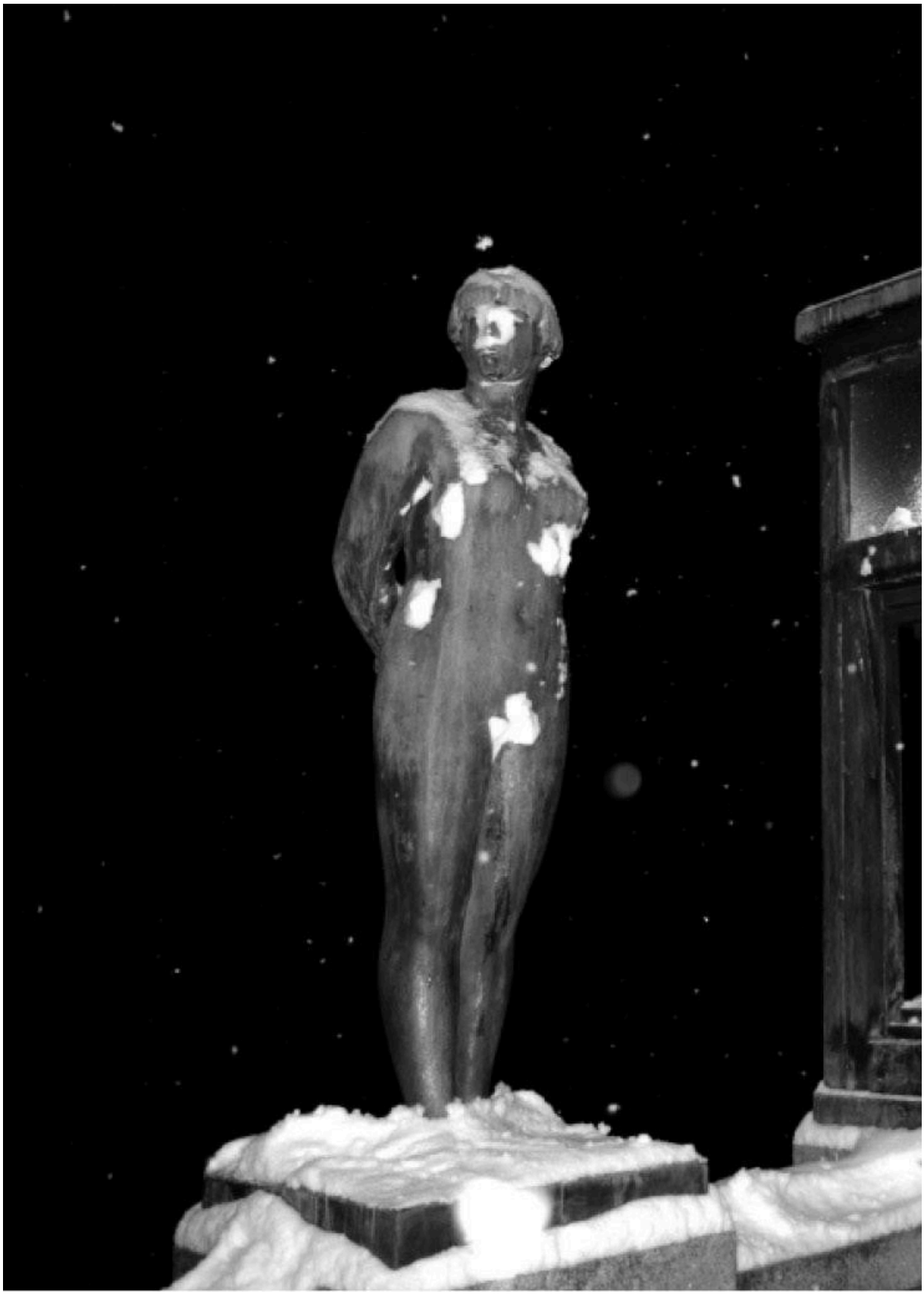

LITERATURA

Alexander Aarvik

Kuloodporny

1

Centrum handlowe jest coraz bliżej. Siedzę w autobusie i jadę do pracy, gdzieś za Oslo. Wcisnąłem się na dwuosobowe siedzenie na tyłach autobusu, po prawej, i nie mam dzisiaj ochoty na kontakt z ludźmi, ale ktoś już zdążył nacisnąć guzik stop. Oznacza to, że nie mogę dać pasażerowi obok wyraźnego znaku, że zaraz wysiadam. Bo to ma być niby takie cholernie perfekcyjne. Wysiada się na następnym przystanku, więc naciska się guzik. Siedzący obok człowiek zwraca na to uwagę, w związku z czym jest gotowy na następny krok. Jedyne, co musisz zrobić, to poruszyć się, kiedy autobus się zatrzyma, a tamten wstanie, żeby cię przepuścić. Wystarczy mały uśmieszek i nie trzeba już mówić: przepraszam, wysiadam. W zasadzie nie trzeba się nawet uśmiechać, wystarczy poprzestać na ruchu; koniec końców wcisnęło się czerwony guzik tuż przed nosem współpasażera.

Współpasażer jest, nawiasem mówiąc, współpasażerką. Niedobrze mi dzisiaj od ludzi, a ten autobus jest ich pełen. Zastanawiam się, czy nie zostać na miejscu, dopóki nie zjedziemy do zajezdni, gdzie i tak wszyscy będą musieli wysiąść. Wtedy nie musiałbym nic mówić. W ostatniej chwili biorę się jednak w garść i odwracam się do sąsiadki.

– Będę wysiadał.

Patrzy na mnie i natychmiast reaguje, ale kiedy mnie przepuszcza, uśmiecha się niepewnie. Jest ładna, choć wygląda na starszą ode mnie. A może po prostu pali dwadzieścia papierosów dziennie i tak naprawdę jest młodsza? Końcówki jej brązowych włosów są zniszczone. Za pięć lat zacznie się krócej obcinać, bo jej włosy będą

w kiepskim stanie. Dziesięć lat później będzie zmuszona obcinać się jeszcze krócej, aż pewnego sobotniego wieczoru będzie siedzieć sama w domu, bez męża i przyjaciółek, i skręcać papierosy, bo tak będzie taniej. Dostanie częściową rentę z powodu rwy kulszowej.

Kieruję się w stronę wyjścia – a ona za piętnaście lat będzie siedzieć sama na skórzanej różowej sofie z lat 80., w stosunkowo nowym mieszkaniu na Lørenskog, i będzie najmłodsza w bloku. Będzie samotną czterdziestoośmiolatką skręcającą tytoń w dresie adidasa i rozciągniętym t-shircie po mężu. Będzie mieszkała ze swoim czternastoletnim synem, który ma ADHD, ponieważ w ciąży paliła jak smok. Wieczorem przedawkuje środki nasenne z wódką.

Umiera, a papieros spada na jej tłusty brzuch i wypala dziurę w t-shircie, tym, który należał do jej byłego męża.

Wypala dziurę w skórze i gaśnie, i nikt się nie obudzi.

Będzie więc miała czternastoletniego syna z ADHD i umrze przed telewizorem, w którym właśnie zaczął się nowy sezon *Robinsonów*. Umrze samotnie w zadymionym salonie, siedząc na sofie pod pożółkłym od nikotyny sufitem z prostokątnym płatem lśniącej bieli wprost nad nią, tam, gdzie pewnego dnia zaczęła szorować salmiakiem. Po dziesięciu minutach dała za wygraną i zwinęła sobie papierosa.

Dzieciak poszedł na basen, ale za godzinę wróci do domu.

Oczami duszy widzę historię życia tej kobiety, ale akurat teraz, tego ranka, gdy przeciskam się koło niej, żeby wydostać się z autobusu i pójść do pracy, wygląda ona po prostu niepewnie.

Pracuję w branży ochroniarskiej.

Bierze się gigantyczny stary budynek, przebudowuje się go i powiększa, żeby miał dziesiątki tysięcy metrów kwadratowych, upycha się tam sto pięćdziesiąt sklepów, oznacza się wszystko kodami kreskowymi i wpuszcza się ludzi.

Oraz garstkę ochroniarzy.

Bezpieczeństwo – tak, tak… Ale jesteśmy tu głównie po to, żeby pilnować towarów. Jesteśmy tu, by zapobiec kradzieży. Pracujemy, żeby bogaci pozostali bogatymi. Człowiek szybko łapie, że nie zawsze da się zapewnić ludziom bezpieczeństwo. Wiemy, jak ewakuować ludzi, gdy rozlegnie się alarm przeciwpożarowy – ale o to każdy jest w stanie zatroszczyć się sam. Nie wszyscy wiedzą, że poło-

wa dróg ewakuacyjnych jest zawalona jakimiś gratami, oczywiście nie wtedy, kiedy sprawdza je straż pożarna, i że od strony zaplecza większa część centrum trzyma się w kupie dzięki taśmie samoprzylepnej. Nie ściemniam. Taśmy samoprzylepnej można używać do wszystkiego, a jeśli nie zadziała, to daje się jej jeszcze więcej.

Gdyby naprawdę przejmowali się bezpieczeństwem, dawno zrównaliby z ziemią tę budę. Teraz czekają, aż będzie zamknięte, i każą ochroniarzom zrzucać spod sufitu poluzowane bryły betonu wielkości piłki ręcznej. Spadają na ziemię, waląc z hukiem w ustawione poniżej stoliki. Stoliki w twojej ulubionej kawiarni.

Przeciętny ochroniarz może swoją drogą nauczyć się całkiem sporo o windach. Metodą prób i błędów, rzecz jasna. Wtedy zarząd nie musi już ciągle zamawiać usług dużo lepiej opłacanych konserwatorów wind.

Na dobrą sprawę nic nie robimy, wyjąwszy te okazje, kiedy ktoś chce, żebyśmy się czymś zajęli. Na przykład podchodzi do mnie matka z córką. Jestem od wczoraj jakby zmulony, a ona mówi coś o jakimś penisie.

– Penis?

– Tak! Siusiak! Ogromny siusiak!

Nie jestem na to przygotowany, ale nie żeby mnie to jakoś specjalnie zaskoczyło.

– Jak duży był?

– Nie o to chodzi – próbuje wyjaśniać.

Spostrzegam, że córka stoi obok niej z dziwną miną. Ma może osiem lat. To ona odkryła penis.

– Proszę się pospieszyć! – woła matka i wskazuje w stronę korytarza.

Udaję, że się spieszę, i podchodzę do fontanny. Woda spływa po stylowych kaflach do następnej fontanny, a całość jest zatopiona w szkle. W zamierzeniu ma to być przyjemny widok, ale nikt nie daje się zwieść; obok stoi zresztą jakiś pijak z tym swoim – w istocie – sporym członkiem i odlewa się do wody. Nic dziwnego, że cały czas zdychają nam rybki. Patrzę w dół strumienia, kończącego się przy następnej fontannie. Stoi tam mały chłopiec i próbuje złapać ocalałe rybki. Nie mają spokoju.

Mocz tego typa staje się teraz częścią obiegu wodnego fontanny. Czekam, aż wsadzi interes z powrotem do spodni, po czym nawiązuję z nim kontakt. Znam go.

Bez względu na to, co powiem, nie uda mi się nadawać na tej samej częstotliwości, co on, kiedy więc mnie dostrzega, pokazuję tylko głową najbliższe wyjście. Zanim zniknie, salutuje z godnością pułkownika.

Gdy tylko na moim pagerze wyświetli się nazwa jakiegoś sklepu, muszę sprawdzić, co się tam dzieje. Tym razem jest to sex shop. Przechodzę do czegoś, co można by od biedy nazwać biegiem, ale wybieram okrężną trasę, by nie być pierwszym na miejscu. Po drodze stwierdzam, że centra handlowe wywołują we mnie niesmak. Na dobrą sprawę to cud, że udaje mi się tu przetrwać cały dzień pracy. Wielkie, opasłe centra handlowe ze swoimi stu pięćdziesięcioma sklepami, gdzie sezon przedświąteczny zaczyna się już pod koniec sierpnia, a jedynym powodem ich istnienia jest konsumpcja. Niektóre gminy wokół Oslo żądają statusu miasta. Ale na co przyda się status miasta obszarowi złożonemu z czterech dużych centrów handlowych, w których chowają się wszyscy mieszkańcy? Wyobraź sobie tylko, jak by to wyglądało, gdyby te sklepy znajdowały się w centrum miasta, tam, gdzie ulice pełne są ludzi, a kafejki nie przyciągają wyłącznie emerytów.

Centrum handlowe jest pełne rodzin z jednym dzieckiem i emerytów, ale staje się też punktem zbornym dla ludzi „specjalnych”: paranoików, narcyzów, jednostek z osobowością unikającą albo antysocjalną – do wyboru, do koloru. Uczyłem się do egzaminu z diagnostyki chorób psychicznych i teraz wszędzie widzę przypadki, nie tylko wśród klientów. Z ostrożnej kalkulacji wynika, że w centrum zatrudnionych jest około tysiąca osób. Jeśli wziąć pod uwagę dane z badań, 10 proc. populacji dotknięte jest takim bądź innym zaburzeniem osobowości. Przekłada się to na stu chorych w tym budynku, którzy stoją za ladami w ciągu całej zmiany.

Na rogu skręcam do sex shopu. Kiedy wchodzę do środka, zapach perfum i gumy wciska mi się do nosa. Nie ma tu żadnego z moich kolegów. W jednym z kątów sklepu stoi mężyczna. Wbija wzrok w ziemię. Za ladą stoi Katrine, dziewczyna, której uroda nie ułatwia

piętnastolatkom pytania, gdzie leżą sztuczne waginy. Z jej spojrzenia wnioskuję, że idzie o tego klienta. Pytam, w czym rzecz.

– Dzwoniło, kiedy wychodził, i spytałam, czy ma coś w kieszeni. Wyjął z niej to – tłumaczy Katrine, podając mi małą tubkę żelu analnego.

Mężczyzna zerka na mnie przez chwilę, by odczytać moją reakcję. Próbuję zachowywać się jak gdyby nigdy nic. Nie czuję nic poza sympatią do tego gościa, który chciał sobie tylko trochę uprzyjemnić wieczór z żoną, ale nie miał odwagi kupić lubrykantu. Zresztą, bo ja wiem, może chciał się zabawić samotnie? Poza tym jest tylko o rzut aktówką od posady w Aker Klærne, przynajmniej takie wrażenie można odnieść, patrząc na jego garnitur. Dobiegający z dołu, z korytarza, dźwięk kroków moich kolegów mówi mi, że straciłem szansę, by pozwolić mu odejść.

Zabieramy go do dyżurki, gdzie koledzy zaczynają wypełniać formularz zgłoszenia. Mój kolega Terje, z nazbyt rozrośniętymi mięśniami i nazbyt niesympatycznym uśmiechem, pochyla się nad arkuszem. Długopis wygląda w jego ręce jak wykałaczka. Przestaje pisać, gdy ma zanotować cenę ukradzionego towaru.

– Marius, możesz skoczyć do sklepu i spytać, ile to kosztuje? – zwraca się do mnie.

Ma na myśli żel analny.

– 64 korony i 50 øre.

Słaby głos należy do mężczyzny siedzącego za stołem. Złodzieja żelu analnego.

Kroi mi się serce, gdy Terje prosi, żebym mimo wszystko sprawdził cenę.

– Zgadza się. Widziałem w sklepie – kłamię.

Ilość cierpienia, przez które ma za to przejść mężczyzna, zbliża się moim zdaniem do wartości szczytowych.

Dzwoni radiotelefon: ten dzień będzie najwidoczniej tak dziwny, jak się tego obawiałem.

Pracownik centrum informuje mnie przez telefon, że pewien mężczyzna pomacał jedną z klientek między nogami, kiedy stał za nią na ruchomych schodach.

Odnajduję kobietę i chwilę z nią rozmawiam. Zamierzała tylko kupić nowe firanki do salonu, a teraz stoi z małym synkiem i próbuje sobie przypomnieć, jak wyglądał mężczyzna, który ją pomacał. Łączę się z kolegami i przekazuję im informację. Puszczają złodzieja żelu analnego, żeby zapolować na obmacywacza. Widać go znają.

Idę do Narvesen i zjadam kiełbaskę, czytając przy tym nagłówki jednej z gazet. Po dokładnie jednej kiełbasce obmacywacz zostaje złapany.

Moi koledzy siedzą na schodach w jednym z przepełnionych korytarzy na tyłach centrum i pilnują obmacywacza. Wygląda tak, że pół rzutu oka wystarczy, by poznać, że nie dzieje się u niego najlepiej. Gdybym miał zgadywać, kiedy w jego życiu coś poszło nie tak, obstawiłbym lata 80. Jest ubrany w złachmaniony sztruks: spodnie i kurtkę koloru beżowego. Pod kurtką ma liliową koszulkę polo, a na spodniach pasujący do kompletu wąski pas. Ma nieuczesane, kręcone włosy do ramion i wąsy. Obok niego leży siatka i para skórzanych rękawiczek.

Najgorsze w tej sprawie jest to, że mężczyzna najwyraźniej już od dawna cierpi. Jego paznokcie są brudne i zaniedbane, dwucentymetrowej długości. Opieram się o balustradę. Kiełbaska przesuwa mi się w żołądku, gdy wyobrażam sobie, jak tą ręką macał kobietę od tyłu.

Zjawia się policja i dobrze się z nim obchodzą. Łapią, w czym rzecz. Mężczyzna nie umie umotywować swojego postępku. Policja każe mu pokazać zawartość siatki, ten nakłada ostrożnie skórzane rękawiczki i ją otwiera. Jeden z policjantów pyta go, dlaczego włożył rękawiczki, a facet tylko śmieje się chytrze. W siatce jest kilka płyt dvd z ABBĄ i parę zdjęć z galerii Japan Photo. Policjant prosi o ich pokazanie. To podwójne kopie. Wszystkie przedstawiają Agnethę Fältskog i wyglądają, jakby zrobiono je wprost z ekranu telewizora. Agnetha Fältskog w telewizji. Dwa pełne ujęcia, podwójny zestaw.

Znów dzwoni telefon. To Hennes & Mauritz. Mówią falsetem. Coś jest nie tak z damskimi przymierzalniami. Zostawiono tam coś ohydnego. Pytam, co takiego, i uzyskuję bardziej precyzyjne wyjaśnienie: „Sracz znowu uderzył”.

2

Leżę w łóżku.

Nie przywiązuję wagi do snów. To znaczy rzadko je pamiętam, zwykle są nieciekawe. Być może dlatego tak bardzo lubię, kiedy nagle przyśni mi się coś interesującego. Dlaczego akurat tym razem? Leżę w łóżku, rozmyślając. Jest niedziela.

Czytałem kiedyś, a może ktoś mi powiedział – ktoś w każdym razie uważa, że człowiek tyle wynosi ze snów, ile sam w nie wkłada. Powinienem znaleźć kartki samoprzylepne i długopis, żeby zapisywać, co mi się śniło. Powinienem zapisywać parę słów po każdym przebudzeniu, notować, co mi się śniło, a wzbogaci to moje wspomnienia. Za pięć dni trzy słowa przejdą w trzy zdania. Później trzy zdania zmienią się w trzy kartki, i więcej snów będzie zapadać mi w pamięć. Ale do diabła z tym.

Jedyne, o czym powinienem teraz myśleć, to czy zrobić sobie kawę, czy zapić ból głowy zimnym piwem stojącym w lodówce. Staje na kawie. Nie takiej zwykłej, filtrowanej. Espresso. Może nawet z ciepłym mlekiem. Wcale nie mówię, że to lepsze od uczciwej filiżanki kawy, po prostu lubię robić skomplikowane rzeczy. Nalej wody tutaj, wsyp kawę tu. Skręć.

Mocno.

Inaczej straci się ciśnienie w ekspresie. To właśnie robię i uderza mnie, że nigdy jeszcze nie piłem zwykłej kawy. Ale taki już jestem. Wyobraź sobie typa, który uczy się grać Hendriksa na gitarze, zanim pozna proste chwyty, takie jak a-moll czy c-dur. Pije wódkę przed swoim pierwszym piwem. Nigdy nie raczkowałem, zanim zacząłem chodzić.

Pociąga mnie to, co trudne, skomplikowane, przeskakuję jakiś stopień rozwoju, a mimo to niewiele rzeczy doprowadzam do końca.

Wyobraź sobie tego typa jako młodego dorosłego. Wyprzystojniał. Studiuje biologię na uniwersytecie w Oslo. Przerywa. Studiuje medycynę w tym samym miejscu. Przerywa. Pół lekarz, pół biolog. Takie nic.

Moim domem jest kolektyw w dzielnicy Torshov, który dzielę ze starym kumplem i studentem medycyny Nikolaiem oraz z dobrą zna-

jomą Fridą. Frida też studiuje, socjologię.

– Kelner! *Un caffè per favore* – mówi Nikolai, wchodząc do salonu.

Jest biedny jak mysz kościelna, ubrany w szlafrok. Żyje dla wszystkich tych dni, w których może odespać pijaństwo, wstać, kiedy mu się zechce i cały dzień przełazić w szlafroku. Podzielam jego priorytety – to jedna z dobrych stron bycia studentem. Podwajam ilość mleka w garnuszku.

Muszę sobie przypomnieć, że już nie jestem studentem.

– Frida jest w domu? – pytam, zastanawiając się, czy nie dolać jeszcze mleka.

– *Niet*.

Odwracam się do Nikolaia. Wygląda na tak skacowanego, jak ja. Wzrusza ramionami i posyła mi niewinne spojrzenie.

– Poddaj się, ty cholerny zazdrośniku – mówi po chwili.

Ma rację, jestem zaborczy i nic na to nie poradzę. Byliśmy wczoraj w jednym barze, całą trójką, a w podrywanie innych dziewczyn wkładam tyle samo wysiłku, co w pilnowanie Fridy. To chore, ale inaczej nie umiem. Żeby przystopować, uciekam się do wybiegów: jeśli Frida wybiera się w jedno miejsce, ja idę raczej do drugiego. Choroba – i to tylko z powodu jednego bzykanka. Mleko kipi. Kurwa. Podaję kawę Nikolaiowi i sobie.

– Proszę bardzo, espresso z kaszką mleczną.

– Wyluzuj – mówi Nikolai, by rozładować napięcie. – Coś nie tak?

– Sorry, obudziłem się w naprawdę kiepskim nastroju.

Poza tym jestem rozgoryczony, ponieważ na studiach natrafiłem na mur, a Nikolai nie.

Piję moją kaszkę cappuccino i wyglądam przez okno – środek maja, dziewiętnaście stopni w cieniu. Praży słońce.

– Za dobrze tu mamy. Wszyscy są zadowoleni, ale niewielu takich pozostaje. Wszyscy chcą mieć jeszcze bardziej zieloną trawę, a wolny rynek spełnia tę ich zachciankę jak złośliwy dżin w butelce. Ludzie biorą udział w wyścigu szczurów i są na najlepszej drodze do upadku. Nawet nie wiedzą, co robią – zaczynam.

Nikolai przechyla się na krześle, przygotowując się na mój niedzielny monolog.

– Co masz na myśli?

– W Rosji jest pięć milionów sierot, pół Afryki głoduje, a my w Norwegii zadowalamy się załatwianiem sobie najnowszych conversów, odsysaniem tłuszczu z tyłków i wstrzykiwaniem go sobie do warg. Onanizujemy się przed komputerem i oglądamy głupie programy telewizyjne, jak *Wipeout*, *Randka w ciemno* i *Charterfeber*[17].

– Pieprzyć *Charterfeber* i wszystkich Czarternorwegów na Południu – zgadza się Nikolai.

– Pieprzyć TVNorge.

– Ale pół Afryki nie głoduje – wtrąca Nikolai.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– I nie wszyscy onanizują się przy komputerze.

– Na początku też tak myślałem. Zakładałem, że istnieje elita, złożona ze studentów i innych intelektualistów, która powstrzymuje się od internetowej masturbacji. Ale potem pojawił się Facebook i teraz już wszyscy się onanizują.

– To znaczy?

– Szukają przyjemności w opowiadaniu wszystkim tego, co myślą, o każdej porze dnia i nocy. To już coś innego niż onanizowanie się przy piętnastosekundowych gratisowych klipach porno na portalach typu pandamovies. Facebook jest czymś więcej niż tylko masturbacją socjalną. Tam wszyscy są uzależnieni. Wystarczy otworzyć międzynarodową klasyfikację chorób Światowej Organizacji Zdrowia ICD, a zobaczy się, że wielu użytkowników Facebooka spełnia kryteria diagnostyczne uzależnienia, a nawet szkodliwego nadużycia.

Nikolai się śmieje.

– Naprawdę tak sądzisz?

Zdejmuję z półki ICD-10. Wyliczam:

– Tylko posłuchaj. Syndrom uzależnienia, trzy lub cztery z następujących objawów.

Nikolai z zainteresowaniem pochyla się do przodu.

– Pierwszy objaw: przymus używania. Drugi objaw: obniżona zdolność kontroli, zaprzestania lub ograniczenia użycia. Dalej: abstynencja i rozwój tolerancji. Oraz…

– Ale to dotyczy alkoholu i takich tam – wtrąca Nikolai.

– Mylisz się, chodzi o wszelkie uzależnienia. Tylko posłuchaj: dominujący wpływ na ustalanie priorytetów i zużycie czasu; a na ko-

niec: dalsze stosowanie, nawet przy stwierdzeniu szkodliwych efektów.

– Imponujące. Więc Facebook jest nową chorobą społeczną.

Uśmiecham się i odkładam klasyfikację.

– Ale pytałem raczej, czy tak samo jest z waleniem konia? – mówi Nikolai.

– A. No tak, z tym też.

– Okej, zrzędo, mam propozycję. Z Facebookiem niewiele zrobimy, ale możemy wyrzucić telewizor, skoro tak wyraźnie przyczynia się do upadku norweskiej kultury. A potem pojedziemy do parku na grilla. Zaprosimy ludzi.

Znowu się uśmiecham, głównie dlatego, że z perspektywy żałosne jest, że tak łatwo daję się ugłaskać. Ale nie każę mu przestać – dobrze jest mieć przyjaciół, którzy chętnie poprawią twój humor.

przełożyła Dorota Polska

Johan Harstad

Rozeznanie

Nagotuj pełny kociołek, trzech wędrowców zbliża się drogą[18] i dziecko musi się kłaść, a ja muszę iść do kuchni, by skończyć pisać listę, którą zacząłem sporządzać już wcześniej, po obiedzie, listę spraw, które trzeba załatwić w najbliższej przyszłości, zawsze jest coś do roboty. Nie ma czasu do stracenia. Ktoś musi mieć rozeznanie. Ktoś musi wiedzieć, w jaki sposób wszystko zrobić i ze wszystkim zdążyć. Siedzę tak godzinami w środku nocy, notuję, w domu jest cicho, podobnie na ulicy, ruch jest bezgłośny, niemal nieobecny. Notuję, że muszę znaleźć rozpiskę o tym, co pokrywa moje ubezpieczenie od wypadku, i mam nadzieję, że moja najmłodsza córka nie zbudzi się również tej nocy, choruje, choroba zaczyna jej już przechodzić, ale wciąż może zarażać.

Sprzątnij dekoracje świąteczne.
Wyczyść i naoliw narzędzia ogrodowe.
Zbierz papiery do rozliczenia podatkowego.
Sporządź wykaz dobytku na wypadek pożaru.
Oddaj zużyte ubrania organizacji dobroczynnej.
Zrób dżem z owoców w zamrażalniku.
Kup sprzęt do ćwiczeń stairmaster przez telezakupy.
Zacznij własny program treningowy.
Napraw kosiarkę.

Nie ma czasu do stracenia. Każdy dzień ma własny plan. Koła muszą się obracać. Gdybym teraz usiadł, gdybym stanął bez ruchu, może wpłynęłoby to na ruch obrotowy Ziemi?

Siedzę przy stole kuchennym i sporządzam listę rzeczy, które trzeba zrobić w najbliższym czasie, w nadchodzących dniach, stopniowo widzę, że lista się rozrasta, sama z siebie, tyle jest do zrobienia, lista

zmienia się z czasem, rozciąga się, zaczyna obejmować cały rok, wiele lat, wszystkie dni i wszystkie lata aż do dnia, w którym umrę. Zawsze będzie coś do roboty. Nie mam czasu do stracenia. A dom trzeba pomalować.

Umyj psa w osolonej wodzie, żeby nie złapał pcheł.
Odkurz miejsca, do których trudno dotrzeć.
Umyj okna.
Wsyp nawóz do kwietnika.
Oblicz wysokość niezapłaconego podatku.
Upierz, przewietrz i odłóż ubrania na zimę.
Kup wyposażenie campingowe na wyprzedaży.
Zaplanuj rodzinną wycieczkę.
Napraw dach i wyczyść rynny.
Zamów przegląd samochodu.

Nie wiem, do czego się przygotowuję. Być może przygotowuję się tylko do przygotowań. Koła muszą się obracać. Nie wiem dlaczego, ale uczucie, że nic się nie dzieje, jest dla mnie nieprzyjemne, jak szybkie beknięcie przez ramię. Marzę, żeby to, co robię, miało jakieś znaczenie. Chciałbym, żebyś myślała, że jestem zdolny.

Jest pierwsza, za dwie godziny najmłodsze dzieci wrócą ze szkoły, jej dzieci, to oznacza, że jest wtorek, dzień smażenia naleśników. Dzieci trzeba odebrać, droga do szkoły jest długa i nie ma chodnika, według Głównego Urzędu Statystycznego to jedna z najniebezpieczniejszych dróg szkolnych w Norwegii, a dzieci trzeba utrzymać przy życiu, za wszelką cenę, dlatego należy słać listy i podpisy do zarządu gminy, żeby obmyślił plan poprawy dróg szkolnych dla uczniów podstawówki. Muszę pamiętać, żeby w drodze do szkoły zatankować benzynę, znaleźć kupon rabatowy do stacji benzynowej, żetony do automatycznej bezszczotkowej myjni, sprawdzić, czy w bagażniku wciąż leży zapasowa opona i trójkąt ostrzegawczy, na wszelki wypadek, sprawdzić, czy hamulce ABS nadal działają jak trzeba, na wszelki wypadek, czy dość jest płynu do szyb, upewnić się co do daty wprowadzenia zakazu użycia opon z kolcami, zamówić odrdzewiacz (który pokazywano w telewizji). Muszę pamiętać, żeby kupić

dezodorant bez perfum, szampon bez mydła, słodycze bez cukru. Jedzenie bez smaku. Potrzebuję sztucznych roślin, roślin, które nie umrą z dezorientacji wywołanej zimnym powietrzem ciągnącym od framug okiennych i ciepłem płynącym od kaloryfera poniżej, roślin, które wciąż będą wydawać się tak ładne i autentyczne, że sąsiedzi pomyślą, że stale ich obserwuję. Muszę przygotować ciasto na naleśniki.

Kup odśnieżarkę. Jeśli przyjdzie czas.
Myśl pozytywnie.
Jesteśmy dobrymi ludźmi. Staramy się, jak możemy.
Dobrze, że istniejemy.

Jest zima, wtorek, i siedzę na piętrze domu opieki społecznej, gdzie przez ostatnie cztery lata mieszkał mój ojciec. To ostatni raz, kiedy go odwiedzam; lekarze mówią, że umrze dziś w nocy. Długo chorował, od wielu miesięcy leży w łóżku i z nieregularną częstotliwością nawiedza swój świat. Odwiedzam ojca po raz ostatni, przynoszę mu pomarańcze. Za dwie godziny muszę być z powrotem w mieście, żeby zdążyć do sklepu budowlanego, potrzebuję nowego zestawu kluczy sześciokątnych i ostrza do kosiarki, poprzednie stępiło się i pękło, kiedy w lecie trafiłem nim jednego z ogrodowych krasnali. Wkrótce będzie wiosna, czuję to w powietrzu, jest czystsze, bardziej miękkie, muszę pamiętać, żeby zadbać o nowy lakier do mebli ogrodowych, tak szybko zrobi się ciepło.

Mówi się, że starsi mężczyźni wydają się mniejsi przed śmiercią, jakby kurczyli się w sobie, znikali i takie tam, ale to nieprawda. Ojciec robi się coraz większy, więc jeśli nie umrze dziś w nocy, może wyrosnąć z łóżka, rozpanoszyć się wokół i wylać się przez drzwi, a jeśli pożyje dość długo, jego ciało wypełni cały szpital, budynek zostanie przygnieciony jego brzuchem i zniknie, ale wciąż będzie tam, pod spodem. Ojciec ma duże ręce, niektórzy mówią, że to świadczy o wielkiej opiekuńczości. Nie chce pomarańczy, które mu przynoszę. Próbuję włożyć mu jedną do ręki, ale ciska nią o ścianę, ze wszystkich sił. Żółty sok ścieka po tapecie, pozostawiając plamy, których zmycie będzie wymagało dużo pracy.

Wystaw talerzyki z piwem, żeby wyplenić ślimaki z ogrodu.

Pij osiem szklanek wody dziennie.

Wyczyść grill.

Zadbaj, żeby pies miał dość wody.

Nie siedź na słońcu.

Napraw wiatraczek w kuchni.

Wybierz się na wyprzedaż w związku z nowym rokiem szkolnym po rzeczy niezbędne dla dzieci.

Kup aparaty jednorazowe na szkolne wycieczki dzieci.

Pamiętaj o spłacie raty kredytu.

Kup nowe narzędzia ogrodowe.

Odbywaj z żoną przynajmniej trzy stosunki w tygodniu, żeby utrzymać miłość przy życiu.

Zasadź drzewo.

Tu więc siedzę. Z ojcem. Otwieram paczkę twistów, którą ze sobą zabrałem, wysypuję małe, starannie zapakowane czekoladki do kryształowego półmiska, który ojciec dostał po dwudziestopięcioletnim chwalebnym stażu pracy w stoczni. Jego nazwisko jest wygrawerowane na dnie pokrętnym, pełnym zawijasów pismem, wraz z datą objęcia stanowiska i wymówienia oraz podziękowaniem za współpracę, jak w nekrologu. Próbuję nawiązać z ojcem kontakt wzrokowy, ale nie wiadomo, czy w ogóle przebywa w tym samym pokoju. Na chwilę przestaje padać śnieg, a kiedy przez chmury przedzierają się promienie słońca, całe pomieszczenie wypełnia się światłem. Lewy profil ojca rozjaśnia się i sprawia to takie wrażenie, jakby się uśmiechał, ale może to na jego twarzy przybyło zmarszczek, których nie pamiętam? Musiały pojawić się w ostatnich dniach, gapi się w sufit, prosto w sufit. Sufit jest biały. Lampy jarzeniowe.

Patrzę na ojca. Mówiono mi, że zostało mu już niewiele czasu. Być może umrze dziś w nocy. Prawdopodobnie. Rozpocząłem już wszystkie przygotowania, byłem obecny, gdy w zeszłym miesiącu wraz ze swoim adwokatem podpisał testament, mam już umowę z jednym z jego byłych kolegów, który specjalizuje się w pisaniu niezłych nekrologów, mam ogłoszenie z informacją o pogrzebie, które

wyślę do gazet, pozostaje tylko uzupełnić daty, byłem na cmentarzu i wybrałem miejsce, w cieniu, tak jak sobie życzył rok temu, biuro pogrzebowe przygotowało trumnę odpowiednich rozmiarów, z wykończeniem w środku, które wydało mi się całkiem ładne, lista ludzi, do których muszę zadzwonić w związku ze śmiercią, wraz z ich numerami, wisi na lodówce, moja siostra zobowiązała się zorganizować stypę, załatwiłem firmę, która specjalizuje się w przygotowywaniu tartinek z niską zawartością tłuszczu – tłuszcz jest, jak wiadomo, nie tylko szkodliwy, ale wzmacnia też ewentualną reakcję emocjonalną, człowiek łatwiej płacze przy zwiększonym spożyciu tłuszczów. Wystarczy, że umrze. Wystarczy go stracić. Nie zdążyłem się na to przygotować, nie, jeszcze nie, teraz zaś siedzę na jego starym krześle, zalatującym mocno wodą po goleniu, mimo że wiele lat już minęło, odkąd ostatnio golił się sam, teraz robią to za niego pielęgniarze, gdyby sam korzystał z maszynki do golenia, byłoby to zbyt niebezpieczne, mógłby nas opuścić przed zakończeniem wszystkich przygotowań. Podejrzewam go o to, że używa wody po goleniu do włosów, i obracam się na krześle, wącham oparcie, pachnie mocno, znów się odwracam, patrzę na ojca, teraz już stał się mały, za kilka godzin go stracę i wcale nie jestem na to gotowy.

Bądź dobrym człowiekiem.
Spróbuję być tak dobry, jak mogę.
Będę aktywny.
Będę kochał moje dzieci.
Będę próbował okazać światu czułość.

Ojciec podnosi się na łóżku. Kaszle, ociera usta, mówi, że pewnie przyszła już wiosna, i jest pogodny jak nigdy dotąd. Podaję mu pomarańczę, którą zaczyna obierać. Ma własną metodę, którą opracował jakieś tysiąc lat temu – obiera jedną ręką, druga leży spokojnie na kołdrze.

– Pamiętasz Sztokholm? – pyta.

Nie pamiętam Sztokholmu.

– Nie – mówię. – Kiedy to było?

– Latem 1961 roku – mówi ojciec. – Kupiliśmy nasz pierwszy samochód, twoja mama i ja, volkswagena, i pojechaliśmy do Szwecji, do Sztokholmu. Gröna Lund. Pamiętasz?

Posprawdzaj czujniki dymu.

Sprawdź gaśnicę.

Sprawdź alarm antywłamaniowy w samochodzie i drzwi wejściowe.

Sporządź plan ewakuacji rodziny na wypadek katastrofy ekologicznej.

– Nie – mówię. – Nie pamiętam tego, tato.

Wkrótce muszę wybrać się do miasta i już za nim tęsknię.

Ten profil, oświetlony przez słońce.

Ojciec mówi:

– Nic dziwnego, miałeś tylko cztery lata. Ale pojechaliśmy do Gröna Lund, we trójkę, to było tego lata, kiedy przyszła na świat twoja siostra, Mariann urodziła się w Sztokholmie dwudziestego szóstego sierpnia, to jednak sam wiesz. Mama źle się poczuła, myśleliśmy, że zaczął się poród, więc z całych sił, wszyscy troje, popędziliśmy do szpitala nowym samochodem. Ale nic się nie wydarzyło. Siedzieliśmy z mamą w pokoju, a ty płakałeś i bałeś się, że umrze, pamiętasz? Myślałeś, że mama umrze, nie rozumiałeś, że będziesz miał siostrę, prawda? Ale to trwało szmat czasu i mama powiedziała, że nie musimy z nią tak ciągle siedzieć. Zdaniem lekarza, na rozwiązanie trzeba by poczekać kilka dni, ale chciał ją tam zatrzymać na wszelki wypadek, a mama uważała, że jako silni mężczyźni powinniśmy pojechać samochodem do miasta, skoro już byliśmy na wakacjach. Pojechaliśmy więc do Gröna Lund. To było najlepsze, co mi przyszło do głowy, a w Gröna Lund był teatr lalek, pamiętasz? Nie? Był tam teatr lalek i pokazywali sztukę dla dzieci, nie pamiętam już jaką, możliwe, że był to *Piotruś i wilk*, ale nie jestem pewien. Siedzieliśmy zaraz w pierwszym rzędzie, ty na moich kolanach, i za każdym razem, kiedy pojawiał się wilk, zaczynałeś płakać. Obejmowałem cię, oglądaliśmy *Piotrusia i wilka* i myślałem, że tak właśnie się zestarzeję, siedząc na ławce w Gröna Lund z tobą na kolanach i pocieszając

cię. Myślałem, że zostanę tak na tej ławce, a ty będziesz siedział mi na kolanach, mimo że dorosły, to wciąż będziesz tam siedział, a ja będę ci opowiadał, co się dzieje na scenie, i przekonywał, że to nie straszne, gdy tymczasem gdzieś w mieście mama będzie na nas czekać, i chociaż dorosły, to wciąż będziesz maleńki w moich ramionach, a ja będę mówił, że nic złego nam się nie stanie. Innym razem myślałem, że zestarzeję się w ten sposób, że co roku będę przyjeżdżał do Gröna Lund, i z każdym rokiem to miejsce będzie dla mnie coraz ważniejsze, co roku będę odwiedzał ten teatr lalek, który zawsze będzie wystawiał *Piotrusia i wilka*, i ty będziesz ze mną, i Mariann, a mama dołączy później, i że będę tam przyjeżdżał również wtedy, kiedy was już ze mną nie będzie, gdy zaczniecie własne życie, jeśli mama umrze, to będę tam jeździł sam albo z waszymi wnukami, kiedy się zestarzeję, kiedy pamięć zacznie mnie zawodzić, to wybiorę się tam z twoim dzieckiem i on albo ona będzie siedzieć mi na kolanach, i będziemy oglądać przedstawienie, i powiem wtedy, że tylko to coś znaczy, bo nie zniknie, możesz zapomnieć o wszystkim innym, a to jedyna rzecz, która ma znaczenie.

Ojciec znów się położył, a teraz patrzy w sufit, je cząstki pomarańczy, cichutko.

– No i jak, pojechałeś tam kiedyś ponownie? – pytam.

– Nie – mówi ojciec. – Ale było w końcu kilka wycieczek na Majorkę.

Kup konserwy, zrób zapasy wody, leków, koców itp. w związku z katastrofą ekologiczną.

Zamieć liście w ogrodzie.

Zbuduj schron.

Posadź tulipany.

Upewnij się, że w domu zawsze jest dość prowiantu dla czterech osób na dwa tygodnie.

Wstaw kosiarkę do garażu.

Kup przenośną toaletę.

Posłuchaj radia.

Zbierz wszystkie rachunki do ewentualnej ulgi podatkowej.

Wyślij prezenty świąteczne za granicę.

Wytrzep dywany, umyj podłogę.

Schowaj pieniądze na dwutygodniowe zakupy jedzenia w stalowym pojemniku z zamkiem szyfrowym w razie załamania systemu bankowego.

Sporządź listę świątecznych zakupów.

Napraw linoleum w kuchni.

Opracuj budżet na adwent.

Kup kalendarz świąteczny Lotniczego Pogotowia Ratunkowego, Norweskiego Związku Samochodowego, Armii Zbawienia i NRK[19].

Kup choinkę.

Kup prezenty do określonej sumy pieniędzy.

Przekrocz limit, żeby zaskoczyć bliskich.

Przeznacz pieniądze na cele dobroczynne.

Użyj choinki jako materiału na opał.

Wyrzuć choinkę.

Oblicz dochody na najbliższy rok.

Ukryj się.

Patrzę na zegarek. Jest kwadrans po trzeciej, wtorek, dzień smażenia naleśników, a moje dzieci, najmłodsze, wróciły ze szkoły. Dzwoniłem do Mariann, prosząc, żeby wieczorem zajrzała do domu opieki, tak żeby ktoś był z ojcem w nocy, myślę, że wcale nie jestem przygotowany na jego odejście, jeśli chcę zdążyć do sklepu, muszę jechać już teraz.

– Nie ma się czego bać – mówi ojciec gdzieś w sufit.

– Czego takiego? – pytam.

– Wszystkiego.

Chciałbym móc dźwignąć go z łóżka, zabrać go ze sobą, wypisać go stąd, ale nie mogę, za mało czasu, więc po prostu go przytulam, podchodzę do niego, nachylam się nad nim i mówię:

– Tak cię kocham, tato.

Ale on już wrócił do swojego świata i tylko patrzy w sufit, i mam nadzieję, że nigdy nie zniknie, że następnym razem będzie siedział wyprostowany, w słońcu, wkrótce przyjdzie wiosna. Wiem jednak, że kiedy znów znajdę się w tym pokoju, to tylko po to, żeby spakować jego rzeczy i zdjąć zdjęcia ze ścian. Zostawiam twisty na stole.

Upierz zasłony.

Wyczyść kratkę odpływową.

Zaplanuj wakacje na najbliższy rok.

Co miesiąc urządzaj ćwiczenia w związku z zagrożeniem radioaktywnym powiązanym z topnieniem.

Skontaktuj się z Obroną Cywilną Kraju, żeby na wszelki wypadek dostać od nich rozkład dróg ewakuacyjnych.

Poświęć uwagę dzieciom i zachęć je do tego, żeby w każdej sytuacji postępowały właściwie.

Siedzę w samochodzie i jadę do miasta, patrzę na zegarek, jest za kwadrans, ledwie uda mi się zdążyć do sklepu przed zamknięciem. Jest jeszcze sklep po drugiej stronie miasta, otwarty o godzinę dłużej, ale nie chcę tam jechać, ponieważ inne sprawy, które mam załatwić, są do zrobienia w sąsiedztwie pierwszego sklepu, i biorąc pod uwagę samo tylko zużycie benzyny, niepraktycznie będzie jeździć tam i z powrotem. Znowu zaczął sypać śnieg, a ojciec zaczął już umierać, jestem przygotowany na opady, łopata do śniegu stoi w garażu obok szpadla, ale nie jestem gotowy stracić ojca, patrzę na drogę i widzę, że jestem jednak na autostradzie i zmierzam do drugiego sklepu, na obrzeżach miasta, mimo że jest to zarówno irracjonalne, jak i niepraktyczne.

Moja siostra Mariann dzwoni do mnie, zestaw głośnomówiący, naciskam guzik i odpowiadam, mówi, że jest w domu opieki, pytam ją, jak się sprawy mają, czy ojciec umarł, a ona na to, że nie, wciąż leży w łóżku, i że myślała o tym, żeby zostać na noc, na co ja mówię, że to dobrze, ona: – Tak, tak jest, po czym wjeżdżam do tunelu i rozłączam się, ponieważ sygnał tu, wewnątrz, zanika i nie ma sensu płacić za rozmowę; dzwonię do niej przy wyjeździe i myślę, że właściwie to z każdą sekundą rozmowy z nią tracę pieniądze, a ona tylko mówi i mówi, odpowiadam to, co myślę, że chciałaby słyszeć, po czym docieram na miejsce, mówię: – Muszę już iść, a ona na to: – Ok.

Znajdź muzykę na zimową depresję.

Kup energooszczędne żarówki do użycia poza domem.

Użyj płynu plumbo do kratki w prysznicu.

Zadbaj o wentylację.

Zaplanuj sobie życie na emeryturze, zdobądź katalog mieszkań w Hiszpanii.

Sprawdź ryzyko trzęsienia ziemi w obecnym miejscu zamieszkania.

Wylicz faktyczny obszar zamieszkania z obszaru zamieszkania brutto, ponieważ nie podaje się tego w anonsach.

Załóż filtr antypornograficzny na komputerze domowym z myślą o dzieciach.

Jestem w drodze do domu, o sześćdziesiąt pięć minut za późno w stosunku do planu, po drodze muszę wstąpić do Xeroksa, żeby zrobić kopię listy zadań do wykonania, i zadzwonić do zarządu cmentarza w sprawie pogrzebu ojca, muszę podać gazecie informacje o godzinie pochówku, być może wciąż na to za wcześnie, ale wiem, że nie zdążę tego zrobić jutro, i znów jestem na autostradzie, zmierzam w stronę miasta, parkuję przed Xeroksem, wchodzę, dostaję kopię, kosztuje 5 koron, tak jak zakładałem, wychodzę, dzwonię do parafii, ale jest zamknięte, zamiast tego dzwonię więc do gazety i powiadamiam ich, że pogrzeb odbędzie się w następny wtorek, najpewniej o godzinie 13.00.

Wieczorem siedzę przed telewizorem, oglądając angielski film dokumentalny o wypadkach lotniczych w latach 1981–2001, który ma na celu dowieść, że wszystkie wypadki można powiązać ze zmęczeniem materiału, z którego zrobione są tylne drzwi bagażowe, czego można byłoby uniknąć, gdyby fabryka Boeinga w Kalifornii przeprowadziła więcej testów wytrzymałości stopu aluminium w warunkach wysokiej temperatury i zmiany ciśnienia. Oglądam to tylko jednym okiem, zegar na ścianie nad stołem kuchennym miga trzykrotnie, co sygnalizuje, że dzieci mają się położyć, słuchają natychmiast i za kilka minut już ich nie ma, przy czym wciąż jeszcze zostały trzy godziny do czasu, gdy Helena wróci z pracy, nocna zmiana. Siedzę dalej, przełączając różne kanały: Discovery, Animal Planet, National Geographic, Adult01, ale na trzech pierwszych są tylko programy o kro-

kodylach, a kanał porno nadaje film *soft-core*, w którym ujęcia poniżej pasa są surowo zakazane – wygląda to tak, jakby ze sobą walczyli, a kamerzysta chyba próbuje być nowatorski i ciągle opowiada, co dzieje się na ekranie, nie jest to jednak zbyt udane i przełączam na jeden z norweskich kanałów, ale jest zbyt późno, transmisje się skończyły i pozostały już tylko jakieś gry telefoniczne, automatyczne wstawki, loteria z wysokimi nagrodami, w której tylko jednemu facetowi chce się siedzieć i grać, co zrozumiałe, nazywa się Las Vegas, ale dużo nie wygrywa, i postanawiam wyłączyć telewizor. Siedzę dalej na sofie i odkąd pamiętam, jest to pierwszy raz, żebym tak siedział w cichym domu, nic nie robiąc, moje ręce leżą spokojnie na kolanach, patrzę na zegarek, jest środek nocy i wkrótce idę do pracy, najpierw do domu wróci moja żona, położy się w łóżku, a gdy wstanę, łóżko będzie ciepłe – wartościowy zabieg, jaki podjęliśmy, żeby zoptymalizować temperaturę w sypialni, która powinna być niska, około czternastu stopni. Na stole przede mną leży lista tego, co należy zrobić, działania, które trzeba wdrożyć w życie, i nie śmiem podnieść kartek, nie śmiem ich przejrzeć ze strachu, że to wszystko się rozpadnie, że mój system nie będzie działał, że zabraknie kontroli, i myślę, że mój ojciec już nie żyje, i jest za późno, aby coś z tym zrobić.

Poszedłem do łazienki, myję zęby, najdokładniej szoruję zęby mądrości, to najsłabsze zęby, jakie ma człowiek, żeby się do nich dostać, usta muszą być półotwarte, górne trzeba czyścić od dziąseł na zewnątrz, po kolei, potem nitka dentystyczna i przepłukanie ust wodą, ręcznik, by otrzeć strużkę, która zawsze spływa z kącika ust na brzeg umywalki, i wtedy znów dzwoni Mariann, dzwoni na komórkę, nową nokię, pełniącą też funkcję kalendarza. Wchodzę do salonu ze szczoteczką w ustach, w salonie panuje ciemność i idę do telefonu, który świeci na stole. Mariann mówi, że ojciec jest na nogach i chodzi: – Siedział trochę na krześle, nabrał kolorów, tak dużo o tobie mówił, chce, żebyś znowu przyszedł, możesz? Lekarz powiedział, że nie do końca rozumie, co się stało, ale wygląda na to, że ojciec pożyje jeszcze jakiś czas, tak bywa od czasu do czasu, oczywiście w drodze wyjątku, no ale przecież…

– Część symptomów ustąpiła – mówi Mariann, jej głos jest miękki i gdzieś w tle słyszę ojca, ojciec się śmieje i myślę, że da sobie radę, i myślę, że system się rozpada, myślę, że wkrótce przyjdzie wiosna i jeśli zdążę, jeśli tak się ułoży, w takim razie trzeba będzie wkrótce wszystko załatwić i zamówić, ale jeśli się ułoży, że obaj, ojciec i ja, będziemy mogli pojechać do Gröna Lund, i jeśli umrze tam, w Sztokholmie, jeśli się zdarzy, że pogorszy mu się w Sztokholmie i umrze, to w każdym razie będzie mógł odejść w tym samym szpitalu, w którym przyszła na świat Mariann, ale nic jej o tym nie mówię, w końcu mogę zrobić to później, i ubieram się szybko, piszę liścik do Heleny, wsiadam do samochodu, włączam silnik i jestem w drodze, jadę autostradą do miasta, do domu opieki, wyjeżdżam z tunelu, staję na światłach, czekam na zielone i myślę, że ojciec jest jak zielony ludzik z sygnalizacji, przez niego muszę dzwonić do gazety i odwoływać zawiadomienie o śmierci, muszę podzwonić tu i tam, trzeba odkręcić nekrolog, tyle jest roboty z przełożeniem pogrzebu, zapala się przede mną zielone światło i opieram stopę na pedale gazu, jadę dalej, zjeżdżam na drugi pas, ale nie zauważam, że jestem po złej stronie i uderza we mnie nadjeżdżająca karetka, wprost we mnie, uderza samochód w bok, tuż przy drzwiach, z prędkością około 120 kilometrów na godzinę.

przełożyła Dorota Polska

Roy Jacobsen

Lód

Las był po drugiej stronie fiordu, więc zimą drewno trzeba było wieźć po lodzie. Późną jesienią Even zwykle płynął łódką na drugą stronę, ścinał drzewa, przycinał tyle gałęzi, ile potrzebował, i zostawiał je na wzgórzu. Kiedy lód był twardy, brał traktor i jechał na drugi brzeg fiordu, układał drewno w stosy na śniegu i transportował je na drugą stronę. Był to jedyny większy las we wsi, większość ludzi musiała ogrzewać domy energią elektryczną albo węglem.

– Masz tyle dobrego drewna – mówili.

– Przewożę je po lodzie – odpowiadał Even. – Jest z czego brać.

Proponował im, żeby wycinali drzewa w jego lesie, ale nie lubili jeździć traktorem po lodzie. Dla niego, który całe życie mieszkał tu, nad brzegiem, nie był to problem – przyzwyczaił się, a do tego umiał obserwować pogodę i wiedział, kiedy lód będzie trzymał, a kiedy pęknie…

– Popłyń ze mną jesienią – mówił Even. – Możemy ściąć tyle drzew, ile potrzebujesz, a zimą przewieziesz je po lodzie.

– No nie wiem – odpowiadał na to zainteresowany. Czy nie mógłby odkupić drewna, ściętego i przetransportowanego, od Evena?

Oczywiście, że mógł, ale wtedy nie byłoby ono darmowe. Dlatego w domu takiej osoby nie będzie ciepło, bo kupne drewno trzeba oszczędzać, a darmowego nie.

– Przecież zawsze wracam cały i zdrowy – mówił Even. – Patrzcie na mnie, stoję przed wami.

Patrzyli na Evena. Był duży i przygarbiony. Jego silny kark porastały kręcone rude włosy. Zwykły mężczyzna. Rolnik, jak wszyscy inni w tych okolicach. A jednak nie tak do końca zwykły. Co prawda wracał szczęśliwie ze swoich przepraw po lodzie, przynajmniej do tej

pory, ale nie było żadnej gwarancji, że w przyszłości będzie tak samo. Igrał ze śmiercią, był na wpół szalony, chociaż nie było tego po nim widać.

Również w czasach jego ojca lód był jak stały grunt pod stopami. Niczym szlak handlowy. Wtedy inni chłopi też nie chcieli na niego wchodzić. Kiedy we wsi mieli położyć elektryczność, trzeba było przeprowadzić kable przez góry. Maszty musiały zostać przetransportowane na drugi brzeg. Ludzie chcieli spławić je po wodzie, ale ojciec Evena zaoferował, że przewiezie je po lodzie, dużo taniej. Popatrzyli na jego propozycję i przemyśleli to. Nie mogli powiedzieć nie.

Ojciec Evena zaskoczył zebranych gapiów tym, że jako pierwszy wjechał na lód traktorem. Na dodatek był to jeden z pierwszych traktorów we wsi. Jego utrata dużo by kosztowała. Ważył trzy i cztery dziesiąte tony. Pokryte kreozotem pale ważyły jeszcze więcej. Ale lód niósł. Ojciec Evena jeździł w tę i z powrotem, obserwowany przez armię niedowierzających gapiów, i całego cudu dokonał w zaledwie jeden dzień. Zarobił na tym duże pieniądze, właściwie zarobił tyle, że mógł wybudować pierwszy silos we wsi.

Wysadzanie dziur w ulicach, wbijanie pali i rozciąganie kabli miała wykonać firma budowlana. Jednak góry po drugiej stronie były dzikie i trudne, więc prace trwałyby długo, może całe lata, a robotnicy musieli gdzieś mieszkać.

– Mogę przewieźć dom po lodzie – powiedział ojciec Evena.

– Cały dom? – powiedzieli. – Dla dwudziestu ludzi?

– Czemu nie – powiedział. – Dostarczcie tu materiały. Na wiosnę będą leżały po drugiej stronie.

Na tym zarobił jeszcze więcej pieniędzy i kupił za nie buldożer.

– Po co ci to? – pytali sąsiedzi.

– Będę sadził las – mówił ojciec Evena. – Po drugiej stronie. Przy pomocy buldożera przygotuję nową ziemię pod sadzenie drzew.

– A jak planujesz go tam przetransportować? – pytali.

– Przewiozę go po lodzie – odpowiadał.

I przewiózł go po lodzie. Uprzątnął ziemię i zasadził las, świerkowy, który dziś jest tak wysoki, że Even ma pełne ręce roboty przy

usuwaniu drzew, które przeszkadzają w dalszym wzroście lasu.

Wszystko to działo się jednak dawno temu i pozostały po tym tylko wspomnienia w głowie Evena i zdjęcia na ścianie jego pokoju. Mogłoby się wydawać, że z czasem nastawienie ludzi się zmieniło – w końcu każdy mógł przeczytać w podręczniku wojskowym, że lód o grubości czterech centymetrów wytrzymuje ciężar jednego mężczyzny, lód o grubości trzydziestu centymetrów wytrzymuje ciężar czołgu itd.

– A massey to przecież żaden czołg – mówił Even. – Poza tym grubość lodu dochodzi tu do sześćdziesięciu, siedemdziesięciu centymetrów.

– Ech – odpowiadali tylko.

Z lodem nie chcieli mieć nic wspólnego.

– Możesz jechać razem ze mną – proponował Even.

Z wiekiem coraz silniejsza była w nim potrzeba pokazania innym, że lód trzymał, że jego rodzina nie składała się z szaleńców, ale z rozsądnych ludzi, którzy wiedzieli, co robią. Jednak nie dawali mu szansy. Zwątpieniem i lekkomyślną gadaniną splamili jego honor. Mówił, że w wielu innych miejscach w kraju ludzie też jeździli zimą po lodzie.

– W centralnej części, tak – mówili, bo odpowiedź mieli zawsze gotową. – Ale my jesteśmy na wybrzeżu. Woda podnosi się w czasie przypływów. Jest słona. Od strony gór wypływa rzeka, jest tu prąd.

Tymczasem wyrosło nowe pokolenie – młodzi chłopcy, którzy również nazywali Evena szalonym rudzielcem, dlatego że tak robili ich ojcowie. Jednak kiedy ci sami chłopcy podrośli, zauważyli, że Even wcale nie był szalony, ale po prostu odważniejszy od ich ojców. Pewnego dnia na podwórku Evena zjawił się młody chłopak i powiedział, że chce pojechać z nim na ścinkę drzewa. Powiedział, że dość ma tego, że w domu zawsze brakowało im drewna, a przecież było je skąd brać.

– A odważysz się? – uśmiechnął się szyderczo Even.

– Tak, tak – oczywiście, że się odważy.

W spokojny dzień pod koniec listopada wzięli ze sobą piły mechaniczne, przepłynęli łódką na drugi brzeg fiordu i ścięli tyle drzew, ile

potrzebowali. Trwało to trochę ponad tydzień. Zimą spotkali się ponownie, trochę później niż zwykle, bo w czasie świąt była łagodna pogoda i deszcz, a woda podniosła się o trzydzieści centymetrów. Potem morze znowu zamarzło. Zanim środkowa warstwa lodu zamarzła ponownie, spadł śnieg. Chłopak był tym trochę zaniepokojony.

– To nie ma znaczenia – zaśmiał się Even i zaczął się przygotowywać.

– Czyli możemy jechać? – zapytał chłopak.

– Tak, jasne. Jeśli pierwsza warstwa pęknie, druga utrzyma nas na pewno.

Wdrapali się do kabiny masseya i zjechali w dół pola, na brzeg. Even skręcił na molo i jechał dalej, po lodzie.

Gdy tylko opuścili ląd, do chłopaka dotarło, że każdy może chodzić po lodzie, że każdy może ostrożnie stąpać nawet po dość cienkim lodzie – ale jazda traktorem to coś zupełnie innego! Z łoskotem wjechali na płaską, białą taflę. Świat zmienił wymiary. Pojazd jakby zmalał. Wydawało się, że utracili prędkość, że w końcu stali całkiem nieruchomo i wwiercali się w głąb ziemi.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał chłopak, kiedy Even otworzył szyberdach.

– Kiedy jedzie się po lodzie, szyberdach zawsze musi być otwarty – powiedział Even.

– Po co?

– Po nic. Tak po prostu ma być. Tak tam piszą.

Kiwnięciem głowy wskazał na ścianę kabiny, gdzie znajdowała się mała tabliczka z napisem „Jazda po lodzie”. Wymieniono tam zasady, których należało przestrzegać.

Chłopak zauważył, że osłabła jego kontrola nad śliniankami. Żołądek skurczył się, a palce zaciskające drążek zbielały.

– Nie podoba mi się to – wymamrotał. – Nie podoba mi się to.

Even jechał. Przez dziesięć minut jechał prosto przed siebie, jakby po białej kartce papieru. Nie było nic widać. Tylko cichy i nieruchomy zimowy dzień. Nagle wierzchnia warstwa lodu pękła z hukiem. Traktor zapadł się o trzydzieści centymetrów, a spod jego kół zaczęła tryskać woda. Stali w miejscu.

Even dodał gazu, silnik zahuczał i traktor powoli wpełznął z powrotem na powierzchnię lodu. Dwadzieścia metrów dalej ponownie się zapadli. Teraz Even zaczął się śmiać.

– Tutaj słońce grzeje najmocniej – krzyknął przez warkot silnika i kiwnięciem głowy wskazał na góry. – Słońce świeci przez przełęcz tam na górze i ogrzewa tę plamę cały dzień.

– Nie można jej objechać? – zapytał chłopak.

– To duży obszar – powiedział Even. – Poza tym, to nie jest konieczne.

Zapadli się po raz trzeci.

– A co, jeśli dolna warstwa lodu nie wytrzyma? – powiedział chłopak.

– Wytrzyma – odpowiedział Even.

– Skąd możesz być taki pewien?

Even uśmiechnął się.

Kiedy zapadli się po raz czwarty, chłopak zeskoczył na lód i zaczął biec dwadzieścia, trzydzieści metrów obok traktora. Even uważał, że to zabawne. Dodał gazu i pomachał mu ręką przez szyberdach.

„Nigdzie żadnego ratunku”, myślał chłopak. Kierował się na cypel, gdzie mieli ładować drewno. Biegł tak szybko, że w ustach poczuł smak krwi. Nagle zauważył, że biegnie łukiem, że musi biec łukiem, jeśli chce trzymać się na dystans od traktora. Odwrócił się i spojrzał na ślady na śniegu. Przypominały przepaść.

Dał Evenowi znak, żeby się zatrzymał.

– Co to ma znaczyć? – zawył i wskazał na ślady.

Even spojrzał na nie. Krzyknął do chłopaka, żeby wsiadał z powrotem, bo ominęli już plamę słońca. W pobliżu lądu ponownie skręcił na północ i jechał wzdłuż ściany gór.

– Patrz tam! – krzyknął po paru minutach.

Kawałek dalej pod lodem widniał szary cień. W miarę, jak jechali na północ, cień stawał się coraz większy i wyraźniejszy. W końcu zobaczyli wodę.

– To przez prąd rzeki – powiedział.

To tutaj łabędzie krzykliwe zwykle odpoczywały podczas swojej wiosennej wędrówki na północ. Chłopak rozejrzał się wokół. Znajdowali się na szerokiej na sto metrów półce lodu, między czarną wodą

a stromymi górami. Zeskoczył i znów zaczął biec. Z powodu stromych klifów nie wszedł na ląd, musiał biec za traktorem. Even śmiał się.

Kiedy dotarli na cypel, między lądem a otwartą wodą nie było więcej niż dwadzieścia, trzydzieści metrów.

– Tu przy lądzie nie ma prądu – powiedział Even, po tym jak podjechał tyłem i zaparkował. – Lód jest tutaj gruby.

Zszedł na brzeg i kopnął śnieg do wody, zaczął skakać w górę i w dół.

– Patrz – powiedział.

Chłopak patrzył. Następnie poszli do lasu i poukładali drewno w stosy. Stamtąd, gdzie siedzieli i jedli kanapki, mieli widok na fiord. Ślady traktora układały się w precyzyjny łuk wzdłuż dziury w lodzie, przypominającej kształtem grot włóczni, biegły nie za blisko i najwyraźniej nie dalej, niż to było konieczne. Kiedy pracowali przy załadunku drewna, chłopak prawie doszedł do siebie. Teraz przez ten widok znowu poczuł się dziwnie.

– W drodze powrotnej będę siedział na drewnie – powiedział. – Żebym miał się jak uratować, gdybyśmy tonęli.

– Brzoza jest surowa – zaśmiał się Even. – Nie unosi się na wodzie.

W drodze powrotnej chłopak też biegł. Po lodzie wzdłuż czarnej wody, wokół przypominającej grot dziury i obok słonecznej plamy. Później nie miał już siły i musiał mimo wszystko wsiąść do wozu. Kiedy dojechali na ląd, był zdrętwiały z zimna i nie chciał jechać kolejny raz.

– Jesteś szalony – powiedział do Evena i poszedł do domu.

Następnego dnia jednak wrócił. Całą noc nie spał i myślał, jak przyjemnie było przeżyć. Chciał przeżyć jeszcze raz. I tym razem nie będzie zeskakiwał i biegł jak głupek koło traktora. Będzie zachowywał się tak jak Even, zachowa spokój, nie ruszy się z miejsca.

Usiadł na błotniku za siedzeniem. Gdy tylko wjechali na równy, płaski lód, ogarnął go ten sam strach. Prędkość zmalała. Stali na ogromnej, białej przestrzeni.

– Nie rób tego! – krzyknął, kiedy Even otworzył szyberdach.

– Czemu nie? – spytał Even.

– Źle się przez to czuję – odpowiedział chłopak.

Ale nie to miał na myśli. Nie był w stanie wyjaśnić, o co mu chodziło, więc Even mimo wszystko otworzył szyberdach. Kiedy dojechali do słonecznej plamy i zapadli się po raz pierwszy, chłopak zwymiotował. Starał się skoncentrować na rudych spiralach, które z temperamentem rosły na karku i szyi Evena, od czapki z daszkiem do kołnierza kombinezonu i na pewno dalej w dół tego przypominającego drzewo, sękatego ciała. Spojrzał w górę przez szyberdach na chmury i niebo. Spojrzał na dyszel, który co chwila zanurzał się w wodzie zmieszanej z pokruszonym lodem, na wóz, który wisiał, kiwając się na holu, niczym amfibia w zielonej wodzie. Nie dał rady. Kiedy zapadli się po raz trzeci, znów musiał zejść i biec. Gdy tylko minęli słoneczną plamę, wdrapał się z powrotem na traktor, ale kiedy okrążali grot, musiał zejść jeszcze raz. Nie mógł się zdecydować, czy powinien biec między traktorem a wodą czy między traktorem a gładką ścianą gór. Skończyło się na tym, że biegł tak blisko traktora, że straciło to sens. Ponownie wsiadł na górę, ale mdłości było równie silne, musiał zejść, musiał biec.

Even już się nie śmiał. Zostawił chłopaka w spokoju, dodał gazu i pojechał przodem. Kiedy chłopak w końcu doczłapał się na miejsce, blady i wyczerpany, Even siedział i przyglądał się łabędziom krzykliwym, które odpoczywały w wodzie. Chłopak usiadł obok niego.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje – powiedział. – Nie daję rady.

– Nic nie szkodzi – powiedział Even.

– Ile trzeba czasu, żeby być tak pewnym jak ty? – zapytał chłopak.

Even nie wiedział. Jeździł po lodzie od ponad trzydziestu lat i po prostu był pewny.

– Jest tak cicho – powiedział nagle chłopak – teraz, kiedy traktor stoi. To ten hałas tak mnie denerwuje.

Even nie odpowiedział.

Przyglądali się dużym ptakom pływającym po wodzie. Dziwiło ich, jak mało się bały, tak blisko ludzi i dużego pojazdu, ptaki, do których zwykle nie można było się zbliżyć na więcej niż dwieście, trzysta metrów.

– Właściwie nigdy wcześniej ich nie widziałem – powiedział chłopak.

– Ja widzę je każdej zimy – odparł Even. – Tutaj.

Przynieśli nową partię drewna. Zjedli kanapki i załadowali wóz. Even ruszył i jechał na południe, wzdłuż miejsca, gdzie siedziały łabędzie. A chłopak biegł. Biegł i płakał. Even udawał, że tego nie widzi, i za słoneczną plamą wziął go ponownie na wóz. Nic to nie dało. Tam też musiał zejść i jeszcze raz biec. A kiedy przyjechali na ląd, nawet nie chciał swojego drewna – nie zasłużył sobie na nie!

– Dobra, dobra – odpowiedział Even, i nic więcej.

Jednak zostawił drewno na wozie. Kiedy zrobiło się ciemno, zawiózł je do domu chłopaka i zrzucił na jego podwórku. Tej nocy chłopak również nie spał, ale nie czuł już, jak dobrze było przeżyć. Teraz czuł tylko, jakie to było żałosne. I jeszcze bardziej żałosne byłoby, gdyby spróbował ponownie i nie dał rady.

Następnego dnia nie wrócił. Tej zimy w ogóle nie wrócił. Even musiał sam zwieźć drewno. A lód cały czas niósł.

Pewnego wieczoru pod koniec kwietnia wydarzyło się coś dziwnego. Po tym jak Even skończył doglądać zwierzęta i wyszedł z obory, dostrzegł na lodzie czerwony samochód, który ślizgał się po dużym łuku, stawał, rozpędzał się, jechał prosto przed siebie i znów wpadał w poślizg. Even widział, jak wieczorne słońce odbijało się w czerwonym lakierze, słyszał warczenie silnika i pisk kół na lodzie. Nagle samochód stanął bez ruchu, trwało to dwie, może trzy sekundy. Potem zaczął tonąć.

Even musiał kilka razy okrążyć podwórko i pozbierać myśli, zanim był w stanie wejść do domu i zadzwonić. Była zwykła sobota. Myślał, że to pewnie ten chłopak i kilku jego kolegów chcieli popisać się po pijaku. Najpierw zadzwonił do lekarza i na policję. Potem do jego rodziców. Jednak ci nie rozumieli, o czym mówił, bo chłopak wyjechał ze wsi ponad miesiąc temu i był na pokładzie kutra rybackiego na Morzu Północnym. Kiedy przyjechało pogotowie i policja, Even nie był w stanie wyjaśnić, o co mu chodziło.

– To moja wina – powtarzał w kółko.

Wzięli ze sobą czekany, kilka siekier i tyle drewnianych desek, ile znalazł Even. Wyszli na rozpadający się lód, jeden za drugim, każdy trzymał w ręku kij i siekierę. Even szedł przodem. Już po kilku metrach załamała się pod nimi pierwsza warstwa lodu. Szli zanurzeni do kolan w pokruszonym lodzie wymieszanym z wodą. Wszędzie przed sobą widzieli szare, mokre plamy. Nie można było rozróżnić głębokiej wody od wody pokrywającej lód. Policjanci nie mogli zrozumieć, jak jakiś samochód mógł wjechać na wodę w takich warunkach. Even też tego nie rozumiał. Powiedział, że może wjechali na lód w cieniu małego wzgórza leżącego dalej na południu – sam często tak robił, kiedy musiał wjechać na lód o tak późnej porze roku.

Wrócili na ląd i jedna grupa udała się na południowy kraniec fiordu, żeby poszukać śladów samochodu. Nic nie znaleźli.

– To moja wina – powtórzył Even. – Nigdy nie powinienem był go ze sobą zabierać.

Policjanci pokiwali głowami i odjechali. Zaczęły się poszukiwania czerwonego samochodu. Znalazły się wszystkie czerwone samochody ze wsi. Również w sąsiednich gminach nie zginął żaden czerwony samochód.

Czwartego maja lód ustąpił. Po południu tego samego dnia Even wyniósł łódkę na wodę i na własny rachunek wynajął dwóch płetwonurków. Nurkowie byli przyjaciółmi chłopaka. I chociaż chłopak nigdy nie opowiadał im o tym, co się wydarzyło na lodzie tej zimy, wiedzieli, że Even był szalony. Robili to tylko po to, żeby przestał marudzić, i dlatego, że dobrze płacił.

Przez około dwadzieścia minut pływali w kółko pod wodą, w ciemności, i nie znaleźli żadnego samochodu.

– Spróbujemy kawałek dalej – powiedział Even.

– Już sprawdziliśmy cały ten obszar – powiedzieli.

Jednak Even nie chciał ustąpić, więc wymienili butle i ponownie zeszli pod wodę, spędzili tam kolejne dwadzieścia minut. Tym razem upewnili się, żeby wynurzyć się daleko od łódki. Znowu nic nie znaleźli.

Ale i to nie zadowoliło Evena. Jego twarz stała się bardziej czerwona niż kiedykolwiek. Krzyczał. Nurkowie zgodzili się wykorzystać

ostatnie butle. Kiedy wynurzyli się po raz trzeci, również z pustymi rękami, Even szalał z wściekłości. Siedział pochylony nad wiosłami i cały drżał.

– Co chcesz, żebyśmy zrobili? – spytali.

Minęło kilka minut, może pięć. Even się uspokoił. Powiedział, że niewiele mogli przecież zrobić. Powiedział, że cieszy się z tego, co już zrobili, i z tego, że udało im się go uspokoić. Zapłacił i pozwolił im odejść.

Przez następne tygodnie jego myśli były zajęte gospodarstwem i pracą. Zaorał nowy kawałek ziemi, posadził ziemniaki i doił krowy. Przyszło lato, zwierzęta wyszły na pastwisko, on kosił trawę i suszył siano. Było to lato jak wszystkie inne.

W sierpniu chłopak wrócił do domu i któregoś wieczoru przyszedł do Evena w odwiedziny z butelką whisky. Even ucieszył się z wizyty, prawie nikt go nie odwiedzał. Pili i chłopak opowiedział, że wiele razy przeżył sztorm na Morzu Północnym i nie bał się. Od kiedy wyjechał z domu, przeżył też wiele innych rzeczy – bez strachu. Nie lubił wspomnień z lodu z ostatniej zimy. Chciał dostać szansę, żeby to zmienić – zimą.

– W porządku – ucieszył się Even.

Pomyślał, że dzięki tej propozycji prawie zdobył przyjaciela.

Ale kiedy łabędzie znów poleciały na południe, Even wiedział, że jeszcze długo nie uda im się wjechać na lód. To był znak. Przerażała go myśl o tej długiej jesieni. Czuł się, jakby całe jego ciało zesztywniało od reumatyzmu. Miał wrażenie, że blokowało go czekanie na tego przyjaciela, któremu miał pomóc stać się tak spokojnym, jak on sam. Zawsze lubił jesień. Wtedy zarówno on, jak i gospodarstwo były spokojne, mógł rąbać drewno, doić krowy albo leżeć w domu i czytać gazety. Na wiejskiej imprezie usłyszał, że tych dwóch nurków okłamało go, że wcale nie szukali samochodu. Pomieszało się to z innymi myślami, przez co przyjaźń z chłopakiem stała się jeszcze dziwniejsza. Drewno z zeszłego roku ułożył w uporządkowane stosy za oborą, ale ani trochę nie cieszyło go, że było tego dużo i że zabezpieczył się przed zimą. Myślał o samochodzie i o słońcu, które tak wyraźnie odbijało się w czerwonym lakierze na chwilę przed zatonięciem. O nurkach i chłopaku. Kiedy chłopak po świętach w końcu

wrócił i stanął przed nim cały i żywy, Even był tak zaskoczony, że nie rozumiał, czego ten chciał.

– Mam wystarczająco dużo drewna – powiedział.

Poza tym woda była już skuta lodem, a to było wbrew jego przyzwyczajeniu. Zwykle jesienią ścinał drzewa, a zimą je przewoził.

Chłopak spojrzał na stos przy ścianie obory, na roczne, suche drewno.

– Nie możemy ścinać i zwozić za jednym razem? – zapytał.

– Lód jest teraz jak stal – powiedział Even. – Musielibyśmy jechać z łańcuchami na kołach.

Nigdy nie lubił jeździć z łańcuchami.

– To chyba w niczym nie przeszkadza – stwierdził chłopak.

– Nie, raczej nie – powiedział krótko Even i zaczął iść w kierunku gospodarstwa.

– Co masz na myśli? – zapytał chłopak.

– Nic – odpowiedział Even.

Pomaszerował do garażu i wyciągnął ze skrzyni łańcuchy. Kiedy je zakładali, chłopak próbował powiedzieć coś zabawnego – nie podobał mu się ten ton. Teraz, w miarę jak zbliżali się do lodu, wspomnienia z zeszłego roku stawały się coraz bardziej wyraźne. Even nie słuchał jego wesołej gadaniny. Załadował na wóz piłę mechaniczną i resztę sprzętu, po czym wsiadł do środka. Chłopak też wsiadł. Zjechali w dół pola i na molo. Wyjechali na lód.

Stalowy lód przypominał zielone szkło. W dole pod nimi migały kamienie i pnie drzew, wyraźne i powiększone, a także sitowie i bąble powietrza. Dno szybko opadało. Wydawało się, jakby jechali po szybującym w przestrzeni, czarnym lustrze.

Nagle warkot silnika zagłuszył głęboki huk. Od wzgórz odbiło się echo. Podwójne echo. Lód przy brzegu po drugiej stronie przecięła z trzaskiem biała linia. Drugie pęknięcie pojawiło się na północy od strony głębokiej wody, trzecie z tyłu równolegle do poszarpanych śladów łańcucha.

– Lód się umacnia – powiedział Even.

– Jesteś pewien, że wytrzyma? – zapytał chłopak.

– Wytrzyma – powiedział Even.

Chłopak spojrzał na swoje palce. Znów były białe. Zastanawiał się, czy będzie w stanie się puścić, jeśli naprawdę mieliby zatonąć.

– Nie otwierasz szyberdachu? – zapytał.

– Zapomniałem – powiedział Even.

Otworzył dach i dodał gazu.

przełożyła Anna Schmidt

Nina Lykke

Weekend za miastem

Hege dzwoni i pyta, czy nie chciałabym się z nią spotkać. Mogłybyśmy zabrać dzieci i pojechać razem do naszego domku za miastem. Kiedy możesz jechać, pytam, chociaż właściwie planowałam być bardziej oziębła. Minął przecież ponad rok, od kiedy ostatnio się do mnie odezwała. Tym razem nie dam się ponieść emocjom – zawsze tak myślę, kiedy patrzę na wyświetlacz i widzę, że to ona. Tym razem się opanuję. Ale zawsze daję się ponieść. Twarz mi jakby topnieje i poddaje się, zaczynam przełykać ślinę i wstrzymywać oddech. Za każdym razem, kiedy przełykam ślinę, odsuwam słuchawkę od ust, żeby ona nie słyszała.

Może w ten weekend?

– Ok. – mówię i myślę o wszystkich spotkaniach, które muszę odwołać. – Dowiem się tylko, czy domek jest wolny, ale na pewno jest, na pewno nie będzie problemu. Z tego, co wiem, Kjetil musi pracować i na pewno się ucieszy, że będzie mógł pobyć sam przez weekend.

Słowa same wypadają mi z ust i czuję, jak bardzo się za nią stęskniłam.

Kiedy nadchodzi piątek, wcześniej wychodzę z pracy, jadę do domu, pakuję się, odbieram dzieci, jadę do centrum na stadion Ullevål i robię zakupy. Wchodzę też do monopolowego z zamiarem kupienia wina w kartonie, tak jak zwykle, ale zmieniam zdanie i zamiast tego kupuję trzy butelki. Wyobrażam sobie, że będziemy siedzieć przed kominkiem, gdy dzieci już pójdą spać. Trzy butelki na dwa dni powinny wystarczyć. Hege nigdy dużo nie piła. Jedzenie i picie nie są dla niej zbyt ważne. Podczas kręcenia filmu może wytrzymać

dwanaście godzin bez jedzenia. Wiem, że ja nigdy nie mogłabym zostać reżyserem albo artystką, bo to wymaga wytrzymałości, a ja muszę jeść co trzy godziny. Jeśli nie zjem, nie jestem w stanie skoncentrować się na niczym innym. Dlatego jestem pulchna, a Hege chuda. Kiedy Hege je, widać, jak pracują jej mięśnie pod skórą twarzy, do tego te duże żujące usta i długie kościste palce, trzymające widelec albo kanapkę.

Kiedy dzwonię do drzwi, jest piętnaście po piątej. Zaparkowałam nieprzepisowo, zaraz przed domem, i zostawiłam dzieci w samochodzie.

– Wchodź! – słyszę jej ochrypły głos w domofonie.

– Źle zaparkowałam – mówię. – Nie jesteście jeszcze gotowi?

– Oj, sorry, nie jesteśmy jeszcze całkiem gotowi. Może wejdziecie i napijecie się kawy?

– Dobra, tylko najpierw znajdę miejsce do parkowania.

Minęło tyle czasu od naszego ostatniego spotkania, zapomniałam, że ona zawsze się spóźnia. Kiedyś siedziałam w kawiarni i czekałam na nią półtorej godziny. Myślę, że siedzieć i czekać na kogoś półtorej godziny to chore, tak samo jak spóźnić się półtorej godziny. Ktoś inny poszedłby sobie po trzydziestu minutach. Ja czekałam, i kiedy Hege w końcu przyszła, zbierało mi się na płacz. Przecież nie chcę taka być, nikt nie chce taki być. Ale tak bardzo cieszyłam się na spotkanie z nią, że cały czas myślałam: „A co, jeśli ona przyjdzie zaraz po moim wyjściu?”.

W końcu udaje mi się zaparkować samochód i wchodzimy po schodach na górę. Nic się nie stanie, jeśli dojedziemy późnym wieczorem. Jutro możemy długo spać. To będzie przygoda. Z Hege wszystko jest przygodą.

Hege otwiera drzwi w szlafroku i z ręcznikiem na głowie. Fredrik stoi za nią, w samych majtkach. W korytarzu leży pełno ubrań, wygląda to tak, jakby opróżnili wszystkie szafy.

– Czeeeeść, tak miło was widzieć! Jak urośliście! Prawie was nie poznałam!

Jon i Astrid śmieją się wstydliwie, mimo że najczęściej na takie uwagi reagują milczeniem. Ale oni też są poruszeni. Oni też to czują.

Hege obejmuje mnie, stoimy w progu, kiwając się na boki. Zawsze kojarzyła mi się z żyrafą.

– Masz ochotę na kawę? Chce ci się ją zrobić?

Hege chichocze i zabiera Fredrika ze sobą do łazienki. Kiedy szukam dzbanka do espresso, przez ścianę słyszę ich głosy:

– Fredriku, jeśli nie umyjesz zębów, to wejdą w nie małe kariusy i baktusy i zrobią sobie domek.

– Ale ja lubię Kariusa i Baktusa. Chcę, żeby mieli domek.

– Tak, ale Fredriczku, wiesz przecież, że to nie jest dobre dla twoich zębów. Jeśli Karius i Baktus wybudują sobie w nich domek, zrobi się dziura.

Rozkręcam dzbanek do espresso, przesuwam stertę brudnych naczyń i zaczynam płukać części dzbanka pod kranem. Szukając kawy, zastanawiam się, dlaczego ona myje Fredrikowi zęby już teraz, ale po chwili domyślam się, że to musi być pierwsze mycie zębów tego dnia, bo Fredrik może kłaść się do łóżka tak późno, jak chce, i następnego dnia spać długo. Moje dzieci są przyzwyczajone do codziennego kładzenia się przed ósmą, dlatego co rano wstają koło siódmej. Znajduję kawę, wsypuję, skręcam dzbanek, ustawiam go na płycie i włączam palnik.

Kuchnia tonie w brudzie i bałaganie. Na podłodze jest mnóstwo okruchów, kłębków kurzu, plam, pustych kartonów po mleku i skorupek od jajek, które wypadły ze stojącego w rogu, przepełnionego worka na śmieci. Z łazienki dobiega kaskada śmiechu Fredrika.

Jak mogłam o tym wszystkim zapomnieć. Teraz już wiem, jak będzie wyglądał weekend – jedno dziecko zawsze na chodzie. Hege i ja nie będziemy miały okazji porozmawiać w spokoju przez dłużej niż minutę.

Jon i Astrid siedzą przy kuchennym stole i słuchają historii o Kariusie i Baktusie. Patrzą na siebie, potem na mnie i znowu na siebie. Byli tu już wcześniej, ale są za mali, żeby to pamiętać. Widzą, że się zmieniłam, że jestem tu inna niż zwykle. To sprawia, że stają się czujni, jak małe zwierzątka.

Nie powinnam była się na to zgodzić. Powinnam była powiedzieć, że mam plany, co zresztą było prawdą. W sobotę planowałam iść na spacer z przyjaciółką, w niedzielę rodzice Kjetila mieli przyjść do nas

na obiad. Moje życie nie jest złe. Jednak po telefonie Hege bez wahania odwołałam wszystkie spotkania, po prostu zadzwoniłam i odwołałam, powiedziałam, że zapomniałam, że byłam umówiona z Hege. To mało prawdopodobne, ale kiedy tylko wymieniłam jej imię, nie było żadnego problemu. Wszyscy wiedzą, że jesteśmy przyjaciółkami z dzieciństwa. U nas w korytarzu wisi nasze wspólne zdjęcie, moi goście zawsze się przy nim zatrzymują. To zdjęcie z rozdania nagród Amandy kilka lat temu, kiedy Hege powaliła wszystkich na kolana.

Nastawiam kawę i zabieram Jona i Astrid na wycieczkę dookoła mieszkania, pokazuję im statuetkę Oscara, stojącą na półce nad kominkiem. Zdejmujemy ją i oglądamy rysunki i obrazy, a także cały ten bałagan i poprzecierane meble. Na ścianach wiszą obrazy, które Hege dostała od znajomych. Jon i Astrid zaczynają czuć się bardziej swobodnie. Bawią się w zjeżdżanie na brzuchu z kanapy. Wracam do kuchni i zdejmuję kawę z palnika. W zlewie leży mały garnuszek, pamiętam, że to w nim podgrzewała mleko. Hege i Fredrik nadal siedzą w łazience.

– A kto myje zęby Kariusa i Baktusa? Kto buduje domki w zębach Kariusa i Baktusa? – słyszę rozbawiony głos Hege. Mówi powoli, spokojnie, nie spieszy jej się.

– Co ty mówisz, zęby Kariusa i Baktusa? Wiesz co, myślę, że oni nie mają zębów.

– W takim razie czym gryzą? Przecież lubią karmelki! To znaczy, że tylko je ssą?

– Nie wiem! Może mają sztuczne szczęki?

Oboje się śmieją. Są jak dwójka dzieci, która dobrze się bawi. Hege nie pozwala, żeby opór Fredrika przed myciem zębów wytrącił ją z równowagi, mimo że ja tu siedzę i czekam.

Mleko jest gotowe, ale nie widzę żadnych czystych kubków. Brudne naczynia są poustawiane w sterty na blacie kuchennym i na stole. Gumowe rękawiczki leżą w szafce pod blatem, podobnie jak płyn do mycia naczyń. Zanim zdążyłam się zastanowić, zabieram się za naczynia, przynajmniej za to, co stoi na blacie. Idzie prawie bez wysiłku. Ciepła woda przez gumowe rękawiczki, zapach płynu, czyszczenie tłuszczu i resztek jedzenia przy pomocy szczotki, wszystko to ko-

jąco wpływa na narastający we mnie niepokój. Po zaledwie kilku minutach szklanki, kubki, talerze, sztućce i garnki suszą się na ręczniku, a ścierka wisi na swoim miejscu, opłukana i wykręcona.

Mleko nadal jest ciepłe. Zdejmuję rękawiczki, kawę i mleko nalewam do dwóch kubków.

– Kawa gotowa – krzyczę w stronę łazienki.

W swoim głosie słyszę zniecierpliwienie, coś, co mówi: „Czy nie możecie już wyjść, musimy zaraz jechać, przecież tak się umówiłyśmy”.

W łazience zapada cisza, po chwili oboje zaczynają się śmiać. Po ich śmiechu poznaję, że o nas zapomnieli. Do cholery, zapomnieli, że tu jesteśmy.

Siadam przy stole i popijam kawę. Nienawidzę cię, szepcę sama do siebie. Nienawidzę cię. Kocham cię. Nienawidzę cię.

Kiedy w końcu schodzimy po schodach razem ze wszystkimi torbami, jest wpół do ósmej. W jednej z toreb są tylko książeczki z obrazkami. Hege nie może dźwigać – ostatnio nadwyrężyła plecy podczas kręcenia filmu i lekarz powiedział, że nie wolno jej podnosić nic cięższego od pomarańczy, więc muszę zrobić dwie rundy. Na zewnątrz jest ciemno. Kiedy schodzę na dół po raz ostatni, Hege stoi koło samochodu.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym usiadła z tyłu? – mówi. Jon siedzi już na przednim siedzeniu. Hege patrzy na mnie i dodaje: – Możemy przecież porozmawiać, jak dojedziemy na miejsce. Ostatnio prawie nie widziałam się z Fredrikiem.

Uśmiecham się i mówię:

– Tak, tak, oczywiście.

Jednocześnie staram się upchać na tyle samochodu torbę ze wszystkimi tymi książkami. Hege odwraca się i wyjmuje kilka z nich. Nie rozumiem, jak chce czytać, kiedy jest ciemno, ale nie myślę o tym więcej.

Zapinamy pasy i myślę: „Rozmawiałaś z Fredrikem przez wiele godzin, dyskutowaliście o tym, w co ma się ubrać, sześć razy zmieniałaś mu rajtuzy, bo albo drapały, albo kolor był nie taki, a kiedy stwierdził, że jest głodny, zrobiłaś mu cztery różne kanapki, ale nie

zjadł żadnej, a ty stałaś nad nim cały czas. Zrobiłaś owsiankę i kakao, a on nie chciał ani jednego, ani drugiego, mimo że Jon i Astrid jedli i pili”.

Kiedy jedziemy w dół w kierunku Majorstua, myślę o Hege na czerwonym dywanie podczas rozdania Oscarów. Macha do kamery chudą ręką. Wszystko, czego chcę, to jej światło, którym chcę oświetlić moje życie. Czego ja właściwie szukam? Czego szukam, czego oczekuję?

Tuż przed skrzyżowaniem na Majorstua Hege zapala światło.

– Hege, myślę, że musisz wyłączyć to światło.

– Co? Nie może być zapalone? Czemu nie?

– Widzisz, ono mnie oślepia.

Hege wyłącza światło i siada z powrotem na miejscu.

– Teraz nie mogę im czytać.

Przełykam ślinę.

– Jazda zajmie nam przecież tylko kilka godzin. Bo ja, widzisz, źle widzę w nocy, i kiedy światło jest zapalone, jest jeszcze gorzej, widzisz.

Widzisz, widzisz.

– Dobra.

Hege szepce coś do Fredrika, który zaczyna płakać. Po szeleście ubrań na tylnym siedzeniu orientuję się, że Hege przytula go do siebie. Fredrik szlocha w jej kurtkę, słychać stłumiony płacz. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że Jon i Astrid przez całe popołudnie nie odezwali się ani słowem. W drodze do Hege przekomarzali się i trajkotali jak zwykle, ale nie pamiętam, żeby powiedzieli chociaż jedno słowo od momentu, kiedy weszliśmy do jej mieszkania.

Mocno chwytam za kierownicę. Nawet nie wyjechaliśmy jeszcze z miasta, a ja już tęsknię za tym, żeby się napić, upić. Zupełnie zapomniałam, jak Hege obchodzi się Fredrikiem. A ja kupiłam tylko trzy butelki. Żeby to wytrzymać, będę potrzebować więcej.

Jedziemy w dół Bygdøy allé. Wycie Henrika przeszło w swego rodzaju syczenie. Raz na jakiś czas słychać pisk, jakby nie mógł oddychać.

– Hege, już włącz to światło. Powinnam dać radę. Cała droga jest przecież oświetlona.

Hege prostuje się, a syczenie Fredrika ustaje, jakby ktoś je uciął. Myślę sobie: „Ty mały gówniarzu. Zdemaskowałeś się”.

– Jesteś pewna?

– Tak, możesz włączyć. Przecież dzieci lubią, kiedy im się czyta.

Hege zapala światło i zaczyna czytać. Kiedy zatrzymujemy się na czerwonym świetle w pobliżu Sjølyst, widzę, jak pasażerowie w samochodzie obok przyglądają się Hege i całej reszcie, jak zbliżają się do siebie głowami i pokazują nas palcem.

Kiedy Hege czyta – jej głos unosi się i opada, słychać, że pracowała z aktorami – ja myślę o wszystkich tych wieczorach, kiedy czytałam dzieciom płaskim, bezbarwnym głosem. Zwykle po połowie strony zasypiałam z książką na głowie. Leżałam z dziećmi na podwójnym łóżku, a Kjetil był na dyżurze. Chrapałam.

Głęboki głos Hege wypełnia samochód, Jon i Astrid słuchają w napięciu.

W środku opowiadania Fredrik mówi:

– Mamo, nie chcę, żebyś więcej czytała.

Hege zamyka książkę.

– Chce ci się pić?

– Nie.

Hege zaczyna grzebać w torbie, która stoi między jej nogami.

– Ale mamo, mnie się nie chce pić.

– Musisz pić. Minęło dużo czasu, odkąd coś piłeś. Kurczę, zapomniałam butelki z wodą. Możemy zatrzymać się na następnej stacji benzynowej?

– Ale mamo, mnie się nie chce pić!

Fredrik kładzie się i z całej siły kopie w moje siedzenie, krzycząc:

– Nie chce mi się pić, nie chce mi się pić.

Nasz samochód jest stary, siedzenia są cienkie i zużyte, więc czuję jego kopnięcia na plecach.

– Fredrik – mówię – przestań, nie możesz mi przeszkadzać, kiedy prowadzę.

Fredrik przestaje kopać i znowu zaczyna płakać. Hege pochyla się w moją stronę i swoim ochrypłym głosem szepce mi prosto do ucha:

– Słuchaj, on jest tylko zmęczony. To był dla niego długi dzień.

Przytakuję. Hege odwraca się w stronę Fredrika.

– Mój Fredriczku, zaraz zatrzymamy się na stacji benzynowej i kupimy trochę wody, może dostaniesz loda, chcesz? Chcesz loda?

– Nie.

– Mamo, możemy dostać loda? – pytają chórem Jon i Astrid. – Możemy dostać loda?

Wciąż patrząc na jezdnię, odwracam głowę w stronę Hege i próbuję się uśmiechnąć.

– Widzisz, mamy taką zasadę…

Słowo „zasada” wymawiam w wyraźnym cudzysłowie, aby Hege zrozumiała, że nie traktuję tych zasad do końca serio. Fredrik może kłaść się spać, o której chce, i to on codziennie decyduje, co zjedzą na obiad. Obiad gotują przeważnie Fredrik z tatą, sami robią gniecione ziemniaki, wkładają je do rękawa cukierniczego i malują uśmiechy na talerzach. Ja nigdy tego nie robię z Jonem i Astrid, chociaż cały czas mam to w planie.

– Mamy taką zasadę, żeby nie zatrzymywać się, zanim dojedziemy.

– Ale mam ochotę na loda – mówi Fredrik.

Mówię dalej:

– Ale zasady są w końcu po to, żeby je łamać, a poza tym jest przecież piątek!

Słyszę, jak trzęsie mi się głos. Hege mówi:

– Słyszałeś Fredrik, jednak będą lody!

Pochyla się w moją stronę i szepcze:

– Dziękuję ci.

Zatrzymujemy się na stacji benzynowej. Hege bierze ze sobą dzieci i idą kupić lody, a ja w tym czasie tankuję z dystrybutora na kartę. Po chwili wychodzi, roześmiana, z dziećmi biegającymi wokół niej, a ja siedzę w samochodzie i patrzę na jej duże usta, regularne rysy, loki spadające na zieloną wojskową parkę, która kojarzy mi się z planem filmowym, znoszone dżinsy, chude nogi, wysokie kozaki. Patrzę, jak wygłupia się z dziećmi, tak jak mnie się nigdy nie chce: popycha je, łaskocze, śmieje się głośno.

Rozbawieni wsiadają do samochodu, odpakowują lody i zaczynają jeść. Upewniam się, że wszyscy mają zapięte pasy i podaję im plastikową torebkę na papierki po lodach.

– Matko, jestem zupełnie wykończona. Pracowałam dzień i noc, chyba przez sto lat.

– Nad czym ostatnio pracujesz?

– Nad reklamą.

W lusterku widzę, jak udaje, że wymiotuje. Jesteśmy z powrotem na drodze, dzieci są zajęte jedzeniem lodów.

– Reklama, czy to coś fajnego? – pytam.

– „Fajnego”. Nie, to nie jest bardzo fajne. To dziwkarstwo. Reklama to dziwkarstwo.

Fajne, myślę. Muszę przestać używać tego słowa.

– Mamo, co znaczy „dziwkarstwo”?

To głos Astrid. Hege wyjaśnia, liżąc loda:

– To znaczy sprzedawać swoją dupę. To znaczy być sprzedajką.

– Co to jest „sprzedajka”?

– Sprzedajka to osoba, która sprzedaje swoją dupę temu, kto da za nią najwięcej. Osoba, która wstaje codziennie rano, wychodzi, ściąga spodnie i krzyczy: „Chodź i kup, chodź i kup!”.

Wszyscy się śmieją.

– Dupa! – krzyczą Jon i Astrid. – Dupa!

Fredrik śmieje się tylko dlatego, że śmieją się też starsze dzieci, przyzwyczaił się, że matka mówi w ten sposób.

Uśmiecham się i kręcę głową, żeby dać Jonowi i Astrid znak, że to wyjątek, że nie będziemy więcej tak mówić.

Jest już dziewiąta. Nie dojedziemy przed jedenastą. Siedzę i zastanawiam się, czy to możliwe, żeby nie lubić dziecka. Albo raczej, czy można sobie na to pozwolić? Nie lubię tego dzieciaka, myślę, i natychmiast się strofuję: „Jesteś zazdrosna. Chcesz, żeby Hege traktowała cię tak, jak traktuje Fredrika. Chcesz, żeby cię pocieszyła. Nie, to nieprawda. To prawda, tego właśnie chcesz. To dlatego pojechałaś na tę wycieczkę. To dlatego wytrzymałaś to cholerne popołudnie z całym tym chaosem, który ona zawsze za sobą ciągnie”.

Zagłębiam się jeszcze bardziej w moje myśli: „Dobrze, ona przynosi ze sobą chaos, ale przynosi ze sobą też przygodę. Niesamowite jest już to, że można żyć tak jak ona”.

Mam ochotę zapytać, jaki film reklamowy zrobiła, może go widzieliśmy. Wiem, że za każdą reklamę dostaje górę pieniędzy i że Fredrik, Leif-Inge i ona często wydają prawie wszystko, a czasem wszystko na jeden weekend w Paryżu. Wynajmują pokój w Hôtel de Crillon i pozwalają, żeby obsługa hotelowa robiła za nich wszystko. Nawet gdybym się postarała, nie byłabym w stanie tak żyć – leżeć w Paryżu i obżerać się, zwłaszcza gdybym wiedziała, że moje mieszkanie wygląda jak stodoła, a sterta rachunków wciąż rośnie.

Jednak z wywiadów z nią wiem, że nie lubi, kiedy się ją o coś wypytuje. „Mężczyzna mojego życia", tak nazywa w nich Leifa-Inge. Moja ochrona przed szaleństwem. Szaleństwem, myślę. Jakim szaleństwem? W szkole umiała zrobić wszystko. Kiedy miała coś przeczytać, robiła to tak dobrze, jak nikt, nigdy nie była niezdarna, udawało jej się wszystko, za co się zabrała. Bez najmniejszego wysiłku dostawała najlepsze oceny. Tymczasem w wywiadach opowiada, że przez całą szkołę czuła się samotna i miała wrażenie, że nic jej nie wychodzi. Raz w jednym wywiadzie przeczytałam, że czuła się jak Marsjanin, który nie rozumiał, jak to jest być człowiekiem, i że to dlatego zaczęła pracę z filmem – żeby zbadać to poczucie wyobcowania. W wywiadach mówiła rzeczy, o których nigdy mi nie powiedziała.

W wywiadach może też powiedzieć, że przyjaźnie ją przytłaczają. Nie znosi oczekiwań, zobowiązań i szantażu emocjonalnego. Czytam wszystko, co o niej piszą. Brukowce kupuję tylko wtedy, kiedy jest w nich coś o niej, mimo że najczęściej jest to stek bzdur. Raz napisali, że była w związku ze Stellanem Skarsgårdem. A oni tylko pili razem kawę. Powiedziała mi później, że to było w Cannes, podczas festiwalu, i ktoś zrobił im zdjęcie.

Kiedy spytałam ją, jaki jest Stellan Skarsgård, zapytała mnie, co miałam na myśli.

– Jaką jest osobą? – sprecyzowałam.

– Jaką jest osobą? Tylko piliśmy kawę. Piliśmy kawę i rozmawialiśmy o filmie, który ja być może chciałam nakręcić i w którym on chciał zagrać, nic więcej. Wszyscy w tej branży tak robią i najczęściej nic z tego nie wychodzi. Stellan jest całkiem zwyczajny i miły. Nic specjalnego, poza tym, że jest dobry w tym, co robi. Więc kiedy

pytasz, jaki on jest, to właściwie nie wiem, co odpowiedzieć. Mogę na pewno powiedzieć, że jest miły. Ale dużo osób jest miłych.

Kiedy tak odpowiedziała, chciałam się zabić za to, że zadałam takie głupie pytanie. Ale w świecie, w którym żyję, przez większość czasu pozwala się gębie, żeby nadawała – gadanina płynie sama z siebie i nikt nikogo za to nie krytykuje. Muszę przez chwilę pobyć z Hege, żeby przyzwyczaić się do innego życia, takiego, w którym trzeba się zastanowić nad tym, co się chce powiedzieć. Jeśli człowiek zastanawia się wystarczająco długo, to możliwe, że postanowi się zamknąć albo będzie mówić o czymś innym. Gdybym wcześniej o tym pomyślała, zdałabym sobie sprawę, że kiedy zapytałam o Stellana Skarsgårda, chodziło mi tylko o plotki. Tak to jest być z Hege, człowiek dowiaduje się nowych rzeczy o samym sobie, nie zawsze są one pochlebne. Mimo wszystko wolę spędzić wieczór z Hege niż z kimś innym.

– Dlaczego do niej nie zadzwonisz? – mówi często Kjetil. – Dlaczego nie zadzwonisz i nie zapytasz, czy nie pójdzie z tobą na piwo? Jeśli masz ochotę z nią porozmawiać, nie musisz wszystkiego tak komplikować.

Dawno temu, kiedy robiła tylko krótkie metraże, ale już po tym, jak spotkała Leifa-Inge i zamieszkali razem, odwiedziłam ich. Zadzwonił telefon. Odebrał Leif-Inge, słyszałyśmy mamrotanie z korytarza, po czym wszedł do salonu, uderzając się słuchawką po szyi. Hege pokręciła głową, uniosła ręce przed siebie i wyszeptała: „Nie, nie, nie”, po czym Leif-Inge wrócił na korytarz i powiedział, że wydaje mu się, że ona właśnie wyszła, dziwne, bo przed chwilą tu była.

Usłyszałyśmy, jak odłożył słuchawkę. Odwróciłam się w stronę Hege.

– Co to było?

– A, to tylko wampir, tak ich nazywamy. Taki, co dzwoni tylko po to, żeby trajkotać. Leif-Inge zwykle odbiera telefony, żeby przesiewać wampiry.

Kim są te trajkoczące wampiry, chciałam zapytać, ale powstrzymałam się, bo od razu zrozumiałam, że sama byłam jednym z nich. Zawsze, kiedy dzwoniłam i Leif-Inge odpowiadał, że nie ma jej

w domu… Teraz zobaczyłam, jak wchodził do salonu i robił ten gest, a ja czekałam jak jakaś idiotka. Od tego czasu nigdy więcej do niej nie dzwoniłam, tylko czekałam, aż ona zadzwoni.

Kiedyś przeczytałam w jednym wywiadzie, że najgorsi są ludzie, którzy zawsze się z nią zgadzają. Nie podobało jej się, że wszyscy w Norwegii są tak mało asertywni. Dlatego kiedy następny raz się spotkałyśmy, próbowałam nie zgodzić się z czymś, co powiedziała, starałam się przedstawić przeciwne stanowisko, stawić jej opór, ale wtedy wszystko stało się takie dziwne, jakby skończyło się powietrze i wszystko się między nami zawaliło.

– Co za wspaniałe miejsce.

Hege chodzi w kółko po tarasie. Dzieciaki biegają po trawie, z krzykiem, mimo że jest już po jedenastej.

Hege przeciąga się, a ja wnoszę resztę bagaży. Podłączam lodówkę i wkładam do niej jedzenie, owoce układam na tacy w salonie, chleb w chlebaku, a suche produkty w szafce. W międzyczasie widzę przez okno, że Hege klęczy, podpierając się rękami, wygina plecy i kołysze się na boki.

– Chodź i poćwicz ze mną jogę – krzyczy przez szklane drzwi, ale tylko uśmiecham się i macham do niej. Jedyne, na co mam teraz ochotę, to włożyć ubrania do komody, ułożyć kosmetyki w łazience, szczoteczki w kubkach, a szampon pod prysznicem.

Gdy wszystko znajduje się na swoim miejscu, wychodzę do Hege. Leży teraz na brzuchu i podnosi na zmianę przeciwną rękę i nogę.

– To miejsce bardzo mnie inspiruje. Pójdziemy nad morze? Mam ochotę się przejść.

Mówi z twarzą skierowaną ku deskom w podłodze, jednocześnie unosi lewą rękę i prawą nogę, prawą rękę i lewą nogę.

– Mój boże, pod spodem jest zupełnie inny świat. Myślisz, że tu są borsuki? Byłoby fantastycznie, gdyby Fredrik mógł zobaczyć borsuka.

Stoję przed nią i chcę powiedzieć, co myślę o spacerze. Chcę powiedzieć, że dzieci może powinny być już w łóżku.

Zamiast tego pytam:

– Widzisz coś teraz, po ciemku?

– Jasne, widzę mnóstwo rzeczy. Tu pod spodem jest zupełnie inna kraina. Kraina podziemi.

Wstaje.

– Idziemy? Idziemy na wyprawę? Nie myślisz, że teraz, w ciemności, morze musi być zniewalające?

Hege jest jedyną osobą, jaką znam, w której ustach słowo „zniewalające” nie brzmi dziwnie.

– Jestem trochę zmęczona jazdą, myślę, że nie dam rady. Ale może pójdziecie beze mnie?

Nawet nie wspominam, że zbliża się północ i dzieciaki powinny od kilku godzin leżeć w łóżkach. Jedyną rzeczą, o której teraz myślę, są butelki z winem stojące na kuchennym blacie.

– Kto chce iść na wyprawę? – krzyczy Hege i dzieci biegiem zjawiają się przy niej.

Hege ponownie odwraca się w moją stronę.

– Na pewno nie masz nic przeciwko temu, żebym zabrała dzieci nad morze? Nie będzie nas najwyżej pół godziny.

– Nie, oczywiście, że nie. Zrobię w tym czasie kanapki.

Wyciągam chleb i nóż i zaczynam kroić. Chcę, żeby jedzenie było gotowe, zanim zacznę pić.

Hege nadal stoi przede mną.

– Jesteś pewna, że możemy iść? Fredrik tak bardzo chce zobaczyć morze.

– Oczywiście, że możecie, czasem lubię pobyć sama.

Wymknęło mi się, zanim zdążyłam się zastanowić. Jestem zbyt zajęta krojeniem chleba, żeby myśleć, co mówię. Hege uśmiecha się, marszcząc brwi. To jedna z jej specjalnych min, którą pamiętam jeszcze z gimnazjum, mina mówiąca: „Aha?”. Rozumiem, dziwi się, że chcę mieć wolne od dzieci, bo ona sama cieszy się każdą minutą spędzoną z Fredrikiem, tak zresztą mówi w wywiadach: „Lubię robić filmy, ale kocham mojego syna. Kocham biegać z nim po parku, baraszkować w liściach. Mieć ze sobą kakao w termosie”.

Dla niej to forma spędzania wolnego czasu, myślę sobie, nie przerywając krojenia. Słyszę, jak Hege wychodzi na taras. Jakby Fredrik był rozrywką, którą człowiek umila sobie czas pod koniec dnia. Czymś, czym można się pobawić.

A przecież kiedy czytam te wywiady, chcę być taka jak ona. Stojąc tak w kuchni, myślę: „Teraz masz szansę, odłóż nóż, idź razem z nimi nad morze”.

Ale nie mam ochoty. Z przyjemnością słyszę, jak ich głosy cichną.

– Kto pieeeeeerwszyyyyyyy! – dobiega mnie krzyk Hege.

Dzieci śmieją się i krzyczą.

Po zapełnieniu tacy kanapkami sprzątam z blatu i otwieram butelkę, która wygląda najdrożej. Nalewam wino do kuchennej szklanki. Na zewnątrz zrywa się wiatr. Na stole leży zeszłoroczne „Życie na gorąco”, przeglądam je, pijąc wino. W jednym miejscu jest zdjęcie Hege i Fredrika, to z premiery *Harry'ego Pottera*. Trzema, czterema dużymi łykami wypijam całą szklankę i czuję, jak wino rozchodzi się po ciele. Gazetę czytam od deski do deski, czytam absolutnie każdy artykuł, nawet te o ludziach, o których nigdy nie słyszałam.

Za chwilę wypiję dwie trzecie butelki. Zbliża się pierwsza. Na zewnątrz wieje silny wiatr, uginają się pod nim sosny. Szukam telefonu i dzwonię do Hege. W pokoju obok odzywa się dzwonek, jej komórka leży na łóżku – świeci się i gra melodię z opery mydlanej, której kilka odcinków Hege kiedyś wyreżyserowała. To taki żart, bo telewizja w końcu odmówiła emisji tych odcinków. Hege dołożyła pełno rzeczy od siebie i powiedziała o tym dopiero, gdy było za późno. Wszyscy aktorzy na to poszli, ale to ona została pociągnięta do odpowiedzialności i skończyło się na procesie o odszkodowanie, na które została w końcu skazana.

Wracam do dużego pokoju i myślę o utonięciach, wypadkach, o ludziach, którzy spadli z morskiej skały, o seryjnych mordercach, którzy uciekli z domu wariatów. Widzę to wszystko w najdrobniejszych szczegółach, stoję pośrodku pokoju i zakrywam twarz rękami. „Nie, nie, nie. Wiesz przecież, jaka jest Hege” – mówię do siebie. Zawsze się spóźnia. Zawsze tak było.

Kiedyś, wiele lat temu, Hege zaprosiła mnie do siebie na obiad.

– Przyjdź o wpół do ósmej – powiedziała, i mimo że przyszłam dopiero o ósmej, była jeszcze pod prysznicem.

Otworzył mi Leif-Inge i powiedział w tym swoim staroświeckim stylu, lekko się kłaniając:

– Gospodyni jest niestety niedysponowana, ale ja z radością dotrzymam wam towarzystwa, do czasu, kiedy ta skończy swoją wieczorną toaletę. Czy podać drinka?

Zaśmiałam się, mimo że w jego obecności robiłam się nerwowa, i to nie tylko dlatego, że był pisarzem. Zawsze miałam przeczucie, że on cały czas tylko starał się wytrzymać. Albo życie samo w sobie, albo tylko moje towarzystwo. Zawsze robił, co mógł. Mimo że świat był pełen absurdów i stale żądano od niego absurdalnych rzeczy, takich jak dotrzymywanie mi towarzystwa, on zawsze robił, co mógł.

Usiedliśmy w kuchni i Leif-Inge nalał mi wódki z sokiem pomarańczowym. Zapytał, co u mnie, jak mi idzie w pracy, a kiedy zaczęłam opowiadać, zadawał pytania i uważnie mnie słuchał, jakby wszystko, co mówiłam, było interesujące. Jeśli ja go o coś zapytałam, odpowiadał krótko, jakby w porównaniu z moim jego życie było nieciekawe, mimo że on był pisarzem, a ja dziennikarką. Gdy pytał, o czym obecnie piszę, opowiadałam. Nigdy jednak nie chciał mówić o swoim pisarstwie, a ja przestałam pytać. Przez cały czas wiedziałam, że tylko czekał, aż Hege wyjdzie spod prysznica, żeby mógł wstać i sobie pójść. Miałam dziwne przeczucie, że był świadomy tego, że ja wiedziałam, że on tylko starał się wytrzymać. Mimo to nie przestawał. Ale ponieważ piłam na pusty żołądek, ta kwestia zeszła na drugi plan. Leif-Inge był dobrym słuchaczem. Śmiał się, kiedy usiłowałam być zabawna. Jednak za ciepłem płynącym z wódki cały czas kryło się wrażenie, że jego śmiech mógł nagle się urwać, że mógł spoważnieć w ciągu sekundy.

Po chwili Hege wyszła z łazienki, ubrana w szlafrok, z ręcznikiem zawiniętym na głowie. Wyglądała dokładnie tak, jak dzisiaj zaledwie kilka godzin temu. A ja siedzę tu i czekam.

Uścisnęła mnie i zaczęła wyciągać różne rzeczy z zamrażarki. Wyłożyła na blat kilka torebek z mrożonkami, po czym wróciła do łazienki na kolejne pół godziny. Suszyła włosy i malowała się, podczas gdy ja siedziałam i upijałam się jeszcze bardziej, a jedzenie, które miałyśmy zjeść, leżało i rozmrażało się na blacie. Do dziś nie mogę zrozumieć, że ona, która w wywiadach zawsze opowiada, jak bardzo jest wrażliwa i jak ciężko jest jej z tym żyć, pozwala sobie na rzeczy, których ja nie byłabym w stanie zrobić, nawet gdybym się postarała.

Kiedy zapraszam gości na kolację, wszystko jest gotowe, zanim oni przyjdą. Często siedzę i czekam, wystrojona i gotowa, a dzieci od dawna leżą w łóżkach.

Gdy tylko Hege weszła do kuchni, Leif-Inge podniósł się, mimo że mówiłam właśnie o tym albo o owym. Hege pogłaskała go po ramieniu i wyszeptała:

– Dziękuję ci.

– W tej sytuacji oddalam się – powiedział Leif-Inge, po czym ponownie mi się ukłonił i poszedł do sypialni, gdzie pisał.

Byłam tak pijana, że nie czułam już głodu. Leif-Inge napełnił moją szklankę trzy, cztery razy, i dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że sam nic nie wypił.

Chodzę po domku ze szklanką w ręku, nie jestem w stanie usiedzieć spokojnie. Ser na kanapkach zaczął się pocić. Kiedy chcę sobie dolać wina, okazuje się, że butelka jest już pusta. Wypiłam całą butelkę, ale nie czuję się ani trochę pijana, więc wyciągam następną. Zawsze mogę udawać, że miałyśmy tylko dwie butelki. Pustą butelkę chowam za koszem na śmieci, tak jak inny alkohol.

Po chwili słyszę, że wracają. Idą drogą, krzyczą, z łomotem wchodzą po schodach. Czuję ogromną ulgę. Muszę usiąść na krześle, ale za moment wstaję i idę do kuchni. Dzieci właśnie wbiegają do środka.

– Mamo, widzieliśmy renifera!

Hege śmieje się. Wchodzi do kuchni, prowadząc Fredrika za rękę.

– Nie renifera! Sarnę! Widzieliśmy sarnę! Czy jak to się nazywa. Ale to na pewno nie był renifer. To było takie zwierzątko jak Bambi.

– Widzieliśmy Bambi! Widzieliśmy Bambi!

Jon i Astrid znikają w sypialni i wywracają wszystko w szafach w poszukiwaniu starych komiksów, które leżą tam od czasów mojego dzieciństwa. Zachowują się, jakby był środek dnia. Fredrik idzie za nimi.

Hege zauważa kanapki.

– O rany, ale się spisałaś!

Bierze tacę do salonu.

Nie wspominam, że nie było ich trzy razy dłużej, niż się umawiałyśmy. W jednym z wywiadów powiedziała, że nie znosi krytyki, bo jest bezwzględna sama dla siebie, i kiedy do tego dochodzą krytyczne głosy z zewnątrz, totalnie się załamuje: „Mam tendencję do wyolbrzymiania małych, niewinnych rzeczy. Nigdy nie czytam recenzji". Ale, myślę, dlaczego nie było cię trzy razy dłużej, niż powiedziałaś, dlaczego nie pilnujesz czasu? Jakim cudem udało ci się wystąpić przeciwko tej wielkiej spółce telewizyjnej i stawiać się na rozprawach sądowych, jeśli wszystko wyolbrzymiasz?

To dlatego, że łżesz. Dlatego, że wcale nie jesteś taka wrażliwa. Dlatego, że jesteś ze stali.

– Napijesz się wina? Właśnie otworzyłam butelkę.

„To nie jest kłamstwo" – myślę. Przecież właśnie otworzyłam butelkę. Hege waha się przez chwilę, po czym bierze ode mnie szklankę.

– Właściwe nie mam zwyczaju pić przed położeniem Fredrika do łóżka, ale teraz jesteś też ty. To tylko tak na wszelki wypadek.

Hege nie wie, że już wlałam w siebie całą butelkę. A co, jeśli dzieciom coś się stanie? Hege nie ma prawa jazdy. Telefony komórkowe. Mamy telefony komórkowe. I czy nie ma zasady, że w sytuacji kryzysowej dozwolona jest jazda pod wpływem alkoholu? Widzę przed sobą tę ciemną żwirową drogę prowadzącą do drogi głównej. Znam ją na pamięć. Na myśl o niej mam ochotę odjechać stąd już teraz. Wziąć ze sobą Jona i Astrid i po prostu pojechać, bez pakowania. Po prostu sobie pojechać.

– Na zdrowie! – Hege bierze ostrożny łyk.

Stawia szklankę na stole i częstuje się kanapką. Nie skończyła jeszcze żuć pierwszego kęsa, a z sypialni już słychać krzyk Fredrika. Astrid wbiega do pokoju, Hege przechodzi obok niej i idzie do Fredrika.

– Fredriczku, mój najdroższy, jesteś smutny? Co się stało?

Astrid stoi przede mną, jest rozemocjonowana.

– Mamo, on drze komiksy! On drze twoje stare komiksy!

Wstaję i po raz pierwszy tego wieczoru naprawdę czuję, że alkohol na mnie działa. Astrid idzie za mną, z wyrazem twarzy pełnym wyczekiwania, który pojawia się u dzieci, kiedy inne dziecko coś na-

broiło i czeka je kara. W sypialni Fredrik leży na kolanach Hege i wrzeszczy wniebogłosy. Jon chodzi w kółko i zbiera porwane strony moich starych Donaldów. Patrzy na mnie z tym samym wyrazem twarzy, co Astrid, oburzonym i wyczekującym.

– Wygląda na to, że doszło tu do konfliktu – mówi Hege, z twarzą zanurzoną we włosach Fredrika.

Jon wskazuje na Fredrika:

– Przecież daliśmy mu jeden komiks, ale on cały czas chciał ten, który my mieliśmy! I kiedy go nie dostał, zaczął drzeć ten, który dostał! A ty powiedziałaś, że mamy brać tylko jeden komiks na raz! Potem zaczął drzeć inne komiksy! Jest zupełnie zwariowany!

Przy ostatnim słowie Hege podniosła głowę. Najpierw spojrzała na Jona, a potem na mnie.

– Jon, nie można tak mówić – wyduszam z siebie, ale nie jestem w stanie powiedzieć tego z przekonaniem.

– Ale ty powiedziałaś, że nie wolno nam czytać więcej niż jednego komiksu na raz – mówi Astrid, która stoi zaraz za mną. – Ty tak powiedziałaś. A on chciał dostać wszystkie! Chciał wszystkie komiksy tylko dla siebie!

Kucam przed nimi, kładę jedną rękę na ramieniu Astrid, a drugą na ramieniu Jona, i patrzę im w oczy.

– Musicie pamiętać, że Fredrik jest od was młodszy. A do tego was jest dwójka, a on jest sam. Nie jest mu tak łatwo.

Hege siedzi u Fredrika. Zjedliśmy, Jon i Astrid śpią. Słyszę, jak Hege śpiewa i gawędzi ze swoim synkiem, a ja siedzę tu sama, wypiłam prawie dwie butelki wina.

Szklanka Hege stoi prawie nietknięta. Hege wypiła dwa łyki, ja wypiłam dwie butelki. Moja szklanka jest tłusta i brudna, jej – świecąca i nienaruszona. Dlaczego nie pije więcej? To ona powiedziała, że miałyśmy „siedzieć przed kominkiem, popijając czerwone wino”. Powiedziała to przez telefon. O, będzie tak wspaniale, tylko ty, ja i dzieci, będziemy siedzieć przed kominkiem, popijając czerwone wino. I ja, która sobie to wszystko wyobraziłam, biegałam z językiem wywalonym na wierzch, kupiłam wino, jedzenie, zatankowałam paliwo.

Siedzę na sofie i widzę swoje odbicie w dużych, ciemnych oknach wychodzących na morze. Słucham, jak Hege śpiewa kołysankę Byssan, śpiewa wszystkie zwrotki, po szwedzku.

„Hege, to nie ty jesteś z Marsa” – myślę. Poruszasz się w tym społeczeństwie jak ryba w wodzie, dostajesz nagrody, jesteś popularna i ludzie ci zazdroszczą. Dobrze się tu czujesz. Robisz coś sensownego, znalazłaś swój język, znalazłaś sobie miejsce w świecie, robisz dokładnie to, co chcesz. Należysz do tego świata jak nikt inny. Stoisz w łazience, suszysz włosy i malujesz się, kiedy ja siedzę w kuchni i czekam. A potem mówisz, że jesteś z Marsa. Przecież ty rządzisz światem. Dostałaś Oscara za najlepszy film zagraniczny, a potem mówisz, że czujesz się, jakbyś była z Marsa. Ale nie jesteś. To ja jestem z Marsa. Nigdy nie czułam się dobrze na tej planecie, ale w moim przypadku to poważna sprawa.

Jest wpół do trzeciej.

Drzwi do jednej z sypialni otwierają się ostrożnie. Hege wychodzi ukradkiem, po cichu zamyka drzwi. Siada na kanapie i wzdycha. Przełykam ślinę, nadal podniecona tym obiadem sprzed lat i Fredrikiem, który porwał na strzępy moje stare komiksy. Jednak czuję, jak to uczucie powoli się ulatnia.

– Czyli męczysz się teraz nad reklamą? – mówię, żeby jakoś zacząć.

Hege przeciera oczy. Kiedy na mnie patrzy, wokół jej oczu zauważam czerwone obwódki. Widzę, że się postarzała, i cieszy mnie to.

– Co?

– Wykańczasz się przy reklamie. W samochodzie powiedziałaś, że jesteś zupełnie wyczerpana.

– He?

Kręci głową.

– Sorry. Jestem taka zmęczona. Tak. Reklama. Tak, pracuję ostatnio przy reklamie, zgadza się.

Zaciska powieki, jakby starała się coś sobie przypomnieć.

– Pracuję nad reklamą, bo dobrze płacą, ale potem orientuję się, że to pułapka.

Jeszcze przez chwilę przeciera oczy, po czym kładzie ręce na kolanach i patrzy na nie, recytując:

– Godzę się na robienie filmów reklamowych, żeby mieć pieniądze na inne projekty, a do tego mam przecież tę sprawę o odszkodowanie, i kiedy w końcu mam pieniądze na inne projekty, jestem zbyt zmęczona, żeby zabrać się za coś porządnego, a czas leci. Potem muszę tak czy inaczej znowu kręcić reklamę, żeby mieć pieniądze na odszkodowanie, i do tego na czynsz, bo w końcu jestem głównym żywicielem rodziny… Au!

Łapie się za głowę.

– Co się stało?

– Czasami łapie mnie potworny ból głowy, jakby ktoś walił mnie młotkiem. Nie wiem, co… Au!

Podnoszę się.

– Znajdę jakiś paracetamol. Myślę, że powinien leżeć w szafce z lekarstwami.

– Nie, nie wstawaj, paracetamol nie pomaga. Muszę się po prostu na chwilę położyć. Mogę na kanapie?

– Tak, oczywiście – mówię, po czym podnoszę się i siadam na krześle, a ona kładzie się na kanapie. Jest tak wysoka, że nogi wiszą jej za oparciem.

– Właśnie tak. A teraz muszę rozluźnić twarz. Dokładnie tak. Teraz jest dobrze. Nie masz nic przeciwko temu, że leżę, prawda? Mów dalej. Albo nie, to przecież ja mówiłam. Na czym to skończyłam? A, główny żywiciel rodziny. Jestem przecież głównym żywicielem rodziny i czasami chciałabym, żeby Leif-Inge napisał bestseller. Tylko jeden bestseller, a potem może wrócić do tych swoich trudnych książek. Słyszysz, jak dziwnie mówię, to dlatego, że mówię z całkiem rozluźnionymi ustami. Teraz ty musisz trochę poopowiadać. Powiedz, co u ciebie. Jak się układa między tobą a Kjetilem?

Zamyka oczy i masuje się po skroniach. Mam zamiar zacząć opowiadać o Kjetilu, o tym, że ze sobą nie śpimy, że niezależnie od tego, ile jest zamieszania przy dzieciach, on i tak zawsze daje radę wyjść na swoje codzienne bieganie, na to pieprzone codzienne bieganie, ale mam tego dość. Jeszcze zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć i kiedy tak myślę – a moje myśli są takie proste i powolne – Hege znowu zaczyna mówić.

– To musi być wspaniałe, mieć męża, który zarabia pieniądze, który ma porządną pracę. Leif-Inge jest niesamowity, jeśli chodzi o prace domowe i Fredrika, ale czasami chciałabym, żeby był bardziej tradycyjny, żeby mu przeszkadzało to, że ja biorę na siebie kwestie finansowe. Rozumiesz, o co mi chodzi? Boże, jak tu cicho i wspaniale. Szczęściarze z was, że macie to miejsce. Czuję się tak cudownie senna. Morskie powietrze. Myślę, że dziś w nocy będę spała. Myślę, że będę spała jak kamień. Oby tylko Fredrik spał spokojnie. Ostatnio jest taki niespokojny, to dlatego, że ja tyle pracuję. Powinien mieć rodzeństwo. Ale opowiadaj. Opowiedz mi o twoim życiu. Minęło przecież sto lat, od kiedy ostatnio się widziałyśmy.

Biorę duży łyk i wiem, że jeśli wkrótce czegoś nie powiem, to zacznę beczeć. Coś mnie wypełnia, jak woda, która gdy się podnosi, wyrzuca emocje na zewnątrz. Robię głęboki wdech. Zbieram wszystkie siły i w końcu ryzykuję, pozwalam głosowi, żeby mnie prowadził.

– A tam. Szara codzienność, marudzenie, sprawy finansowe, małe kłótnie, wszystkie te rzeczy. Tak to właśnie jest.

Hege wzdycha i wyciąga się.

– Może się zdziwisz, ale zazdroszczę ci normalnego życia. Zazdroszczę ci, że możesz iść do pracy, skończyć i wrócić do domu. Mieć wolne. Naprawdę ci zazdroszczę.

Dolewam sobie wina. Nie pytam Hege, czy chce. Ona leży na kanapie i jest tylko lalką. Chudą lalką z długimi kręconymi włosami. A ja jestem zupełnie sama. Po chwili otwieram trzecią butelkę, chwiejnym krokiem wychodzę do kuchni, nie zastanawiając się nad tym, że Hege może zobaczyć, jaka jestem pijana. Akurat, kiedy stoję w kuchni i wyciągam korek, do salonu wchodzi Fredrik, pochlipując po cichu. Hege wstaje i idzie z nim do sypialni. Macha do mnie na dobranoc, po czym zamyka drzwi.

Resztę nocy spędzam, siedząc i gapiąc się na swoje odbicie w szybie. Kim ja właściwie jestem? Wpadam w karuzelę pijackich myśli, które krążą wokół tego, że jestem tą, która siedzi tu i zastanawia się, kim właściwie jest, i czy w ogóle istnieje, a potem jestem tą, która myśli, o tym, że jest tą, która siedzi tu i myśli, a potem jest tą, która myśli, że ja myślę, że jestem tą, która siedzi tu i myśli i… Siedzę tak, aż robi się jasno i moje odbicie w szybie znika, widzę już tyl-

ko nadmorskie sosny, stoją i uginają się, i uginają się, jednocześnie wbijając się pazurami w małe skrawki ziemi między skałami.

przełożyła Anna Schmidt

Christer Mjåset

Najstarszy mężczyzna Świata

Powiedział, że nie potrzebuje więcej czasu, i przewrócił się na drugi bok.

Line Selmer rozmyśla o tym, stojąc oparta o ścianę na porannym zebraniu i przymierzając się do sprawozdania z dyżuru. Oczami wyobraźni widzi Oscara Wiborga zwróconego do niej plecami. Kręgi zgiętego kręgosłupa napinają się pod skórą jak kolce. Powiedziała mu właśnie o masywnych przerzutach. Odparł, że nie trzeba mu więcej czasu. Powinnam go była wtedy zapytać, myśli. Co decyduje o tym, ile czasu potrzebuje człowiek?

– Pacjent urodził się w dziewięćdziesiątym trzecim – zaczyna i dodaje – mężczyzna…

Ktoś jej przerywa:

– Mężczyzna? – to ordynator oddziału urologicznego, Leif Hahne. Śmieje się głośno i gromko. – Urodził się w dziewięćdziesiątym trzecim i już z niego mężczyzna?

Przez nazbyt ciasny pokój przetacza się fala śmiechu. Gastrochirurdzy, chirurdzy naczyniowi i urolodzy siedzą lub stoją wokół podłużnego stołu znajdującego się na środku pomieszczenia. Zaledwie parę minut po rozpoczęciu spotkania powietrze jest już stężałe i ciężkie.

– Przepraszam – mówi Line, myśląc przy tym, że nie ma za co przepraszać. Przynajmniej nie jego. – Rok 1893. Pacjent ma sto jedenaście lat.

Hahne krzyżuje ramiona na piersi, a głosy w pokoju brzęczą jak stado os.

Ktoś powtarza:

– Sto jedenaście lat?

Ktoś się śmieje:

– Jeszcze jeden do kolekcji!

– Ci pacjenci robią się starsi i starsi.

– Niedługo będziemy domem starców!

Komentarzom nie ma końca. W pokoju zebrań mogą się zachowywać, jak chcą, myśli Line. Nikt ich nie widzi ani nie słyszy. Prostuje się, ociężała po długim dyżurze. Tej nocy brała udział w trzech operacjach. Tylko godzina drogocennego snu. Przygląda się ciężkim płatkom śniegu padającym za oknem. I znów na myśl przychodzi jej to słowo. Czas. Potem mówi:

– Pacjenta przyjęto najpierw z powodu zapalenia płuc, jakiś tydzień temu. Interniści wykryli u niego raka prostaty i przenieśli go do nas.

– Oczekują, że będziemy go leczyć, czy jak?

To znowu Hahne. Zerka na nią. Line czeka na zwyczajową reprymendę i przypomnienie o tym, że powinna być ostrzejsza wobec internistów na dyżurze, że powinna była nie przyjmować pacjenta i powiedzieć im, żeby starali się o konsultację chirurgiczną, ale Hahne tylko rozkłada ręce i mówi:

– Na internie najwyraźniej nie chcą już dać człowiekowi umrzeć naturalnie.

Ponownie odzywa się chóralny śmiech. Gdy cichnie, pojawiają się kolejne komentarze. Line bierze głęboki oddech i podnosi głos, by zagłuszyć gadaninę w pokoju.

– Nie musimy go leczyć. Pacjent wyraził życzenie, by przestać.

Natychmiast zapada cisza. Line czuje się jak nauczycielka naprzeciwko uczniów. Widzi podniesioną rękę.

– A jak jest z jego zapaleniem płuc? – pyta grzecznie lekarz.

– Tak, i z jego stanem ogólnym? – odzywa się inny.

Pada więcej pytań, następują tuż po sobie. Line jest zbyt zmęczona, żeby odpowiedzieć na wszystkie. Zaczyna po prostu mówić, opowiada, że ostatnie zdjęcie rentgenowskie pokazało pełny nawrót zapalenia płuc, że pacjent ma masywne przerzuty raka do płuc, ale że zakończono podawanie penicyliny.

– Jak na swój wiek, pacjent ma się dobrze – ciągnie. – Pomimo raka prostaty nie dolega mu zbytnio retencja moczu i jak dotąd nie

wydaje się, żeby nerki były uszkodzone. Serce też działa prawidłowo.

Line zerka z ukosa na Hahnego. Ostatnie zdanie jest przeznaczone dla niego. Musiał zrozumieć, bo nie podnosi głowy. Niecierpliwie kręci obrączką, nieprzerwanie przesuwając ją po palcu w górę i w dół.

– Czy pacjent leczy się na raka? – pyta jeden z urologów. – I dlaczego nie słyszeliśmy o nim wcześniej?

– Dlatego, że nie był u lekarza – odpowiada Line. – Radził sobie głównie sam, z pomocą sąsiada. I nie, nie podejmowano żadnych działań w związku z jego rakiem, ani chirugicznych, ani chemicznych.

– W takim razie powinno się przynajmniej usunąć mu jądra.

– Wyraził życzenie, aby zaprzestano leczenia – przerywa Hahne. – Musimy to uszanować.

– To złagodzi ból. Poziom hormonów spadnie niemal natychmiast po kastracji i sprawi, że pacjent poczuje się dużo lepiej.

Hahne oddycha ciężko, jeden raz, po czym kieruje uwagę na stażystę, który odbył dyżur pod zwierzchnictwem Line.

– Więcej pacjentów?

Stażysta zaczyna nerwowo przerzucać papiery, zanim jednak zdąży otworzyć usta, przerywa mu ordynator Olstad.

– Hahne, teraz to już jesteś dziecinny. Z czysto etycznego punktu widzenia to ważna sprawa.

– Z tego, co wiem, nie pracujesz na oddziale urologicznym?

– A tobie co? Znowu żona zaczęła ci włazić na głowę? – Olstad rozpiera się na krześle z szyderczym uśmiechem.

Pozostała część zgromadzonych tym razem nie odważa się roześmiać. Wymieniają między sobą wyczekujące spojrzenia. Hahne zgina kark i wbija wzrok w blat.

– Ryzykownie jest kroić człowieka tak posuniętego w latach – mamrocze stłumionym głosem.

– To standardowa procedura. Da się ją przeprowadzić pod znieczuleniem miejscowym.

– Ryzykować śmiercią dla odroczenia śmierci?

– Czy nie tym się tu zajmujemy? – Olstad ze zdziwieniem rozgląda się wokół.

– Ile lat ma właściwie najstarszy mężczyzna świata? – to jeden z młodych asystentów Olstada. Patrzy pytająco na Line, jakby powinna znać odpowiedź.

Hahne wzdycha ciężko.

– A jakie to ma znaczenie?

– Gdyby to był nasz człowiek, mógłby stanowić dobrą reklamę dla oddziału. Wyobraź sobie nagłówki gazet: „Oddział urologiczny leczy najstarszego mężczyznę świata”.

– O ile naprawdę jest najstarszy – odwarkuje Hahne.

– W obecnej sytuacji wszystko może pomóc. Zanim się obejrzymy, urologię spotka tu taki sam los, jak ginekologię.

– Nie zlikwidują naszego oddziału – mówi Hahne ponuro. – Nie ma ku temu powodów.

– Jak już wspominałam, pacjent wyraził życzenie, by go nie leczyć – odzywa się Line.

Wie, że takie dyskusje mogą być czasochłonne. A jest zmęczona. Chce po prostu iść do domu i położyć się spać. Zauważa wdzięczne spojrzenie, jakie posyła jej Hahne. Na jego ustach rysuje się nikły uśmieszek. Już dawno tak się do niej nie uśmiechał.

– Coś więcej?

Hahne prostuje się na krześle, spoglądając na dyżurującego stażystę. Młody mężczyzna bez słowa potrząsa głową.

– Dobrze, no to dalej do rentgena, ludzie!

Line stoi w tłoku przed drzwiami. Nie ma siły przecisnąć się naprzód. Teraz pójdzie do domu, myśli. Zagrzebie się pod kołdrą i odpłynie. Pozwoli, aby czas zniknął. W korytarzu czuje, że ktoś skubie ją w kark. Z początku nie odwraca się, ale na dźwięk swojego imienia czuje się zmuszona, by się zatrzymać. Hahne zrównuje z nią kroku. Przyjaźnie unosi brwi.

– Cześć – mówi. – Dobrze mieć cię z powrotem. Już lepiej?

– O tak. Dyżur był w porządku – odpowiada Line, myśląc: „Skąd ta nagła życzliwość?”.

Zostają sami w korytarzu. Flota białych kitlów znika na rogu i kieruje się w stronę schodów. Line zaczyna iść, wolno. Hahne jej towarzyszy, nie spieszy za innymi, mimo że przyzwyczaił się przewodniczyć w stadzie.

– Myślałem raczej o tym, jak tobie się wiedzie – mówi.

Teraz, gdy kolegów już nie ma, może sobie pozwolić na bardziej osobisty ton.

– Dobrze. Po prostu dobrze.

– Martwimy się o ciebie, no wiesz.

Hahne uśmiecha się, a ona przez moment zastanawia się, czy nie powinna powiedzieć mu prawdy. Potem jednak widzi w duchu Wiborga i myśli o czasie, jaki jej pozostał.

– Nie ma się czym martwić – mówi, kiedy wchodzą na schody.

Schodzą dwa piętra w dół. Z tyłu dobiega ją dźwięk kroków Hahnego. Line zwalnia umyślnie, ale on nie próbuje jej wyprzedzić. W przedziwny sposób ją to cieszy.

– *À propos* – odzywa się Hahne, zatrzymując ją przed wejściem do auli na oddziale rentgenowskim.

Jej ręka spoczywa na klamce. Spotkanie już się zaczęło. Śpiewny głos rentgenologa łagodnie przenika przez drzwi.

– Tak?

Line odwraca się i patrzy mu wprost w zmęczone oczy. Hahne przytrzymuje jej spojrzenie, co zmusza ją do odwrócenia wzroku, mimo że tego nie chce.

– Wiem, że miałaś forsowny dyżur, ale czy nie mogłabyś odwiedzić pacjentów? Tak niewielu tu dzisiaj urologów. Zwolnienia i kursy. Sama wiesz, jak jest.

Line czuje, jak rozczarowanie powoli rozlewa się po całym jej ciele. Hahne zawsze wie, jak ją przekonać. Dawno już go przejrzała, ale to na niewiele się zdaje.

– Dobrze – przytakuje, a wtedy on pochyla się i krótko całuje ją w usta. Jest za szybki, żeby zdążyła się przed tym uchronić. Niegroźny pocałunek, myśli, dopóki w pobliżu nie ma żadnych świadków.

– Nie ma żadnej rodziny – mówi pielęgniarka. Siedzi z Line nad wykresami Wiborga, które leżą przed nimi na stole. – Podobno jego brat mieszka na północy kraju, ale już jakiś czas nie mieli ze sobą kontaktu. Nie jest wcale pewne, czy żyje.

– Żadnych dzieci? – pyta Line.

Przesuwa palcem po arkuszu. Temperatura w normie. Wartościom krwi niewiele można zarzucić, wyjąwszy badanie prostaty. PSA [20] przekracza setkę.

– Żadnych dzieci – potwierdza pielęgniarka. – Rozmawialiście o tym, co z nim zrobimy?

Line zdaje sprawę z tego, o czym mówiono na porannym zebraniu, i znów myśli o czasie. Potrzebujesz czasu, by zobaczyć, jak dorastają twoje dzieci, potrzebujesz czasu, żeby zrobić to, czego pragniesz, potrzebujesz czasu, by popełniać błędy i móc je potem naprawiać.

– Któraś z naszych pacjentek tu na oddziale stwierdziła, że Wiborg musi być jednym z najstarszych ludzi na świecie – mówi pielęgniarka. – Chyba przeczytała właśnie notatkę prasową o starym mężczyźnie, który umarł w Japonii. No wiesz, nagłówki niemal zawsze są jednakowe.

– „Najstarszy mężczyzna świata nie żyje” – mówi Line i przechyla się na krześle. – Zawsze sobie wyobrażałam, że dożyję dziewięćdziesięciu dwóch lat. Będę dziewięćdziesięciodwulatką, wciąż na tyle w formie, żeby jeździć sparkiem[21]. Któregoś dnia wyjdę z nim na dwór. Będę pędzić przez śnieg, będzie gęsty i wełnisty – wskazuje w stronę okna – akurat taki, jak teraz. I oto, w mgnieniu oka, zniknę – Line patrzy na pielęgniarkę. – Dziewięćdziesiąt dwa – powtarza. – Myślałaś kiedyś o tym?

– Właściwie to nie – słyszy w odpowiedzi. Następnie uśmiech i miękka ręka ląduje na jej ramieniu. – Jak się czujesz? Słyszałam, że chorowałaś.

– Już mi lepiej. To przez te dyżury. Każdego by wykończyły.

– Powinnaś pójść do domu i odespać. Tak sobie myślę, że to pewnie Hahne przekonał cię do wizyty u pacjentów.

Cisza, która zapada po tych słowach, ciąży nad pokojem jak dławiąca narzuta. Line zerka na wiszący nad drzwiami zegar. Długa

wskazówka przesuwa się odrobinę, bezgłośnie.

– Chętnie pomówiłabym z Wiborgiem – mówi.

– Pewnie, zawsze możesz spróbować – wzdycha pielęgniarka. – Ale zbyt rozmowny to on nie jest.

Zaczynają zwykły obchód, idą w dół pochyłego korytarza. Line toczy wózek z koszykami na akcesoria medyczne, głównie po to, żeby mieć się na czym wesprzeć. Kręci jej się w głowie i w trakcie rozmów z pacjentami musi skupiać się na tym, by udawać prawdziwe zainteresowanie. Jeden jest niezadowolony, że każą mu zostać na oddziale jeszcze jedną noc. Inny nie chce być wypisany. Oscar Wiborg leży w pokoju na wysokości środka korytarza, gdy jednak zatrzymują się przed jego drzwiami, Line odwraca się do pielęgniarki, mówiąc, że chce go zostawić na koniec. Spostrzega, że boi się z nim rozmawiać. Sama nie wie, dlaczego. Idą dalej, bez poruszania tego tematu. Przystają koło łóżka młodszego mężczyzny z tą samą chorobą, na którą cierpi Wiborg, rakiem prostaty z możliwymi przerzutami. Ma tylko czterdzieści lat. Żonaty, z trojgiem małych dzieci. Line słyszy własne słowa: nie mogą być całkiem pewni w kwestii rokowań, ale na razie sytuacja wygląda dobrze. Zarazem myśli o tym, co powiedziano na porannym zebraniu, że wszystko, co robią, to odwlekanie śmierci. Próżność lekarzy podpowiada im, że ratują życie. Nie jest już tego taka pewna. Ale chodzi o czas. To rozumie. O czas i o to, co człowiek postanawia z nim zrobić.

Odwiedzają ostatniego pacjenta i Line ma się teraz rozmówić z Wiborgiem. To wtedy widzi, że korytarzem schodzi w ich stronę Leif Hahne. Stawia długie kroki, kołysząc się na boki. Mogłaby go rozpoznać, nawet gdyby był tylko czarną sylwetą na tle horyzontu.

– Dobrze wam tu idzie?

Line kiwa głową. Za jej plecami pielęgniarka wychodzi z pokoju pacjenta, którego dopiero co odwiedziły. Widzi Hahnego i przechodzi obok, nie zatrzymując się. Kiedy ich mija, jego ręka wślizguje się pod fartuch Line i dalej, przez szczelinę między bluzką a spodniami. Ma ciepłą dłoń, która przylega do jej skóry.

– Dlaczego przychodzisz teraz? – pyta Line.

– Byłaś już u Wiborga?

– Nie, właśnie się do niego wybieram.

– Line – mówi Hahne i przysuwa policzek tuż do jej policzka.

Tu, w korytarzu szpitalnym, to śmiałe zachowanie. Nigdy dotąd nie robił takich rzeczy. Zawsze się obawiał, że ktoś ich zobaczy.

– Co robisz w weekend? – pyta.

– Już o tym rozmawialiśmy – odpowiada i kładąc mu rękę na brzuchu, powoli odsuwa go od siebie. – To nie może się ciągnąć.

Patrzy na nią czule. Chcąc się uratować, Line mówi:

– Poza tym mam dyżur.

– Ale nie każdego dnia. Co z piątkiem albo sobotą?

– Mówiliśmy już o tym – powtarza Line. – Muszę do Wiborga.

Odwraca się od niego, ale on ją łapie.

– Tylko jedna rzecz – mówi, a ona daje się zatrzymać – *à propos* Wiborga. Może dobrze jednak będzie usunąć mu jądra. Wtedy byśmy przynajmniej coś zrobili.

I znowu, myśli Line. Znowu dałaś się nabrać. Potem mówi:

– Powiedział, że nie życzy sobie leczenia.

– Na początku zawsze tak mówią, ci staruszkowie. Ale potem zmieniają zdanie. Wszyscy chcą więcej czasu. Na pewno uda ci się go przekonać!

Hahne puszcza jej ramię.

– Zarezerwuję dla ciebie salę za godzinę. Zabieg trwa chwilę. Potem mogłabyś iść do domu.

Line kiwa głową, a on głaszcze ją po policzku. Line spostrzega, że wychodząca z dyżurki pielęgniarka obchodowa zwraca uwagę na pieszczotę. Idzie w ich stronę tak, jakby nic się nie stało. Hahne odwraca się i odchodzi, nie witając się z nią.

– To jak – mówi oschle pielęgniarka – idziemy do Wiborga?

– Zrobię to sama.

Czy można marnować czas? Nie, myśli. Czas ma niezbywalne i nienaruszalne znaczenie. To, co dotąd zrobiła, na zawsze z nią pozostanie.

Oscar Wiborg leży tak, jak go zostawiła, z kręgosłupem wygiętym w stronę pokoju. Teraz jednak porusza się, przewraca się na drugi bok, tylko po to, by odkryć, że ona tam siedzi i mu się przygląda.

– Dzień dobry – mówi. – Jak się pan dzisiaj czuje?

Wiborg przygląda się jej, mrużąc wąskie, głęboko osadzone oczy.

– To znowu pani? – pyta. – Chcę do domu.

– Zaraz puścimy pana do domu – odpowiada Line. – Ale znaleźliśmy coś w wynikach pańskich badań. Rozmawialiśmy o tym już wczoraj. Chyba dobrze się tu z panem obchodzą?

Nie odpowiada, wzdycha i podciąga kołdrę pod brodę.

– Zaopiekujemy się panem – mówi Line i robi krótką pauzę. – Zastanawialiśmy się, czy nie zrobić małego zabiegu. Znacznie zmniejszy to pana bóle… na jakiś czas.

Oscar Wiborg długo jej się przypatruje.

– Młoda damo – mówi spiętym głosem – proszę tu bliżej!

Line widzi jego rękę wystającą spod kołdry. Trzęsie się. Lekarka wstaje i chwyta ją, czując, jak palce zaciskają się wokół jej nadgarstka, gdy przysiada na brzegu łóżka. Wiborg ani myśli spuścić z niej wzroku.

– Mam sto jedenaście lat – zaczyna – i nie zamierzam być ani o rok starszy. Rozumie pani?

– Chcieliśmy to zrobić ze względu na ból – mówi Line. – Nie po to, by wydłużyć czas, jaki panu pozostał.

– Rozumie pani, co mówię?

Patrzy na niego i kiwa głową.

– Tak, rozumiem.

Wiborg wciąż mocno ściska jej rękę i Line zauważa, że robi jej się ciężko na sercu. Niedługo potem jej oczy zaczynają błyszczeć. Musi zacisnąć powieki, żeby nie popłynęły łzy. Siedzi z zaciśniętymi oczami na brzegu łóżka, sama nie wie, jak długo, w końcu jednak słyszy w głos Wiborga.

– Nie pamiętam, żeby w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat padało tak mocno.

Kiedy Line otwiera oczy, widzi, że Wiborg wygląda przez okno. I po raz pierwszy może dostrzec zarys uśmiechu na jego spękanych wargach. Uśmiech, który może jest smutny, ale to wciąż uśmiech.

– Jakby nigdy nie zamierzał się poddać – mówi Line i sama musi się uśmiechnąć.

– Ale to piękne. Jest tak pięknie, kiedy pada śnieg.

– Zawsze żyłam w przeświadczeniu, że chcę dożyć dziewięćdziesięciu dwóch lat – mówi Line i ma ochotę, by odpowiedział jej, że w takim razie to właśnie jest czas, którego jej trzeba.

Ale Wiborg nie mówi nic. Wciąż tylko patrzy przez okno na padający śnieg.

Budzi ją Hahne. Zasnęła na sofie w gabinecie. Na krótkiej sofie, która właśnie dlatego jest taka krótka, żeby nie można było na niej spać. Zgodnie z przepisami przeciwpożarowymi nie wolno kłaść się w pomieszczeniach w skrzydle z gabinetami lekarskimi. Ona jednak zdołała skulić się i położyć na boku w pozycji embrionalnej, a budzi się, gdy on głaszcze ją po włosach. Odruchowo łapie go za rękę. Nie brałam prysznica od wczoraj, myśli i przez parę sekund, tuż przed tym, zanim całkiem się rozbudzi, zapomina o wszystkim. Uśmiecha się do niego sennie, a ten pyta:

– Wciąż nie poszłaś do domu? – I zanim ona wróci do rzeczywistości, udaje mu się dorzucić: – Mam dobre wieści.

Siada, przeciera z oczu suche resztki snu i odkrywa, że wełniste płatki śniegu za oknem nie przestają padać. Hahne znów głaszcze ją po włosach i mimo że Line odsuwa jego dłoń od swojej głowy, nie udaje jej się wypuścić jego ręki.

– Ale najpiew powiedz mi, co zrobiłaś, że udało ci się przekonać naszego staruszka.

– Tajemnica – mówi Line. – Jaka jest dobra wiadomość? Powiedz mi!

Hahne wzrusza ramionami i patrzy na nią chytrze.

– Najstarszy mężczyzna świata nie żyje – odpowiada.

– O, nie! Czy Wiborg…

– Wiborg jest w dobrej formie – mówi Hahne. – Wykonałaś kawał dobrej roboty. Wiborg będzie długo żył. Już my o to zadbamy. Najstarszy mężczyzna świata nie żyje, ale żyje za to obecny najstarszy mężczyzna świata. Oscar Wiborg w wieku stu jedenastu lat.

Line widzi jego uśmiech i nie może powstrzymać się od śmiechu. Śmieje się, a on ją całuje. Tym razem pozwala mu się całować. Myśli przy tym: „Tak niewiele trzeba do szczęścia. Tylko jeden krótki moment”. To wszystko, czego potrzebowała, żeby poczuć się szczęśliwa.

– Ale… – mówi – skąd wiesz, że on jest najstarszy na świecie?

– Skontaktowała się z nami lokalna gazeta – tłumaczy Hahne. – Wiborg jest zarejestrowany tu czy tam i wytropił go jakiś dziennikarz. Gazeta chce mu poświęcić materiał i proszą o zdjęcie Wiborga razem z kimś z personelu. A skoro jest twoim pacjentem, pomyślałem, że to musisz być ty.

– Nie jestem fotogeniczna – śmieje się Line.

– Wyluzuj. Umówiłem was na jutro na dziesiątą rano. To będzie dobra reklama dla oddziału. Swoją drogą, spotkałem w korytarzu ordynatora Wendela. Nie wydawał się specjalnie w formie, biedaczek. Nieco później dzisiejszego dnia ma się rozstrzygnąć, czy klinika ginekologiczna zniknie z miasta, czy nie.

Line widzi w duchu Wendela. Wysokiego, kościstego Wendela ze smutnym wyrazem twarzy – i nagle jakby przeszył ją piorun. Wendel. Korytarz. Koleżeńska pogawędka. W jednej chwili w jej głowie pojawia się obraz, w którym leży na stole operacyjnym, tuż przed zabiegiem. Zaciska powieki, wypuszcza rękę Hahnego, jakby się o nią sparzyła. Przez cały czas o tym wiedział. Zrywa się tak szybko, że robi jej się ciemno przed oczami.

– O co chodzi? – pyta Hahne, gdy Line musi oprzeć się o ścianę, myśląc, że powinna zwymyślać go za zachowanie się jakby nigdy nic.

Oczywiście, że wie. Stąd ta nagła zmiana tonu. Musiały go opuścić wyrzuty sumienia. Ale teraz jest już za późno. Line myśli, że musi iść naprzód. Będzie miała dziewięćdziesiąt dwa lata, będzie pędzić na sparku przez śnieg. Chce spędzić resztę czasu bez tego mężczyzny – i właśnie mu to mówi.

przełożyła Dorota Polska

Dag Solstad

Nauczyciel Pedersen. Relacja z wielkiego politycznego przebudzenia, które nawiedziło nasz kraj

Myślę, że muszę zacząć od powiedzenia kilku słów o moim kraju i jego osobliwej historii. Norwegia jest jednym z najbogatszych państw świata, i to pomimo jej raczej niekorzystnego położenia na dalekiej północy oraz tego, że nie została szczodrze obdarzona przez naturę – właściwie jest to kraj jałowy. Jeszcze dwieście lat temu Norwegia była położoną z dala od reszty świata kolonią niezbyt wspaniałego europejskiego królestwa Danii, którą rządziły nieszczególnie bystre głowy wykształcone na drugorzędnych uniwersytetach w Kopenhadze. Lud, którym te nieszczególnie bystre głowy rządziły, był z kolei niewiarygodnie ciemny, opętany przesądami, bezgranicznie zalkoholizowany, zastraszony i pozbawiony nawet podstawowej higieny, co nawet według ówczesnej liberalnej miary musiało być szokujące. Dla każdego innego narodu dwieście lat to niewiele, lecz dla Norwegów dwieście lat od końca XVIII wieku do dziś było czasem zmian tak potężnych, że chyba niewiele innych ludów kiedykolwiek doświadczyło czegoś podobnego. Dwieście lat temu byliśmy ludem prymitywnym, o najniższym w Europie poziomie wykształcenia. Dziś jesteśmy jednym z najbogatszych narodów na świecie, społeczeństwem wysoko rozwiniętym, z bardzo dobrze wykształconą ludnością, właściwie wykształconą tak dobrze, że nawet najbardziej skomplikowane innowacje techniczne obsługują nasi robotnicy, a nie importowani z zagranicy specjaliści. Zbyt wiele miejsca zajęłoby tutaj wgłębianie się w przyczyny tej ogromnej przemiany, choć moje pióro aż się do tego pali. Jednak muszę wymienić choćby kilka jej czynni-

ków, ponieważ bez ich opisania, wydarzenia, które chciałbym w tej książce przedstawić, staną się co najmniej niezrozumiałe. Po pierwsze, należy zauważyć, że Norweski Cud nie był samoistny. Norweski Cud był wynikiem nieprawdopodobnie niezamierzonych konsekwencji wydarzeń, mających swoje korzenie w krajach zupełnie odmiennych od naszego. Fakt, że Norwegia położona jest na dalekiej północy, a nie na dalekim południu, na przykład gdzieś nad cieśniną Malakka, ma pewnie większe znaczenie niż to, że mieszkają tu Norwegowie. Gdyby gatunek Norweg zamieszkiwał cieśninę Malakka, nasz los byłby podobny do losu tych, którzy dziś tam mieszkają. No, może wielu z nas przebywałoby na terenie dzisiejszej Norwegii, ale w charakterze gastarbeiterów. Uwaga ta nie jest całkiem bez znaczenia, choć może wydawać się zarówno zbyt wyszukana, jak i nieco nieodpowiednia. Ale czy się to komuś podoba, czy nie, twierdzenie, że rozwój kapitalizmu, a później imperializmu był niesłychanie szczęśliwy dla mojego kraju, jest uzasadnione. Tak, moim zdaniem można twierdzić, że ten niesłychany zbieg okoliczności sprawił, że historia narodu norweskiego musi zostać nazwana historią bardzo osobliwą, co z kolei oznacza, że naszego kraju nie można po prostu porównać z innymi. To niesłychane szczęście, które ja nie bez powodu wolę nazywać Norweskim Cudem, staje się o wiele bardziej ewidentne i czyni norweską historię jeszcze bardziej osobliwą, prawie dziwną, by nie rzec egzotyczną, kiedy człowiek zda sobie sprawę, że ta ogromna przemiana nastąpiła w kraju, który cały czas znajdował się z dala od centrum wydarzeń. Często do tego stopnia, że wydarzenia, które w ciągu dwóch stuleci wstrząsnęły światem, w naszych podręcznikach do historii można przestudiować tylko przy użyciu wysoko rozwiniętej wyobraźni i intelektualnego szkła powiększającego, jeśli już tak muszę to ująć. Nie jest żadną tajemnicą, że wielkie przemiany, które nastąpiły na świecie w ciągu ostatnich stu pięćdziesięciu lat i których efekty można dostrzec także w Norwegii, nierzadko spowodowane były zastosowaniem politycznego środka działania o nazwie Wojna. To, że świat, w którym żyjemy, został ukształtowany przez wojnę, i że stale zmienia się pod wpływem jej zgubnej logiki, pod wpływem zarówno wojen między narodami, jak i buntów, rewolucji i kontrrewolucji w obrębie jednego narodu, jest chyba twierdzeniem,

z którym zgodzi się większość obywateli choćby minimalnie zainteresowanych ludzkością i jej historią. Jednak takie wydarzenia wstrząsnęły moim krajem w zaledwie niewielkim stopniu. Chyba bardziej właściwie byłoby powiedzieć, że braliśmy w nich udział wyłącznie na odległość i że dotarły one do naszego kraju głównie w formie echa. Mówię to, choć jestem w pełni świadom, że również mój kraj był zaangażowany w światową wojnę trwającą od końca lat 30. do połowy lat 40. XX wieku i wywołaną przez nazistowskie Niemcy oraz ekspansję faszystowskiej Japonii. Jednak to właśnie rola Norwegii w tej wojnie znakomicie ilustruje osobliwy aspekt historii mojego kraju. Nie ulega bowiem wątpliwości, że jeśli porówna się wojenną historię Norwegii i jakiegokolwiek innego kraju, to okaże się, że wojna w Norwegii miała zupełnie inny, niemal pokojowy charakter. Mimo że kraj mój stał po stronie aliantów, to jednak Norwegia również tym razem odegrała drugoplanową rolę w wydarzeniach mających decydujące znaczenie dla jej istnienia. Historia mojego kraju, również ta wojenna, jest nadzwyczaj pokojowa. W rzeczywistości od ponad siedmiuset lat nie doszło u nas do ani jednej masakry. Od wojny domowej w XIII wieku narodowi mojemu całkowicie oszczędzone było to, co stało się wielkim koszmarem Europy, a mianowicie podboje i masakry. Pokojowy rozwój wyróżnia Norwegię spośród innych krajów. Również konflikty wewnętrzne Norwegów miały mniej gwałtowny charakter. Mimo że w moim kraju ojczystym dość wyraźnie zabrzmiało echo rewolucji rosyjskiej, to faktem pozostaje, że w tym stuleciu żaden norweski robotnik nie został zastrzelony z powodu uczestnictwa w demonstracjach czy strajkach. W ciągu całego stulecia żołnierze zaledwie trzy razy interweniowali przeciwko strajkującym robotnikom, przy czym raz – w 1941 roku – byli to żołnierze niemieccy. Rządzący krajem musieli, rzecz jasna, często używać władz porządkowych przeciwko strajkującym robotnikom, lecz w imię prawdy powiedzieć należy, że zawsze była to policja nieuzbrojona, bo w porównawczej perspektywie historycznej pałki i buty nie wystarczą, aby władze porządkowe nazwać uzbrojonymi. Podobnie ma się sprawa z więźniami politycznymi. W norweskich więzieniach jest ich niewielu, choć setki, a nawet tysiące osób odnotowano za przestępstwa polityczne, ale ich sprawy zazwyczaj kończyły się grzywnami. Oczywiście istnieją

tysiące, a podobno nawet dziesiątki tysięcy osób odnotowanych za możliwe przestępstwa polityczne, które zostaną popełnione kiedyś w przyszłości, lecz ogólnie rzecz biorąc należy stwierdzić, że obecnie w Norwegii jest niewielu więźniów politycznych. Warto też zauważyć, że wyroki, na jakie się ich skazuje, są dość ludzkie, oraz że do dnia dzisiejszego żaden z naszych więźniów politycznych nie wystąpił z oskarżeniem o to, że był torturowany w więzieniu. Ponadto mamy prawo dające społeczeństwu możliwość otwartego wygłaszania swoich opinii, zarówno w formie ustnej, jak i pisemnej, jak również możliwość organizowania się w związki i partie, nawet jeśli ich poglądy są całkowicie sprzeczne z poglądami rządzących, a nawet jeśli takie organizacje staną się na tyle silne, aby stanowić zagrożenie dla władzy. Jednak w tym przypadku ryzykują narażeniem się na dość ostre potępienie, a ich pracę często blokuje się poprzez wprowadzanie znaczących utrudnień dla ich działalności. Mimo to w czasach współczesnych nie zdarzyło się, żeby jakaś organizacja opozycyjna została zlikwidowana. Formalne prawa demokratyczne w moim kraju generalnie mają się dobrze i można chyba powiedzieć, że ograniczają – a czasem nawet unieważniają – je raczej siły rynkowe i struktury gospodarcze, a nie decyzje polityczne. Muszę też zaznaczyć, że mieszkańcy mojego kraju cieszą się wysokim stopniem bezpieczeństwa socjalnego oraz że bezrobocie jest tu stosunkowo niskie, a standard życia – nawet tych, którzy mają się najgorzej – jest stosunkowo wysoki, tak wysoki, że nawet słabo zarabiający norweski robotnik ma możliwość spędzenia ustawowych czterotygodniowych wakacji w kurorcie nad Morzem Śródziemnym w Europie Południowej. Wydaje mi się, że wymieniłem najważniejsze spośród rzeczy jeśli chodzi o mój kraj i jego szczególną historię oraz system społeczny, które mają znaczenie dla celów niniejszej relacji. Może powinienem był dodać, że w Norwegii poziom wykształcenia jest wysoki, a analfabetyzm prawie nie istnieje. Dlatego nie dziwi, że wielu osobom nasz kraj wydaje się być wolny, szczęśliwy i sprawiedliwy. Każdy Norweg o radykalnych poglądach, będąc za granicą i spotykając obcokrajowców o podobnych przekonaniach politycznych, często zauważył również, że rozmówca ma tendencję do przeceniania zalet jego kraju, często w nadzwyczaj błyskotliwy sposób. W takiej sytuacji

Norweg może mieć poczucie, że zwykły protest nie wystarczy, nawet jeśli w rzeczywistości zadowala się wyrażeniem sprzeciwu wobec, jak on to nazywa, błędu idealizowania kraju, o którym obcokrajowiec nie wie wystarczająco dużo, by wydawać kategoryczne osądy. Norweg czuje, że niezależnie od tego, jak silnie się sprzeciwia, jego sprzeciw nie wystarcza. Winny jest temu fakt, że nasz kraj, jego miejsce w świecie i jego wielce skromna historia posiadają osobliwie idylliczny, nawet egzotyczny charakter, który nie może nie wywrzeć niezatartego wrażenia nawet na Norwegu, kiedy ten zostaje zmuszony do zastanowienia się nad osobliwym losem człowieka przynależącego do narodu norweskiego.

Dlatego dziwić może, że w tym właśnie kraju około roku 1970 miało miejsce polityczne przebudzenie, które porwało wielu entuzjastycznych studentów i młodszych intelektualistów. Ci zaś, zainspirowani chłopskim synem z odległych Chin, postawili sobie za cel zmobilizowanie narodu, a szczególnie robotników, do zwrócenia się przeciwko Państwu, w którym żyli, i obalenia go na drodze zbrojnej rewolucji. Można tutaj zwrócić uwagę na fakt, że podobne przebudzenia miały miejsce we wszystkich krajach Europy Zachodniej oraz że poza inspiracją pochodzącą od chłopskiego syna i przywódcy chińskiej rewolucji miały one również inne źródła, takie jak wydarzenia w Paryżu w 1968 roku. Jednak fakt ten nie umniejsza osobliwości norweskiego przebudzenia, bo należy zauważyć, że w naszym kraju ruch ten, zamiast stać się, tak jak powinien, krótkim poruszeniem, krótkotrwałym echem wydarzeń międzynarodowych, zapuścił korzenie głębsze niż w jakimkolwiek innym kraju Europy Zachodniej. Stał się tu bardziej wyrazisty ideologicznie, silniejszy i miał jaśniejszy cel: zbrojną rewolucję i ustanowienie dyktatury proletariatu. Temu wszystkiemu towarzyszyła taktyczna chęć zjednania się z ludem, a także wola zawierania wszelakich krótkotrwałych sojuszy, które mogły służyć sprawie. Tym samym przebudzenie w naszym kraju było bardziej klarowne, chłodniejsze, lepiej przemyślane, z jasno zadeklarowanymi założeniami opartymi na marksistowsko-leninowskiej filozofii, z wielkimi Chinami jako piękną, idealistyczną utopią i z otwartym przyznaniem się do tradycji sięgającej pierwszego na świecie socjalistycznego państwa – Związku Radzieckiego rządzo-

nego przez Lenina i Stalina. Równocześnie odcięto się od upadku, który nastąpił w Związku Radzieckim w latach 70. i który tłumaczono pokojową kontrrewolucją przeprowadzoną w latach 1953–1956. Z tymże programem ruch znalazł poparcie wśród studentów i intelektualistów, przeniknął głęboko do ich osobowości i tym samym ukształtował ludzi pozbawionych egoizmu i oddanych sprawie rewolucji. Do pewnego stopnia udało mu się uzyskać posłuch i częściowo trafić do szerszych grup ludności niż te, do których należą studenci i intelektualiści. Z tego, co rozumiem, dość wysoki procent najlepiej wykształconej młodzieży naszego kraju musiał zetknąć się z tym politycznym ruchem i przez dłuższy lub krótszy czas żyć w polu jego oddziaływania. A jeszcze więcej było tych, którzy w tym czy innym momencie między rokiem 1968 a 1978 zostali zmuszeni do określenia swojego stanowiska wobec przesłania ruchu, o którym mowa. Niewielu intelektualistom udało się tego uniknąć, ta kwestia stała się bowiem najważniejszym egzystencjalnym pytaniem – pytaniem o wartości, a od odpowiedzi na nie zależało wiele przyszłych wyborów i działań. Dotyczyło to również tych, którzy na pytanie, czy kraj ten potrzebuje rewolucyjnej komunistycznej partii, odpowiedzieli gorączkowym „nie”. Patrząc na to z tej perspektywy, w zasadzie nie było w naszym kraju politycznego ruchu, któremu udałoby się sięgnąć głębiej w umysły inteligencji, w każdym razie nie w XX wieku. Przez prawie dziesięć lat głównym pytaniem norweskiego intelektualisty było to, czy jest za czy przeciw Komunistycznej Partii Robotniczej (marksiści-leniniści), bo z czasem tak właśnie nazwano ten ruch. W tym okresie dziesiątki tysięcy ludzi przez krótszy lub dłuższy czas związane były z ruchem, z KPR (m-l) – albo jako członkowie, ze wszystkimi wiążącymi się z tym drastycznymi zmianami naturalnej norweskiej osobowości, albo jako luźniej powiązani sympatycy – i tym samym do pewnego stopnia podzielały, lub w każdym razie znały charakterystyczny język, zasady zachowania, mity, sposób postrzegania rzeczywistości, rytuały, modele myślenia oraz magiczne poczucie uczestnictwa w czymś wyjątkowym. To zaskakująco wysoki odsetek inteligencji wychowanej w ramach reżimu socjaldemokratycznego w jednym z najbogatszych i niezaprzeczalnie najbardziej demokratycznych krajów świata. Równie zaskakujące jest, że to poli-

tyczny ruch, który zmienił się w partię komunistyczną, KPR (m-l), przez dziesięć lat oddziaływał na kulturalne i intelektualne życie narodu. Niewiarygodne, lecz prawdziwe. Ideały reprezentowane przez ruch wywarły wpływ na krajową literaturę, teatr, sztuki plastyczne, ludową muzykę, dyskusje prasowe, i to nie mocą wielkości ruchu, lecz dzięki temu, że ideały, których wyrazicielką była ta właśnie przedziwna partia, rzeczywiście zdołały poruszyć umysły krzewiącej kulturę norweskiej elity. Należy chyba również dodać, że ruch, z którego poskładano komunistyczną partię o nazwie KPR (m-l), za bramami krajowych fabryk i wśród zawodowych organizacji samych robotników postrzegano jako coś niebezpiecznego. Nie będzie przesadą powiedzenie, że w życiu publicznym stale pojawiały się albo osoby powiązane z tą partią, albo osoby, które można było o takie powiązania podejrzewać – byli to na przykład artyści, badacze i przywódcy strajków. Jednak ferment nigdy nie zmienił się w ruch ludowy. W wyborach KPR uzyskiwała zaledwie promile głosów. Oznacza to, że jej ideały nie docierały do zwykłych ludzi i że mimo potężnego rozkwitu i niewątpliwej siły partia nie osiągnęła nic z tego, co było jej celem, czyli zjednanie się z norweską klasą robotniczą, wybudzenie jej z letargu, tak aby ta, zgodnie z teorią stanowiącą inspirację dla ruchu, w końcu mogła wziąć swój los w swoje ręce i przejąć władzę w kraju. Wziąwszy pod uwagę fakt, że, jak wszystko wskazuje, ruch stracił już impet, można powiedzieć, że jego osiągnięcia są niewielkie. Mimo wszystko warto się nim interesować. Większość ruchów o wielkich ambicjach ponosi porażkę, w tym przypadku taki koniec można było przewidzieć od razu. Jednak zważywszy, że zaangażowało się weń tak wiele tysięcy ludzi oraz że chodziło tu o intelektualną elitę kraju, zbadanie, na czym polegała moc tego ruchu, może dać ciekawe rezultaty. Skłonił on przecież ludzi do postawienia wszystkiego na jedną kartę, a czegoś takiego nie robi się, jeśli zaangażowanie nie kusi albo nie daje obietnicy dostępu do czystej prawdy. Tysiące ludzi przyłączyły się do KPR (m-l) i przez krótszy lub dłuższy czas żyły zauroczone Partią. Wielu poświęciło temu ponad dziesięć lat swojego życia. W jednym z najbogatszych krajów świata, w czasie jednego z najsilniejszych okresów wzrostu koniunktury gospodarczej, oddali się głoszeniu ewangelii rewolucji i dyktatury prole-

tariatu. Był to ruch głęboko ingerujący w życie jednostki, a ci, którzy brali w nim udział, a potem z nim kończyli, stawali się, jak bym to nazwał, odszczepieńcami, nie zdrajcami, bo ruch ten w zasadzie nie spłodził zdrajców, tylko odszczepieńców. Lecz odszczepieńców tych dotyczy jeden fakt: nigdy nie unieważnią swojej historii. Wiem, bo sam jestem jednym z tych, którzy lata 70. przeżyli zauroczeni KPR (m-l). Jako trzydziestoletni nauczyciel z Larviku byłem przekonany, że młodzi ze Związku Młodzieży Socjalistycznej mieli rację, i postanowiłem ponieść tego konsekwencje, nie tylko z zachwytem, jeśli mam być szczery. Ponad dziesięć lat temu zacząłem z bliska obserwować ten ruch i niezwykle dobrze się z nim zapoznałem. Może dlatego trochę wiem o tym, co dzieje się w duszy Norwega, który za konieczne uważa definiowanie samego siebie zgodnie z zawartością marksistowsko-leninowskiego słownika, komunistycznej praktyki, socjalistycznego poglądu na historię i tajemnego marzenia klasy robotniczej o rządzeniu panami, oraz który godzi się na to, aby jego życiem i czynami nie kierowała jego głowa, lecz dyrektywy Partii. Tak, coś o tym wiem, i kiedy teraz, na początku lat 80., chwytam za pióro, aby o tym opowiedzieć, to robię to dlatego, że odczuwam dziwny niepokój, obawę, że może pozwoliliśmy sobie stać się narzędziem sił, których działanie w pewnych okolicznościach mogło przemienić się w przeciwieństwo tego, czego pragnęliśmy. Niepokój ten nie maleje, kiedy dostrzegam możliwość, że do przemiany tej dochodzi w chwili, gdy partia uzyskała pewną pozycję i osiągnęła swój podniosły cel. Jednocześnie obawa ta wydaje mi się dziwnie nie na miejscu, ponieważ ruch polityczny, któremu poświęciłem ponad dziesięć lat mojego życia, był tak daleki od celu swoich zmagań, że rozważanie tego problemu jest pozbawione sensu. Mimo to takie właśnie problemy, które mogą powstać w zupełnie innych warunkach, panujących w zupełnie innych krajach, w zupełnie innym czasie, dręczą świadomość lubiącą nazywać samą siebie rewolucyjną. Nie będę też ukrywał, że kiedy ja, nauczyciel z Larviku, w wieku czterdziestu dwóch lat zwierzam się publice w relacji napisanej stylem artystycznym, to spowodowane jest to wydarzeniami z mojego najbliższego otoczenia, na przykład tym, że dwóch moich najlepszych towarzyszy, pozbawionych złudzeń i zgorzkniałych, opuściło Partię, a jeden

z nich opuścił ją w bardzo dramatycznych okolicznościach. Relację tę piszę jednak przede wszystkim po to, aby zobaczyć, jakie wnioski można wyciągnąć z faktu, że w tym tak niekorzystnie usytuowanym kraju – Norwegii – powstał rewolucyjny ogień, który rozpalił się tak dziko i porwał tak wielu ludzi, przeciętnych i nieprzeciętnych, kobiet i mężczyzn, w tym odległym małym miasteczku Larvik. Jestem tym faktem zdumiony, a jednocześnie pragnę wyciągnąć wnioski z tego godnego uwagi zjawiska, do którego ja sam nie byłem w stanie zachować dystansu.

Jeśli chodzi o mnie, wszystko zaczęło się od mojego przyjazdu do Larviku w sierpniu 1968 roku w roli świeżo upieczonego nauczyciela. Przyjechałem pociągiem odjeżdżającym z Dworca Zachodniego w Oslo o godzinie 9.50. Był to, jak wielu pamięta, pociąg ekspresowy, ten żółty, ekskluzywny, który przypominał mi o podróżach dłuższych niż podróż Koleją Zachodnią do Skien, jadący pospiesznym elektrycznym rytmem, skręcający gwałtownie po torach przypominających piękne metaliczne półkola (na zdjęciu), który po niemal dokładnie dwóch godzinach zatrzymał się na kilka minut na stacji kolejowej w Larviku. Zszedłem po schodkach, trzymając w rękach dwie ciężkie jak ołów walizki wypełnione książkami i ubraniami, wyłącznie książkami i ubraniami, całym moim dobytkiem. Nie zamierzam pisać żadnej autobiografii i dlatego nie chcę ani jednym słowem wspominać o tym, z jakiego miejsca w Norwegii pochodzę, poza tym, że jest to Norwegia wschodnia, całkowicie pomijam też moje dzieciństwo i dorastanie. Tak więc wysiadłem na stacji kolejowej w Larviku, w sierpniu 1968 roku, w wieku dwudziestu ośmiu lat, z głową wypełnioną całą zamkniętością powojennej Norwegii, a także z drżącym oczekiwaniem tego, co przyniesie przyszłość. Był to ważny dzień mojego życia. Zakończywszy przydługie studia, stałem teraz u progu tego, co uważałem za moje prawdziwe życie. Miałem je zacząć jako nauczyciel w gimnazjum, w mieście, w którym moja noga nigdy wcześniej nie postała i z którym nic a nic mnie nie łączyło. Był ciepły sierpniowy dzień, prawie zadziwiająco ciepły, z palącym słońcem i czystym niebieskim powietrzem, a ja stałem na peronie z tymi dwoma ciężkimi walizkami leżącymi przede mną i rozglądałem się za szyldem z napisem TAXI. Dwadzieścia osiem lat. Ubrany w tweedo-

wą marynarkę, która była o wiele za ciepła jak na dzień babiego lata, oraz w spodnie z elany z wyraźnym, lecz nie ostrym kantem. Biała koszula i krawat, naturalnie. Nawiasem mówiąc, spodnie z elany wyprasowałem sam, dosłownie, ponieważ na nich leżałem – położyłem je pod prześcieradłem, tak jak to często robiliśmy, my, mieszkający w ciasnych kwaterach, w byłych pokojach dla służby, ściana w ścianę z kuchnią gospodarzy, my, którzy aż do roku 1965 byliśmy chętnie nazywani kwiatem norweskiej młodzieży. Do rączki jednej z moich walizek był przymocowany czarny parasol. Nie był on składany, bo taki model nie był w tych czasach powszechnie znany wśród młodych absolwentów uniwersytetów. W każdym razie ja o nim nie słyszałem, nie, mój parasol był solidny i niepraktyczny, o ile pamiętam, miał drewnianą rączkę i na pewno był uszyty z czarnego materiału. Moje włosy były krótkie, nosiłem za to małą bródkę, która prawdopodobnie w oczach wielu nadawała mi radykalny wygląd. Możliwe, że przez ramię przerzucony miałem jasny płaszcz z popeliny. Zakładam, że tak było, bo mimo że był to ciepły sierpniowy dzień, i tak wolałem nosić płaszcz zamiast włożyć go do walizki, żeby się pogniótł. Poza tym był w końcu sierpień i można było oczekiwać, że wkrótce pojawią się pierwsze chłodne powiewy wiatru. Tym samym, kiedy tak stałem na stacji kolejowej w Larviku, wszyscy mogli zobaczyć, że osoba, która właśnie przyjechała, wybrała się w bardzo dla niej ważną podróż, bo znaną sprawą jest, że ważne podróże odbywane w ciepłe dni podejmowane są przez osoby ubrane o wiele za ciepło w stosunku do pogody. Do tego odważę się wyposażyć tę postać w parę solidnych okularów, w przekonaniu, że nie zostanie ona niespodziewanie wyrwana z tej relacji i umieszczona w powieści kryminalnej, na przykład autorstwa Jona Micheleta, i narażona na psychiczne i fizyczne prześladowania, lecz tak jak ten, który zdaje tę relację, będzie poruszać się bezpiecznie, bez ryzyka, że jej okulary zostaną zgniecione i że będzie musiała szukać ich po omacku na podłodze, aby pozbierać połamane kawałki owego symbolu przynależności do norweskiej inteligencji. Tak więc stałem na peronie stacji kolejowej w Larviku pewnego sierpniowego popołudnia 1968 roku, z dwoma ciężkimi jak ołów walizkami leżącymi przede mną, i rozglądałem się za postojem taksówek, drżąc w oczekiwaniu i jednocze-

śnie szczęśliwe nieświadomy, że oto przybył „Pol Pot z Larviku”, „gimnazjalny rzecznik Stalina”, „czerwony nauczyciel”, „piorący umysły naszej młodzieży”, „fanatyk na katedrze”, „ekstremista i gloryfikator przemocy na utrzymaniu podatników”, *etc.*, *etc.*, *etc.*, *etc.* i jeszcze raz *etc*.

Żółty pociąg ekspresowy ruszył i był teraz w drodze do Porsgrunn, inni, którzy z niego wyszli, opuścili już peron, a ja zostałem sam na opuszczonej stacji, w piekącym słońcu. Zacząłem iść przed siebie, ciągnąc za sobą ciężkie jak ołów walizki, nie wiedząc dokładnie dokąd, szedłem w tym samym kierunku, co inni. Kiedy minąłem róg stacji kolejowej, ujrzałem postój taksówek i powlokłem się w jego stronę, stale wypełniony drżącym oczekiwaniem. Dokładnie wtedy poczułem, że w tym oto momencie moje życie weszło w nową fazę, że w tym właśnie momencie miało się w końcu zacząć. Dotarło do mnie, że przyszłość stała przede mną otworem, i że mogłem po prostu czerpać z tego, co życie miało do zaoferowania. Nie widzę, aby samo w sobie przeczucie to wynikało z rzeczywistych uwarunkowań, i mówiąc wprost, nie wiem, dlaczego miałem właśnie takie oczekiwania w stosunku do przyszłości. A jednak miałem je, pamiętam to wyraźnie, uczucie oczekiwania, uczucie długo wyczekiwanej zmiany, która wreszcie nadeszła. Lecz oczekiwanie to kontrastowało silnie z moim mrocznym wnętrzem. I nie byłem w tym sam. To mroczne spojrzenie na egzystencję można było odnaleźć u ludzi, którzy podobnie jak ja byli produktami edukacyjnej polityki, która umożliwiła uzdolnionej oraz nie tak bardzo uzdolnionej młodzieży zdobyć najwyższe wykształcenie. Ale my nie wiedzieliśmy, do czego, poza znalezieniem pracy, je wykorzystać. Czułem się niewykorzystany, ale nie byłem niewykorzystanym rewolucjonistą, lecz niewykorzystanym socjaldemokratą. Życie nie kusiło zbyt szczególnie, w pewnym sensie. Jakie stały przed nami wyzwania? Żyliśmy w najlepszym ze wszystkich społeczeństw, w którym wszystko szło ku lepszemu. Móc kierować rozwojem, móc administrować społeczeństwem, nie wydawało się być czymś pociągającym, było to zadanie dla ekspertów, polityków. Niewielu zresztą miało na to ochotę, dlaczego właściwie ktoś miałby ją mieć, co to było za zadanie, zarządzanie społeczeństwem, które działało prawie automatycznie, zmierzając w kierunku coraz

większego dobrobytu i coraz lepszych warunków życia jednostki? Jedną z cech powojennego społeczeństwa norweskiego, której nie można się nadziwić, jest to, że wśród dzieci norweskiego państwa dobrobytu i młodzieży, która uzyskała swoje wykształcenie w latach 60., i absolutnie nie była za to niewdzięczna, a także wiedziała doskonale, komu powinna za to podziękować, rozwinął się smutek duszy. Nie było nas do czego wykorzystać. Żyliśmy w małych gettach, przejęci zasadniczymi pytaniami życia, lecz bez perspektyw na przyszłość. Nie było nam dane pójść na służbę kraju, choć głosowaliśmy na największą partię, która od 1965 roku znalazła się w opozycji, lecz uprzednia opozycja, a obecna partia rządząca, prowadziła tę samą politykę – ku coraz lepszemu, coraz bogatszemu, coraz bardziej sensownemu. Mogliśmy też głosować na partię, która w polityce wewnętrznej wspierała partię wiodącą, lecz była jej przeciwnikiem w polityce zagranicznej. Nie było nam dane służyć naszemu krajowi ani niczemu innemu. W socjaldemokratycznej Norwegii już samo powiedzenie, że służy się krajowi, wystarczyło, aby ta w gruncie rzeczy socjaldemokratyczna, radykalna, kształcąca się młodzież pękła ze śmiechu z niedowierzania. Norweskie państwo dobrobytu spłodziło młode i wykształcone pokolenie, swoje pierwsze, i tym samym spełniło jedno z najskrytszych marzeń ludzi naszego kraju. Tęsknota każdego mężczyzny i każdej kobiety za tym, aby ujrzeć swoje dzieci wyrastające ponad to wszystko, czego oni uniknąć nie mogli, ich potomkowie zajmujący miejsca wcześniej zarezerwowane dla innych. Teraz żyli na ciasnych kwaterach, w gettach studenckich miasteczek i w stosunkowo dużych kuchniach, na politycznych forach jak Stowarzyszenie Studenckie, w salach wykładowych i na ćwiczeniach, oraz na dzikich imprezach, zawsze w zamkniętych pokojach lub jako tajemni goście w spontanicznie umówionych miejscach późno w nocy – wszystko to wywoływało dręczące uczucie „wyobcowania”. I stwierdzę, że mnie samego, bardziej niż innych, dręczyło to osobliwe uczucie. Towarzyszyło mi ono przez wszystkie te lata studiów na uniwersytecie, choć nie byłem jakimś samotnikiem, raczej czerpałem obficie z dóbr dostępnych do wykorzystania. To „wyobcowanie” nigdy mnie nie opuściło i potrafiłem rozpoznać je u wszystkich innych obcych siedzących na salach wykładowych, ćwiczeniach, stołówkach.

Było to silne przeczucie, że żyliśmy życiem wiecznym. Pod koniec moich studiów, kiedy robiłem mój kierunkowy przedmiot, czyli historię, w efekcie ogólnej radykalizacji uniwersytetu stało się dla mnie oczywiste, że to, co mnie dręczyło, miało swoje korzenie poza moją egzystencją, i że wszystkie decydujące wydarzenia, które mogły mnie spotkać w życiu, będą się działy z dala od miejsca, w którym jestem obecnie. Innymi słowy, na Uniwersytecie w Oslo pojawiło się przekonanie, że byliśmy dziećmi imperializmu i że siedzieliśmy tak w naszych salach wykładowych niczym pozbawione własnej woli ofiary lub nawet pasożyty żywiące się kosztem dramatycznych, krwawych wydarzeń dziejących się na świecie. Czuliśmy, że to uczestnicy tych wydarzeń podtrzymywali nasze życia i czynili je tym, czym były – uprzywilejowanymi, faworyzowanymi, lepszymi od tych, jakie miało jakiekolwiek pokolenie przed nami. Nasze uprzywilejowane życia kosztowały wiele krwi. Dało mi to poczucie przenikliwego zrozumienia rzeczy, lecz wzmocniło uczucie „wyobcowania”, i poczułem się jeszcze bardziej bezużyteczny niż kiedykolwiek wcześniej.

przełożyła Anna Schmidt

AUTORZY

Alexander Aarvik – studiuje psychologię na Uniwersytecie w Oslo. Zadebiutował powieścią *Skuddsikker*, opisującą życie w czasach kryzysu.

Kamil Antosiewicz – dziennikarz, dziennikarz muzyczny i muzyk. Publikował m.in. w „Glissandzie", „Fluidzie", „Vice Magazine", „Kulturze Współczesnej", „Exklusivie", „Futu". Słucha nie tylko black metalu. Planuje kiedyś pojechać do Norwegii.

Thomas Hylland Eriksen – antropolog, pracuje na Uniwersytecie w Oslo. Pisał obszernie o etniczności, dynamice kultury, tożsamości, nacjonalizmie, kosmopolityzmie, prawach człowieka, o globalizacji i jej implikacjach dla kultury i społeczeństwa. Poza publikacjami akademickimi Eriksen pisze także eseje oraz literaturę faktu.

Ali Esbati – polityk, ekonomista. Jego blog *Esbatis Kommentarer jest jedną z najpopularniejszych stron w Szwecji. Pracuje jako ekonomista w norweskim think tanku Manifest senter for samfunnsanalyse.*

Hanna Gill-Piątek – działaczka społeczna i polityczna, graficzka, członkini zespołu Krytyki Politycznej i Zielonych. Współzałożycielka Obywatelskiego Forum Dostępu do Książki. Razem z Martyną Dominiak prowadzi Świetlicę Krytyki Politycznej w Łodzi.

Johan Harstad – zadebiutował w 2001 roku zbiorem opowiadań *Herfra blir du bare eldre* (*Odtąd będziesz już tylko starszy*) i od tego czasu opublikował kilka książek. W 2008 roku związał się z Norweskim Teatrem Narodowym, dla którego napisał m.in. sztukę *Etc*.

(*Itd.*). Prowadzi organizację LACKTR, zajmującą się niezależną muzyką, grafiką i literaturą.

Roy Jacobsen – należy do najwybitniejszych współczesnych pisarzy norweskich, uhonorowany wszystkimi możliwymi nagrodami literackimi, m.in. prestiżową nagrodą im. Tarjei Vesaasa za debiutancki zbiór opowiadań. Wydał kilkanaście powieści (po polsku ukazała się *Nowa woda*). Pisząc, czerpał inspiracje ze swoich bogatych doświadczeń życiowych: od pracy fizycznej w lokalnych społecznościach północnej Norwegii, poprzez liczne podróże zagraniczne, aż po udział w intelektualnym życiu stolicy.

Nina Lykke – pisarka urodzona w Trondheim, dorastała i mieszka w Oslo. Z wykształcenia graficzka. Członkini redakcji czasopisma „Utflukt". Rozwiedziona matka dwójki dzieci. Jej teksty weszły w skład dwóch antologii: *Gyldendal* (*Matriarcha*) i *Kagge* (*Poza wszelkimi granicami*).

Christer Mjåset – neurolog i publicysta, od 2003 roku ceniony pisarz, który w swoich książkach łączy wątki obyczajowe, medyczne oraz sensacyjne. Do tej pory wydał dwa zbiory opowiadań oraz kryminał *Legen som visste for mye* (*Lekarz, który wiedział zbyt wiele*).

Simen Særte – dziennnikarz „Morgenbladet". Mieszkał w Nowym Jorku, Chinach i Afryce Zachodniej. Pisze o krajach rozwijających się i polityce międzynarodowej. Jest autorem dwóch książek.

Dag Solstad – jeden z najbardziej cenionych współczesnych pisarzy norweskich, a przy tym niezwykle barwna postać sceny literackiej Skandynawii. Zadebiutował zbiorem nowel *Spiraller* (*Spirale*). Uznanie zyskał kilka lat później powieścią *Patynozielone!*, pisaną pod wyraźnym wpływem Witolda Gombrowicza. Książki Solstada cieszą się dużą popularnością, także poza Norwegią.

Michał Syska – prawnik, działacz społeczny i polityczny, publicysta. Członek zespołu Krytyki Politycznej. Dyrektor Ośrodka Myśli Społecznej im. F. Lassalle'a we Wrocławiu – socjaldemokratycznego

think tanku ekspercko-badawczego. Publikował m.in. na łamach „Gazety Wyborczej”, „Rzeczpospolitej”, „Dziennika”, „Trybuny”, „Przeglądu”.

Nina Witoszek – mieszka w Irlandii i w Norwegii, łączy pisarstwo z pracą naukową i działalnością publicystyczną. Profesor historii kultury w SUM – Centrum Rozwoju i Środowiska na Uniwersytecie w Oslo, a także na Uniwersytecie Stanforda. Debiutowała w Irlandii (pod pseudonimem Nina FitzPatrick) zbiorem opowiadań *Fables of the Irish Intelligentsia* (*Bajki irlandzkiej inteligencji*). Jej książki o Norwegii: *Norske naturmytologier: fra Edda til Arne Naess* (*Norweskie mitologie natury*), *Verdens besteland* (*Najlepszy kraj na świecie*), wywołują burzliwe dyskusje.

WYKAZ ŹRÓDEŁ

Alexander Aarvik, *Skuddsikker*, H. Aschehoug & Co, Oslo 2011
Copyright: © Aschehoug, Norway, 2011
Thomas Hylland Eriksen, *Søppel. Avfall i verden av bivirkninger*, H. Aschehoug & Co, Oslo 2011
Johan Harstad, *Bøkene mine er trojanske hester*, w: „Bokvennen" 2011, nr 1
Johan Harstad, *Oversikt*, w: *Ambulanse*, Gyldendal, Oslo 2003
Roy Jacobsen, *Isen*, w: *Det kan komme noen*, Cappelen Damm, Oslo 1990
Nina Lykke, *Hyttetur*, w: *Orgien og andre fortellinger*, Oktober, Oslo 2010
Copyright: © Forlaget Oktober, Norway, 2010
Christer Mjåset, *Verdens eldste mann er død*, w: *Verdens eldste mann er død,* Gyldendal, Oslo 2006
Simen Sætre, *Petromania*, J. M.Stenersens Forlag, Oslo 2009
Copyright: © Simen Sætre/J. M. Stenersens Forlag, Norway, 2009
Dag Solstad, *Gymnaslærer Pedersens beretning om den store politiske vekkelsen som har hjemsøkt vårt land*, Oktober, Oslo 1982
Copyright: © Forlaget Oktober, Norway, 1982

NORLA

These translations has been published with the financial support of NORLA.

KRYTYKA POLITYCZNA

Krytyka Polityczna powstała z ambicją ożywienia tradycji polskiej inteligencji zaangażowanej. Naszą działalność rozwijamy w trzech głównych sferach: nauki, kultury i polityki, starając się jednocześnie eliminować sztuczne podziały między nimi. Wierzymy, że naukę, sztukę i politykę dzielą jedynie środki wyrazu, łączy zaś wpływ na kształt życia społecznego.

Naszym podstawowym celem jest wprowadzenie i umocnienie w sferze publicznej lewicowego projektu walki z ekonomicznym i kulturowym wykluczeniem. Wychodzimy z założenia, że nie będzie szans dla lewicowej polityki bez stworzenia wcześniej w sferze publicznej miejsca na lewicowy dyskurs i projekt społeczny. Dlatego obok pracy czysto akademickiej (tłumaczenie, wydawanie książek i opracowań, dyskusje, seminaria i warsztaty) angażujemy się w debatę publiczną, a także aktywnie działamy na polu literatury, teatru i sztuk wizualnych, pojawiamy się w mediach głównego nurtu, publikujemy w dziennikach i tygodnikach opinii. Budujemy kolejne instytucje (wydawnictwo, instytut naukowy), współpracujemy z najpoważniejszymi ośrodkami kulturalnymi i badawczymi w Polsce i za granicą. Środowisko Krytyki Politycznej tworzą dziś młodzi naukowcy, działacze społeczni, publicyści, ale także pisarze, krytycy literatury i sztuki, dramaturgowie, filmoznawcy i artyści.

Stworzyliśmy Wydawnictwo Krytyki Politycznej. Naszym celem jest wprowadzenie w polski obieg idei najważniejszych prac z filozofii i socjologii politycznej, teorii kultury i sztuki. Publikujemy przekłady, prace polskich autorów i ważne wznowienia. Do końca czerwca 2010 roku ukazało się siedemdziesiąt tytułów w sześciu seriach wydawniczych (Przewodniki Krytyki Politycznej, Seria Idee, Seria Kanon, Seria Publicystyczna, Seria Literacka, Seria Ekonomiczna, Seria Historyczna, Pisma Jacka Kuronia) oraz poza seriami.

W latach 2006–2009 w centrum Warszawy prowadziliśmy otwartą REDakcję – ośrodek wymiany myśli, dyskusji, prezentacji prac artystycznych, projektów społecznych i politycznych. Miejsce stało się punktem codziennych spotkań środowiskowych i bazą dla organizowanych na zewnątrz akcji społecznych. REDakcja na trwałe wpisała się w mapę kulturalną stolicy. W styczniu 2008 roku REDakcja otrzymała nagrodę kulturalną „Wdechy 2007" w kategorii Miejsce Roku, przyznawaną przez warszawski dodatek „Gazety Wyborczej". Przez trzy lata w świetlicy odbyło się kilkaset spotkań otwartych – dyskusji literackich, warsztatów, seminariów, pokazów filmowych. Gościliśmy ważnych aktorów sceny społecznej, politycznej, literackiej i artystycznej, wśród nich wielu gości zagranicznych. W REDakcji realizowaliśmy jeden z najważniejszych ideowych celów środowiska Krytyki Politycznej, czyli zniesienie granic między polem nauki, sztuki i polityki.

6 listopada 2009 roku w centrum Warszawy otworzyliśmy interdyscyplinarne Centrum Kultury „Nowy Wspaniały Świat" – miejsce spotkań artystycznych i naukowych, pokazów filmowych, przestrzeń wystawienniczą i kawiarnię kulturalną. Na parterze Centrum Kultury powstała księgarnia, salonik prasowy i główne miejsce wydarzeń artystycznych: premier książkowych, debat, slamów poetyckich, festiwali filmowych, koncertów. Na piętrze – Uniwersytet Krytyczny z zajęciami wybitnych polskich i zagranicznych intelektualistów. Projekt realizowany jest we współpracy m.in. z Instytutem Teatralnym, Fundacją Galerii Foksal, Nowym Teatrem, Muzeum Sztuki Nowoczesnej, Instytutem Kultury Polskiej UW, Instytutem Nauk o Człowieku.

Nie ograniczamy się tylko do Warszawy. Dzięki działaniom naszych sympatyków i współpracowników w innych miastach Polski powstały Kluby Krytyki Politycznej. Do tej pory powstało dwadzieścia lokalnych ośrodków w Białymstoku, Bydgoszczy, Cieszynie, Głogowie, Gnieźnie, Jeleniej Górze, Kaliszu, Kielcach, Krakowie, Lesznie, Lublinie, Łodzi, Pile, Poznaniu, Rzeszowie, Siedlcach, Szczecinie, Tarnobrzegu, Toruniu, Trójmieście, Włocławku, Wrocławiu, Zielonej Górze i na Śląsku. Prowadzimy świetlice w Gdańsku i Cieszynie.

Wszystko to robimy, by stworzyć fundament dla uczciwej i nowoczesnej lewicy, która odwołując się do najnowszych osiągnięć filozofii

politycznej i świetnych tradycji polskiej myśli politycznej, znajdzie adekwatną odpowiedź na wyzwania czekające Polskę, ale też Europę i świat.
O naszych działaniach i wydarzeniach informujemy na bieżąco na stronie:
www.krytykapolityczna.pl.

Zespół Krytyki Politycznej:
Agata Araszkiewicz, Michał Bilewicz, Katarzyna Błahuta, Magdalena Błędowska, Zygmunt Borawski, Michał Borucki, Jakub Bożek, Marcin Chałupka, Anna Delick (Sztokholm), Paweł Demirski, Karol Domański, Kinga Dunin, Joanna Erbel, Katarzyna Fidos, Bartosz Frąckowiak, Maciej Gdula, Dorota Głażewska, Katarzyna Górna, Agnieszka Graff, Agnieszka Grzybek, Izabela Jasińska, Adam Jelonek, Jaś Kapela, Tomasz Kitliński, Maria Klaman, Małgorzata Kowalska, Karolina Krasuska, Maciej Kropiwnicki, Julian Kutyła, Łukasz Kuźma, Adam Leszczyński, Jarosław Lipszyc, Magda Majewska, Jakub Majmurek, Adam Mazur, Dorota Mieszek, Kuba Mikurda, Bartłomiej Modzelewski, Paweł Mościcki, Witold Mrozek, Maciej Nowak, Dorota Olko, Adam Ostolski, Joanna Ostrowska, Janusz Ostrowski, Tomasz Piątek, Konrad Pustoła, Magda Raczyńska, Joanna Rajkowska, Przemysław Sadura, Sławomir Sierakowski, Jan Smoleński, Andreas Stadler (Nowy Jork), Kinga Stańczuk, Beata Stępień, Igor Stokfiszewski, Michał Sutowski, Michał Syska, Mikołaj Syska, Jakub Szafrański, Agata Szczęśniak, Kazimiera Szczuka, Barbara Szelewa, Jakub Szestowicki, Eliza Szybowicz, Magdalena Środa, Olga Tokarczuk, Joanna Tokarz, Krzysztof Tomasik, Justyna Turkowska, Karolina Walęcik, Błażej Warkocki, Agnieszka Wiśniewska, Katarzyna Wojciechowska, Wawrzyniec Zakrzewski, Wojtek Zrałek-Kossakowski, Artur Żmijewski

Lokalni koordynatorzy Klubów Krytyki Politycznej:
Białystok: Łukasz Kuźma; Bydgoszcz: Emilia Walczak, Michał Schmidt; Bytom: Stanisław Ruksza; Cieszyn: Joanna Wowrzeczka-Warczok; Gdańsk: Katarzyna Fidos; Gniezno: Paweł Bartkowiak, Kamila Kasprzak; Jelenia Góra: Wojciech Wojciechowski; Kalisz: Anna Domagalska, Mikołaj Pancewicz; Kielce: Łukasz Kozera; Konin: Bartek Nożewski, Marcin Runowski; Kraków: Sebastian Liszka, Martyna Nowicka; Lublin: Urban Kępa; Łódź: Wiktor Marzec; Opole: Borys Cymbrowski; Poznań: Maciej Szlinder; Rzeszów: Michał Golemo, Iza Cywa; Siedlce: Andrzej Sędek; Szczecin: Joanna Brewińska; Tarnobrzeg: Michał Majka; Toruń: Marta Buraczyńska, Monika Szlosek; Włocławek: Agata Szczerbiak; Wrocław: Łukasz Andrzejewski, Michał Syska

Wydawca: Stowarzyszenie im. Stanisława Brzozowskiego.

Zarząd: Sławomir Sierakowski (prezes), Michał Borucki, Dorota Głażewska (dyrektor finansowy), Agata Szczęśniak

Kontakt:
REDakcja „Krytyki Politycznej”
e-mail:
redakcja@krytykapolityczna.pl
www.krytykapolityczna.pl

PRZEWODNIKI KRYTYKI POLITYCZNEJ

Reader (przewodnik) to popularna formuła używana na całym świecie w odniesieniu do ważnych obszarów humanistyki. Prezentuje wybrane zagadnienie lub dorobek twórcy, wyznaczając całościową i oryginalną perspektywę rozumienia danej tematyki.

Przewodniki poświęcamy filozofom, artystom oraz złożonym problemom społecznym i politycznym. Książki zawierają wybór najistotniejszych tekstów polskich i zagranicznych, poświęconych interesującym nas tematom i osobom, a także wywiady, przegląd prac autorskich, słowniki ważnych pojęć. Celem każdego Przewodnika jest nie tylko przekrojowe przedstawienie danego problemu, ale też umieszczenie go w nowym kontekście, wolnym od zniekształceń instytucji rynku, akademii i mediów masowych.

W serii ukazały się:

Krytyki Politycznej przewodnik lewicy
Sasnal. Przewodnik Krytyki Politycznej
Slavoj Žižek, *Lacan. Przewodnik Krytyki Politycznej*
Chantal Mouffe, *Polityczność. Przewodnik Krytyki Politycznej*
Piotr Kletowski, Piotr Marecki, *Żuławski. Przewodnik Krytyki Politycznej*
Maciej Pisuk, *Paktofonika. Przewodnik Krytyki Politycznej*
Polityka narkotykowa. Przewodnik Krytyki Politycznej
Kryzys. Przewodnik Krytyki Politycznej
Žižek. Przewodnik Krytyki Politycznej
Sławomir Masłoń, *Coetzee. Przewodnik Krytyki Politycznej*
Piotr Marecki, *Barański. Przewodnik Krytyki Politycznej*
Alain Badiou, *Etyka. Przewodnik Krytyki Politycznej*
Agnieszka Berlińska, Tomasz Plata, *Komuna Otwock. Przewodnik Krytyki Politycznej*

Jarosław Hrycak, Iza Chruślińska, *Ukraina. Przewodnik Krytyki Politycznej*
Ekologia. Przewodnik Krytyki Politycznej
Rajkowska. Przewodnik Krytyki Politycznej
Agamben. Przewodnik Krytyki Politycznej
Uniwersytet zaangażowany. Przewodnik Krytyki Politycznej
Herzog. Przewodnik Krytyki Politycznej
Skolimowski. Przewodnik Krytyki Politycznej
Szwecja. Przewodnik nieturystyczny
Islandia. Przewodnik nieturystyczny
Ekonomia kultury. Przewodnik Krytyki Politycznej
Slavoj Žižek, *Lacan. Przewodnik Krytyki Politycznej*, wydanie drugie rozszerzone
Trójmiasto. Przewodnik Krytyki Politycznej
Seriale. Przewodnik Krytyki Politycznej
Podatki. Przewodnik Krytyki Politycznej

W przygotowaniu:
Brzozowski. Przewodnik Krytyki Politycznej
Miłosz. Przewodnik Krytyki Politycznej
Żmijewski. Przewodnik Krytyki Politycznej
Rancière. Przewodnik Krytyki Politycznej
Zdrowie. Przewodnik Krytyki Politycznej

Norwegia. Przewodnik nieturystyczny
Warszawa 2011

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Krytyki Politycznej, 2011

Wydanie I
ISBN 978-83-62467-29-7

Redakcja: Zespół Krytyki Politycznej
Korekta: Magdalena Jankowska
Podziękowania: Dorota Polska, Anna Schmidt

Zdjęcia: Agnieszka Wiśniewska
Projekt graficzny i łamanie: rzeczyobrazkowe.pl
Projekt okładki: xdr

Wydawnictwo Krytyki Politycznej
ul. Nowy Świat 63
00-042 Warszawa
redakcja@krytykapolityczna.pl
www.krytykapolityczna.pl

Publikacja wydana przy wsparciu Urzędu Miejskiego w Gdańsku.

Publikacja wydana przy wsparciu Islandii, Liechtensteinu oraz Norwegii poprzez dofinansowanie ze środków Mechanizmu Finansowego Europejskiego Obszaru Gospodarczego oraz Norweskiego Mechanizmu Finansowego.

Skład wersji elektronicznej:
Virtualo Sp. z o.o.

[1] Wisława Szymborska, *Poezje*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1989, s. 204.

[2] „Aftenposten” to jedna z najpopularniejszych norweskich gazet (przyp. tłum.).

[3] Wcześniej byli wrodzy katolicy z Europy Południowej, którzy wykorzystywali nordycką statystykę samobójstw jako dowód, że państwo dobrobytu nie jest jednak takie dobre (Soria Moria to zamek z norweskiej baśni, symbol idealnej szczęśliwości – przyp. tłum.).

[4] Charakterystyczny dla skandynawskiej prasy obszerny opiniotwórczy esej, pisany przeważnie przez osobę niezatrudnioną w gazecie, ale posiadającą specjalistyczną wiedzę na dany temat, na przykład przez naukowca czy intelektualistę lub kogoś mającego szczególny związek z daną sprawą (przyp. tłum.).

[5] Askeladden – bohater norweskich baśni ludowych, biedny, ale wiele zyskujący dzięki swojemu sprytowi (przyp. tłum).

[6] Nina Witoszek, *The Origins of the Regime of Goodness*, Universitetsforlaget, Oslo 2011.

[7] Jeden z czołowych norweskich dzienników (przyp. tłum.).

[8] UFF – U-landshjelp fra Folk til Folk, założona w 1979 roku norweska organizacja dobroczynna (przyp. tłum.).

[9] Don DeLillo, *Podziemia*, przeł. Michał Kłobukowski, Libros, Warszawa 2001.

[10] Garbologia – dziedzina nauki zajmująca się badaniem odpadów (przyp. tłum.).

[11] Nasjonal Samling – norweska partia nazistowska, założona w 1933 roku przez Vidkuna Qusilinga (przyp. tłum.).

[12] Stiklestad – miejsce historycznej bitwy w 1030 roku, w której stracił życie król Olav Haraldsson i która uznawana jest za przełomo-

wą dla wprowadzenia chrześcijaństwa w Norwegii. W 1941 roku nazistowska partia Nasjonal Samling postawiła tam pomnik upamiętniający bitwę. Pomnik usunięto po zakończeniu II wojny światowej (przyp. tłum.).

[13] Regres gospodarczy spowodowany odkryciem i intensywną eksploatacją złóż surowców naturalnych (przyp. red.).

[14] Ogłoszenie parlamentarne to raport sporządzany przez rząd norweski dla norweskiego parlamentu, opisujący prace wykonane na szczególnym obszarze lub rozważania na temat przyszłej polityki (przyp. tłum.).

[15] Peter Handke – austriacki pisarz, kontrowersyjny ze względu na swoje poglądy o roli, jaką Serbia odegrała w trakcie wojny (przyp. tłum.).

[16] Høyre – prawicowa partia norweska, założona w 1884 roku (przyp. tłum.)

[17] *Charterfeber* – norweskie *reality show*, nadawane od marca 2006 roku, przedstawia przygody ludzi wyjeżdżających na egzotyczne wakacje (przyp. tłum.).

[18] Fragment szwedzkiej kołysanki dla dzieci *Byssan lull* autorstwa Everta Taube (przyp. tłum.).

[19] NRK – Norsk rikskringkasting, norweska państwowa spółka telewizyjno-radiowa (przyp. tłum.).

[20] PSA – antygen swoisty dla prostaty. Gdy jego stężenie przekracza normę, zachodzi podejrzenie raka prostaty (przyp. red.).

[21] Spark – model wysokich sanek, popularny na terenie Skandynawii (przyp. tłum.).